



Na jego

ŁAŚCIE

I.M. DARKSS

I.M. DARKSS

Na jego
ŁASCE



Projekt okładki: *Projekt 4 Mateusz Rękawek*

Redaktor prowadzący: *Grażyna Muszyńska*

Redakcja: *Beata Kostrzevska*

Redakcja techniczna: *Andrzej Sobkowski*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lingventa (Aleksandra Zok-Smoła), Agata Rogowska*

Zdjęcie na okładce: © Valeriya Sytnick/Shutterstock

© by I.M. Darks

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2022

ISBN 978-83-287-2512-6

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2022

*Musiła się nauczyć, jak przetrwać piekło,
więc on je dla niej stworzył...*

Spis treści

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty

Prolog

Wcześniej.

Poznałam go w jednym z najgorszych dni mojego życia. Wtedy, kiedy miałam zginąć. Kiedy byłam zdana wyłącznie na łaskę psychopaty. Tego samego, który kilka tygodni wcześniej próbował mnie zgwałcić. Tego, który dziś przyszedł, by mnie zamordować.

Ethan Brown od lat był zaprzyjaźniony z moją rodziną. Elegancki, dostojny. Mężczyzna, który doskonale wie, jak pod maską dżentelmena ukryć szaleństwo. Wtargnął do mojego domu, związał mnie i zamierzał nafaszerować śmiertelną dawką narkotyku – pozorując w ten sposób samobójstwo.

I właśnie wtedy pojawił się on, aby mnie ocalić.

Okazał się przyjacielem mojego brata. Mężczyznę roztaczającym wokół dziwną ciemność, w której aż chciało się pogrążyć. Skrywał dziką naturę i od razu wiedziałam, że jest równie niebezpieczny jak mój oprawca.

Bradley Kincaid. Były skazaniec, dopiero niedawno opuścił więzienie. Ktoś, od kogo powinnam trzymać się z daleka.

Kiedy mnie tam zobaczył – związaną i bezbronną – już nie odwrócił ode mnie wzroku. Ani wtedy, ani później.

Już nigdy.

A ogień, który zapłonął w jego oczach, wydawał mi się dziwnie znajomy. Byłam pewna, że już kiedyś patrzyłam w te szare tęczęwki, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy to było. Gdzie i w jakich okolicznościach.

– Savannah – wypowiedział moje imię.

I poczułam, że powinnam przygotować się na coś bardzo złego.

Bo gdy wreszcie przypominałam sobie, jak go poznałam, powróciłam do piekła.

Rozdział pierwszy

Teraz.

Znowu tu jestem.

Leżę w pokoju pogrążonym w półcieniu. Zakrwawiona, bezradna, oszołomiona.

On coś mi zaaplikował, coś, co sprawiło, że ledwie mogę pełzać i tylko gapię się zamglonym wzrokiem na ten szpetny obraz na ścianie. Nawet on napawa mnie grozą.

Skóra mnie piecze, z otwartych rozcięć sączą się szkarłatne strużki.

Nie mam szans. Nie mogę się wydostać. Próbowалаm tak wiele razy, ale on zawsze wraca i mnie karze.

Zostanę tu na wieki. Dopóki ten potwór nie zniszczy mnie do cna. Dopóki już nic ze mnie nie zostanie.

Słyszę kroki. Sześć kroków. Dostrzegam błysk scyzoryka obracanego w palcach. I to nucenie.

Nadchodzi.

A ja znowu umieram. Ale nigdy do końca.

Śmierć byłaby dobra.

Chcę w końcu umrzeć.

– Nie! – Budzę się z krzykiem na ustach. Podrywam się do siadu na łóżku i zaciskam dłonie na kołdrze.

Ciemność.

Instynktownie się rozglądam, szukając w niej zagrożenia. Krople potu spływają mi po skroniach.

To tylko koszmar. Tylko koszmar. A jednak czuję, że czyhające w nim zło chce owinąć wokół mnie swoje macki.

Powoli zmuszam omdlałe nogi do zsunięcia się z materaca i wstaję. Otwieram przeszklone drzwi i wychodzę na balkon.

Błogi spokój dookoła zakłóca jedynie cykanie świerszczy i pohukiwanie sowy, która pyszni się na gałęzi wielkiej lipy zasadzonej w centrum ogrodu.

Mimo to nie udaje mi się uciec przed wizjami z koszmaru, które wciąż przemykają mi pod powiekami. Mam wrażenie, że coś bardzo złego wsiąka pod moją skórę i się tam rozprzestrzenia. Zostawia we mnie okrutne szramy.

Te oczy ze snu wydają się takie realne, że naprawdę spodziewam się je ujrzeć. Obserwują mnie. Czekają.

A ten dotyk...

Zbiegam z balkonu po schodach i opadam na kolana. Wilgotna trawa moczy mój szlafrok, a ja zaczynam drżeć.

– Proszę, przestań. Po prostu przestań... – mamrocę do siebie. – Jesteś wariatką, Savannah. Jesteś wariatką. – Z trudem zasysam powietrze i wyrównuję oddech.

– Nie wydaje mi się. Miałem do czynienia z niezłymi świruskami i na ich tle wypadasz całkiem normalnie. – Niespodziewanie słyszę chropowaty głos.

Podskakuję przestraszona i już mam zamiar czołgać się po miękkiej ziemi, by uciec przed niebezpieczeństwem. Gardło wysycha mi na wiór i dlatego nie mogę krzyczeć. Serce obija się o żebra.

Nie, proszę. Nie.

I wtedy z mroku wychodzi on. Mężczyzna, który mógłby mieć ciemność na swoje rozkazy. Ubrany jest cały na czarno, motocyklową kurtkę nonszalancko narzucił na ramiona.

Bradley Kincaid.

– Co...? Co ty tu robisz? Jak wszedłeś do mojego ogrodu? – jąkam się.

Część mnie wciąż chce się w popłochu ukryć, bo przebywanie w pobliżu tego faceta może skończyć się gorzej niż próba pogłaskania

wściekłego, wygłodniałego lwa.

– Mam wiele talentów, jednym z nich jest umiejętność zakradania się w dowolne miejsce – odpowiada z zawadiackim uśmieszkiem.

Niemal fizycznie widzę groźną aurę, która zdaje się wirować wokół niego niczym obłoki chłodnej pary. Niemal mogę jej dotknąć.

Co najdziwniejsze, pragnę tego, a to kolejny dowód, że moje zdrowie psychiczne jest solidnie zachwiane.

– Spec od włamań i psychopatek, bomba – mamroczę, podnosząc się.

Bradley zbliża się o krok i sięga dłonią do węzła mojego szlafroka.

– Ładna piżamka, ale wydaje mi się, że wiosna nie jest jeszcze na tyle ciepła, by hasać w czymś równie skąnym po ogrodzie – oznajmia, przechylając lekko głowę. – I bardzo przezroczystym. – Szare oczy przesuwają się po mojej sylwetce z taką intensywnością, że aż wszystko zaczyna mnie swędzieć.

– Nie powiedziałaś, co tu robisz – dodaję.

– Lubię spacerować nocą. W ciemności jest coś kojącego.

Chyba tylko według gościa, który sam wygląda jak posąg wykuty z najczarniejszego onyksu...

Wyszarpuję pasek szlafroka z jego palców i otulam się szczelniej puchowym materiałem.

– Mnie ciemność przeraża – szepczę.

Kolejny krok Bradleya już zdecydowanie narusza moją przestrzeń osobistą, więc się cofam, aż w końcu moje plecy przylegają do pnia drzewa.

– Dlaczego? – pyta równie cicho.

Bo mam wrażenie, że w mroku coś się czai, by mnie dopaść i rozpruć swoimi szponami.

Jednak nie mogę tego przyznać, bo nie chcę zostać zaplątana w kaftan dla obłąkanych.

– Czemu spacerowałaś akurat przed moim domem? – zmieniam temat.

Sowa gapi się na nas ze swojej gałęzi wielkimi ślepiami. Rozpościera potężne skrzydła. Jest tu każdej nocy i teraz żałuję, że nie zaczęłam jej tresować. Mogłaby na moją komendę raz czy dwa dziobnąć tego seksownego intruza.

Dłoń pokryta zygzakowatym tatuażem przypominającym węża sięga do kosmyka włosów opadającego mi na czoło.

– Po prostu tędy przechodziłem i... usłyszałem, jak krzyczysz. –
Milknie, a jego kciuk muska mój policzek. – Miałaś koszmar?

Dotyk trwający ułamek sekundy poraża wszystkie moje zakończenia nerwowe. Przyjemność jest tak wielka, że tłumi nawet strach.

A na ten rodzaj strachu do tej pory nic nie działało. Przynajmniej dopóki kilka tygodni temu w miasteczku nie pojawił się Bradley wraz ze zgrają, którą mój brat uważa za przyjaciół.

– Nie twoja sprawa. Idź sobie – żądam i odtrącam jego rękę.

– Wolisz wygadać się sowie? – Spogląda na ptaka, który kiwa łbem, jakby składał mu pokłon.

Świetnie. Wprost fenomenalnie.

– Czego ty ode mnie chcesz?

Cisza. Tylko wzruszenie szerokich ramion.

– Powiedzmy, że wyręczę Marcusa w pilnowaniu cię – stwierdza z przekorą.

Napieram mocniej na szorstką korę, która wrzyna mi się w kręgosłup, i próbuję wmówić sobie, że to ona, a nie piekielne stworzenie stojące naprzeciwko mnie jest powodem mego dyskomfortu.

– On raczej nie przydzielił ci tego zadania – mruczę. – Marcus zabiłby cię, gdyby wiedział, że zakradasz się do mnie nocą.

Bradley robi rozbawioną minę.

– Lubię ekstremalnie niebezpieczne sytuacje.

To nie jest zaskakujące. Wcale. Obserwowałam, co wyczyniał na tym swoim przeklętym motocyklu. Igranie ze śmiercią? To mało powiedziane.

– Nawet cię nie znam, widziałam cię dwa razy, bo przyjaźnisz się z moim bratem – mówię, kierując spojrzenie w dal, na lampiony

oświetlające ogród.

Wolałabym wręcz udawać, że ganiam po ogrodzie nieistniejące świetliki, niż teraz patrzeć na jego wargi. Wargi, które drżą w uśmiechu.

– Często mi się przyglądałaś – rzuca i pochyła się jeszcze odrobinę.

To wyzwanie.

Usta znajdują się milimetry od moich. Są kuszące i drwią z mojej bezradności.

– Słucham?

Wytatuowane dłonie uderzają o pień lipy i zamykają mnie w pułapce. Tkwię między drzewem a męskim ciałem.

– Przyglądałaś mi się – mówi Brad cicho tuż przy moim uchu. – Dlaczego? – Gorący oddech pieści wrażliwą skórę na szyi, a chwilę później kciuk Bradleya naciska miejsce, gdzie wściekle trzepocze mój puls.

Zupełnie jakby się tym rozkoszował. Tym, jak na niego reaguję.

– Na pewno nie z powodów, o których myślisz – udaje mi się wykrztusić.

Tak, przyglądałam się mu. Więcej razy niż powinnam, bo coś mnie do niego ciągnęło. Kiedy tamtego dnia – był to chyba jeden z najgorszych dni w całym moim życiu – Ethan próbował mnie zabić, Bradley wszedł do mojego domu...

W tym momencie nawet mimo trawiącej mnie paniki nie potrafiłam nie zauważyć otaczającej go siły. Czystej, samczej potęgi, ale było w tym coś jeszcze.

Miałam poczucie, jak gdybym go znała. Od bardzo dawna.

Jak gdybym kiedyś dawno temu wręczyła mu klucz do pudełka z moimi koszmarami.

To niedorzeczna, głupia myśl, ale... Te sny pojawiły się wraz z nim. To on je do mnie przyniósł.

– A co myślę? – pyta, wyrywając mnie z natłoku myśli.

– Że chcę iść z tobą do łóżka – informuję, zanim zdążę ugryźć się w język.

Cholera.

Bradley wyszczerza się niczym kocur przed polowaniem.

– A chcesz? Bo jeśli tak...

– Nie bądź bezczelny. – Prostuję się dumnie, choć mam ochotę skulić się w sobie.

Szare oczy błyszczą żarłocznie. Przeszywają mnie na wskroś.

Sprawiają, że czuję się tak, jakbym została przyłapana na gorącym uczynku.

– Więc dlaczego mi się przypatrywałaś? – drąży.

Zaciskam dłonie w pięści. Nie wiem, czy bardziej chcę prześledzić kontur tych zmysłowych ust, czy raczej znokautować mężczyznę.

– Bo... wydajesz mi się znajomy – wyznaję niepewnym tonem. – Bardziej znajomy, niż jesteś w rzeczywistości.

Na moje słowa przez oblicze Bradleya przemyka jakiś cień. Jego mięśnie sztywnieją.

– Jesteś o tym przekonana?

Przełykam ciężko ślinę.

– Co... Co to ma znaczyć?

– Co ci się śniło? – docieka.

Coś jest nie tak. Coś w brzmieniu jego głosu. W oczach, które nagle pokrywa tafla lodu.

To znaki, że coś mi umyka. Nie mogę, chociaż bardzo się staram, poukładać tego w całość z rozsypanych fragmentów. Bo czegoś tam brakuje.

Czegoś złego.

Czasami intuicja podpowiada mi, że lepiej nie szukać. Że istnieje ważny powód, dla którego powstała dziwna wyrwa głęboko w moim wnętrzu. Tylko że kiedy się zatrzymuję albo próbuję wycofać, czuję się jeszcze bardziej... szalona. Moje myśli i emocje stanowią bałagan, a sama mam wrażenie, jak gdybym błądziła po omacku w labiryncie bez wyjścia.

Zdarza się nawet, że słyszę własne krzyki dochodzące z niektórych korytarzy.

– Stoisz za blisko – odzywam się. Dyszę. Szpony trwogi na nowo się we mnie wbijają.

Boję się. Boję się tego, że jestem obłąkana. Że to, co zrobił mi Ethan w tamtej uliczce, a potem tamtego wieczoru w domu, bezpowrotnie mnie zламаło.

– Powiedz mi – nalega Bradley.

Próbuję go odepchnąć, na oślep napierając na jego klatkę piersiową.

– Odsuń się – powtarzam.

– Wiem, że te koszmary się powtarzają. Wracają, nie dają za wygraną. Co w nich widzisz, Savannah?

Płuca mi płoną, gdy próbuję spazmatycznie łapać powietrze.

Mam atak paniki. Znowu.

– Odsuń się ode mnie... – łkam. – Proszę. – Drapię paznokciami tors mężczyzny. Coś każe mi krzyczeć tak głośno, aż zedrę sobie gardło. I nie przestawać.

– Boisz się mnie. – Słyszę jakby z oddali.

Mrugam i przez chwilę znajduję się gdzie indziej. Nie w ogrodzie, nie w otoczeniu kwiatów i światełek rozpraszających noc.

Nie. Nie. Nie. Potrząsam głową i wracam do rzeczywistości.

– Jest ciemno, jesteś prawie obcy i jesteśmy tu całkiem sami, a ty nie jesteś... – przerywam.

– Nie jestem...?

– Nie jesteś mężczyzną, przy którym można czuć się bezpiecznie. Potrafisz krzywdzić, jeśli tego chcesz.

Z Bradleya żaden bohater. To kolejny czarny charakter. Otacza go niczym niezmacona groza. Wręcz przesiąka powietrze, nadaje mu niepokojąco silny zapach.

– Więc... nie odczuwasz żadnego pragnienia, kiedy jestem w pobliżu? – pyta.

– Nie.

Jedna brew się podnosi. Typowo arogancki odruch.

– A gdybym cię dotknął?

– Nie wolno ci.

Jego kciuk zawadza o ramiączko koszulki nocnej, która się ukazała, gdy szlafrok nieco opadł. Pociąga za nie. Szarpie w dół i znowu w górę.

– Może faktycznie się myliłem. Może życzyłem sobie, żebyś mnie pragnęła – odzywa się.

– Dlaczego?

– Bo ja... – Jego opuszka przemyka w stronę obnażonego dekoltu. – Muszę walczyć z pożądaniem za każdym razem, gdy cię widzę. Chciałbym cię dotykać. Bez przerwy. – Zanurza nos w zagłębieniu mojej szyi, a ja, o Boże, naprawdę chcę wpleść mu palce we włosy i przycisnąć usta do jego skóry.

Coś w moim podbrzuszu zaciska się z niecierpliwością.

– Bradley...

Jesteś pokręcona, Savannah. Dwie minuty temu drżałaś z obawy przed nim.

– I całować. Tysiące razy – dodaje ochryple. – I zrobię to wszystko, ale dopiero gdy będziesz gotowa. – Po tych słowach odsuwa się z łatwością, która mnie naprawdę wkurza. Zaciąga zamek swojej motocyklowej kurtki i poprawia jej kołnierz.

– Ty chyba oszalałeś. Nie myśl sobie...

– Jeszcze sekundę temu pozwoliłabyś mi się pocałować – wtrąca i ma czelność złapać to durne ramiączko i zaraz je opuścić. – Nie okłamuj mnie. Nigdy – ostrzega, gdy już chcę zaprzeczyć. Twardy rozkaz wybrzmiewający w jego głosie sprawia, że milknę.

– Powinieneś już iść – odpowiadam.

– To nie mnie się boisz, Savannah – stwierdza niespodziewanie. – I gdzieś w środku doskonale to wiesz, ale przeraża cię odnalezienie prawdziwego źródła własnego lęku.

Odwraca się i znika w ciemnościach równie szybko, jak się pojawił.

A jego ostatnie słowa prześladują mnie, gdy wracam do sypialni.

Ponieważ ma rację. To, co wciąga mnie w nicość, nie ma teraz żadnego kształtu, żadnej twarzy.

Jeszcze nie.

Rozdział drugi

Dlaczego?

Czy los choć raz nie może mi sprzyjać? Tak nawet przez pomyłkę?

Przeklinając pod nosem, usiłuję wyźymać suknię z wody i jakoś się... otrzepać.

Ludzie patrzą na mnie, a jednocześnie udają, że wcale tego nie robią. Jakiś facet próbujący uchodzić za turystę chyba cyka mi fotkę – jak gdybym mogła konkurować z tutejszymi eksponatami.

Bomba.

Ściskam błyskotkę w dłoni, żałując, że jej tam nie zostawiłam. Powinnam była, ponieważ odszukanie pierścionka w fontannie, do której każdy podchodzi, żeby wrzucić złote monety i pomyśleć życzenie, jest nie lada wyzwaniem.

Serio.

Podjęłam chyba milion prób, a ostatnia skończyła się tragicznie.

Dlaczego?

– Co ty wyrabiasz, kiciu? – Gdzieś za moimi plecami rozlega się głos. – Kąpiesz się w fontannie?

Zdumiona nagłym pojawieniem się Bradleya prawie wypuszczam dopiero co wyłowioną zdobycz.

Czemu on musi poruszać się tak bezszelestnie?

– Nie kąpię się, tylko wpadł mi tam pierścionek, a potem...

– A potem ty też tam wpadłaś? – kończy za mnie nader życzliwym tonem.

Odwracam się w kierunku mężczyzny i piorunuję go wzrokiem.

– Nie...

– Zanurkowałeś, żeby go poszukać? – dopytuje.

Niestety ta wersja jest bliska prawdy.

I oczywiście Brad musi wyglądać nienagannie w idealnie dopasowanych czarnych ubraniach, które ciasno opinają jego perfekcyjnie wyrzeźbione mięśnie. Rękawy kurtki podwinął na przedramionach, przez co moje oczy mimowolnie chciwie skanują pokryte tuszem ręce.

– Już wiem, że to nie poczucie humoru pomaga ci zwalać kobiety z nóg – ripostuję.

Unosi kącik ust. Wydaje się wielce ukontentowany, kiedy zmierza w moją stronę. Każdy jego ruch ku mnie sprawia, że reszta świata zostaje gdzieś daleko w tyle. Staje się zamazanym tłem, płowieje, jak gdyby mrok spowijający mężczyznę gasił wszelkie barwy.

Mrok ten wdziera się prosto w moją duszę.

– Złośnica – mruczy i podaje mi dłoń, żebym mogła zachować równowagę. Szarmancki jak diabli.

Zeskakuję ostrożnie z murku fontanny i wygładzam wilgotne falbany sukni. W tym momencie trudno byłoby uwierzyć, że jeszcze kilka minut temu miałam na sobie piękną kreację. Biały materiał przemókł, jego krańce umazane są błotem, a moje włosy oklapły i przykleiły się do czoła oraz policzków.

Wyglądam teraz jak kudłaty pies, którego ktoś wrzucił do sadzawki w za ciasnym wdzianku. Mimo to prostuję plecy, unoszę podbródek i maszeruję przed siebie krokiem, którym zwykle przemierzam sale balowe.

Bardzo szybko jednak przystaję.

– Dlaczego za mną idziesz? – pytam.

– Odprowadzam cię – wyjaśnia Bradley i oferuje mi swój łokieć.

Wyprzedzam mężczyznę i przyspieszam.

– Nie fatyguj się.

Niezrażony zrównuje się ze mną.

– Więc czemu jesteś mokra?

Gdy tylko to pytanie opuszcza jego usta, potykam się o własne stopy. Te cztery słowa brzmią jak zbieżne... zaproszenie.

– Pada deszcz – rzucam i wsuwam na palec zgubę, pierścionek, z powodu którego wpakowałam w te tarapaty.

– Raczej mżawka, kiciu. Nie ma mowy, żebyś to od niej przemokła do suchej nitki – stwierdza.

Dobra, niech będzie.

– Wpadłam do fontanny. To znaczy... Sturlałam się, tak trochę. Było ślisko i... – Milknę i chwytam się pod boki. – Przestań rechotać – nakazuję, gdy Bradley wręcz zaczyna trząść się ze śmiechu.

Drań. Jego ciało silnie podryguje, zupełnie jakby ktoś zaaplikował mu solidną dawkę elektrowstrząsów, ale nie moje upokorzenie jest w tym momencie najgorsze. Raczej to, że ten pokaz Bradleya przykuwa uwagę przechodniów. Wydaje się, że jego śmiech działa podobnie do hipnozy. Zwłaszcza żeńską część spacerowiczów wprawia w trans. Kobiety spoglądają na niego z oczywistym zainteresowaniem i założę się, że większość z nich ustawiłaby się w szeregu, by wepchnąć mu do kieszeni karteczkę ze swoim numerem.

I stringami.

– Szkoda, że przyszedłem tak późno. Przegapiłem świetny pokaz – odbywa się, nieświadomy wzrostu żeńskiego libido wokół.

– Dupek – odpyskuję z naburmuszoną miną. – Na pewno nie zaspokoilibyś tym swoich zachcianek w stylu porno.

– Nie byłbym taki pewien. Zwłaszcza z tym strojem, który masz na sobie – mruczy. – Czemu przebrałaś się za kotka?

No właśnie. Pomięłam istotny szczegół. Sukienka z łątkami, buty, nawet wąsy, które teraz się zmyły, to wszystko...

– Brałam udział w przedstawieniu... Zresztą nieważne. Nie chce mi się z tobą gadać – rezygnuję z wyjaśnień.

Bradley zagrada mi drogę i dotyka palcem opaski, na której przyczepione są dwa szpiczaste...

– Słodkie te uszka – oznajmia. W oczach ma szelmowskie iskierki.

– Przestań.

Ignoruje mnie. Jego kciuk przesuwa się na mój policzek i zgarnia krople wody spływające z włosów.

– I nastroje też masz kocie. Prychasz i syczysz – nabija się. – Może spróbujesz mnie jeszcze podrapać? Mogłoby mi się spodobać, gdybyś wbiła we mnie swoje pazurki.

Mam ochotę rzucić się na niego jak wkurzone kakadu, ale zamiast tego zmniejszam dystans między nami i zawadzam dłonią o klamrę jego paska.

– Założymy się? – Znacząco zerkam na krocze Bradleya. Wątpię, by chciał zostać poharatany paznokciami w tym miejscu.

– Uważaj, kiciu, te rejony działają na kobiece rączki jak narkotyk – szepcze. – Raz dotkniesz i nie zdołasz sobie odmówić kolejnej dawki.

Zaczynam chichotać i potrząsam głową.

– Przyrównujesz swojego penisa do substancji uzależniających?

Nagle Bradley się pochyła.

– Spróbuj tylko, a zobaczysz, na jakim skończysz haju, moja mała kiciu.
– Prawie pociera me usta swymi wargami.

– Naprawdę musisz skończyć z nazywaniem mnie tak. Wkurzasz mnie.

Nasze oddechy mieszają się, a w moje nozdrza uderza swoisty zapach Brada. Woń wody kolońskiej miesza się z czymś o wiele bardziej... odurzającym.

Ten mężczyzna pachnie sztormem, czystym chaosem, a ja chcę go wdychać.

– Mógłbym sprawić, że dla mnie zamruczysz – mówi, kąsając krawędź mojej szczęki. – Z rozkoszy.

I odsuwa się. A ja wciąż czuję pod skórą impulsy elektryczne... a także rozczarowanie.

– Co robisz? – Obserwuję, jak Brad rozpina swoją motocyklową kurtkę, a następnie zarzuca ją na moje ramiona.

– Przemokłaś i zaczynasz drzeć. Muszę cię rozgrzać, a na inne metody na razie mi nie pozwalasz – stwierdza.

Wnętrznosci zaplatają mi się w kokardki i muszę powstrzymać się przed łapczywym zaciąganiem się aromatem, który aktualnie mnie otacza.

– Dziękuję.

Bradley odchodzi odwrócony do mnie twarzą, by móc jeszcze mnie widzieć. Poświata księżycy zalewa jego sylwetkę snopem światła.

– Muszę coś ustalić – zapowiada.

– Co takiego?

Kiedy porusza rękami, dostrzegam uwypuklone pod tatuażami żyły, których pragnę dotknąć. Nawet nie umiem tego wytłumaczyć. Dotyk tego mężczyzny wywołuje fajerwerki w moim wnętrzu, ale przynosi też ulgę. Choć do niedawna każdy najmniejszy nawet kontakt fizyczny budził we mnie lęk. Był zakazany. Nadal jest, ale nie kiedy... w grę wchodzi bliskość tego faceta. Obecność Bradleya zdaje się przywracać moją utraconą stabilność emocjonalną.

Nie rozumiem tylko, dlaczego tak się dzieje. Jak ktoś zupełnie obcy może przynosić mi spokój, kiedy nawet przy moich przyjaciółach wciąż potrafię wpaść w histerię?

– Masz faceta? Kumpla od seksu czy kogokolwiek innego, kogo musiałbym się pozbyć, zanim zacznę cię pieścić na wszelkie znane mi sposoby? – docieka jeszcze i obdarza mnie przy tym uśmiechem psotnego chochlika.

Przystaję, zbita z tropu.

– Nie! – piszczę. – To znaczy, my nie...

Rozglądam się wokół, spodziewając się, że ujrzę palmy, piasek i palące słońce, bo nagle zrobiło mi się tak gorąco. Jakbym znalazła się w najcieplejszych rejonach tropików.

Pojedyncze kłaśnięcie w dłonie natychmiast mnie otrzeźwia.

– Świetnie. To znacznie ułatwia sprawę, choć szczerze mówiąc, gdybyś kogoś miała, i tak by mnie to nie powstrzymało – ogłasza Brad władczo. – Mam przeczucie, że już niedługo wylądujesz w moim łóżku. Naga. Pode mną. Mokra z o wiele przyjemniejszego powodu niż teraz.

– Arogant.

Niczym wprawny drapieżnik nagle doskakuje do mnie, chwyta moje nadgarstki i przyciąga do siebie.

– Pachnąca pożądaniem, a nie mułem – dodaje, ssąc płatek mojego ucha.

Mułem? Śmierdzą mułem?

– Teraz to ja powinnam coś ustalić.

– Co takiego? – Pławi się w poczuciu triumfu, najpewniej spodziewając się, że zapytam, czy jest z kimś związany. Nigdy w życiu nie dałabym mu takiej satysfakcji...

Tylko że nagle naprawdę chcę się tego dowiedzieć.

– Nie sypiam z siedliskiem chorób wenerycznych. – Siłę się na ironiczny ton. – Nie wpuszczam do łóżka facetów, którzy zostają w nim wyłącznie do momentu osiągnięcia orgazmu, a potem zapadają się pod ziemię. Potrzebuję...

– Wiem, czego potrzebujesz, Savannah – wtrąca.

Moje serce zaciska się boleśnie.

– Nie, nie masz pojęcia – odpowiadam cicho i odwracam wzrok.

Frywolna atmosfera gdzieś ulatuje. Wokoło znów wznoszą się mury stworzone z mroku, który się o mnie dopomina.

Nikt nie może wiedzieć, czego potrzebuję, bo nikt nie ma pojęcia, jak bardzo jestem pełna defektów. Ile mam rys. Ile ran, których nie zszyją żadne szwy.

A jednak ręce, które trzymają moje dłonie w żelaznym uścisku, wydają się skuteczniejsze od kajdan i chyba stanowią jedyną linię, która chroni mnie przed osunięciem się w przepaść.

– Potrzebujesz kogoś, kto wydostanie cię z ciemności, w której się zatracasz – mówi Brad. – Szukasz mężczyzny, który stoczy za ciebie bitwę z koszmarami, aż nazbyt realnymi, prawda?

– Tak – chrypię przez zaciśnięte gardło.

Bradley pochyla się i opiera czoło na mej skroni.

– Mógłbym to dla ciebie zrobić, a nawet chciałbym. Pragnę to wszystko od ciebie zabrać, ale wiem też, że to wcale nie byłby właściwy sposób.

– Jak to? – Spoglądam na niego spod rzęs.

– Sama musisz się z tym zmierzyć, inaczej zawsze będziesz czuć się słaba. Coraz słabsza, aż w końcu staniesz się całkiem bezradna i znienawidzisz się za to – wyznaje łagodnie.

Czuję się nieswojo ze świadomością, że tak łatwo we mnie czyta. Jakby już widział moje najbrzydsze zakamarki.

– A co, jeśli już jestem bezradna?

– Nauczę cię walczyć – obiecuje i składa pocałunek na kostkach mojej dłoni. – Zmuszę cię, jeśli będzie to konieczne. Nawet gdyby to miało być bolesne dla kóregokolwiek z nas.

Nie wątpię w jego przysięgę. To surowe zapewnienie uświadamia mi, że być może objęcia tego mężczyzny, których tak łaknę, przyniosą mi zgubę.

Może są one dla mnie groźniejsze niż lufa broni skierowana w stronę mojej czaszki.

I może paradoksalnie właśnie dlatego tak chętnie się w nich kryję – bo potrzebuję jego bezwzględności. Jedynie ktoś, kto zdoła żyć z potworami w swoim wnętrzu, czerpać z nich siłę i zmuszać je swoją potęgą do uległości, może przetrwać pośród trawiącego mnie chaosu, a nawet go okiełznać.

– Dlaczego to robisz? – pytam, wyswobadzając swoje nadgarstki z silnego uścisku.

– Pewnego dnia sobie przypomnisz.

– Pleciesz bzdury. Mówisz tak, jakbym o czymś zapomniała, a ja wszystko pamiętam. Sprawiasz, że czuję się obłąkana! – krzyczę.

– Dlaczego wydają ci się znajomy? – drąży.

To pytanie sprawia, że zapadnia powoli się uchyla. Porusza coś we mnie. Przyczynia się do tego, że mam ochotę się bronić. Agresywnie. Brutalnie.

Nie wiem. Nienawidzę tego, że nie wiem, skąd bierze się to dręczące uczucie.

– Od dawna przyjaźnisz się z Marcusem, mogłam spotkać cię już wcześniej, gdy wpadałam do niego z wizytą.

Czujny wzrok Bradleya jest w stanie gotowości. Szykuje się do wojny, w której to ja będę jego przeciwnikiem. Tęczówki srebrzą się w świetle gwiazd, przez nie patrzy na mnie bestia.

Uśmiecha się.

– Kłamiesz, kiciu.

Łzy wzbierają mi pod powiekami.

Też czuję, że to kłamstwo.

To kłamstwo...

Rozdział trzeci

Wcześniej.

Budzę się z niezrozumiałym pragnieniem krzyku. Przetykam ślinę, ale gardło, wyschnięte na wiór, nadal mnie pali. Chce mi się pić i jestem głodna, ale gdy tylko uzmysławiam sobie, gdzie leżę, mój żołądek się buntuje.

Wciąż tu jestem.

Nigdy się stąd nie wydostałam.

Zerkam na swoje paznokcie. Mam wrażenie, że zanurzyłam je w żrącym kwasie. Są pozdzierane.

Od prób obrony i ucieczki.

Moja jedyna broń.

Coraz mniej pamiętam, mój umysł wypełnia próżnia.

Skąd się tu wzięłam? Jak długo tu jestem? Co on mi robił?

Już nie mogę. Powrót świadomości to najgorsza rzecz na świecie. Bo jego świat jest wstrętnym, chorym miejscem. Gdzieś na dnie mojego umysłu migają wspomnienia potworności, jakie mi uczynił dla własnego kaprysu.

– Kto tam jest?

Przez otępiały umysł przedziera się stłumiony obcy głos:

– Nie wpierdalaj się w nie swoje sprawy – odpowiada drugi mężczyzna. Na ten dźwięk moim ciałem wstrząsa spazm. Ten głos znam.

– Jeśli mi nie powiesz, to wejdę i sprawdzę. Nie zatrzymasz mnie – grozi nowo przybyły.

W roztargnieniu wpatruję się w sufit, nasłuchując ciężkich kroków za ścianą. Stają się coraz głośniejsze, jak gdyby ktoś nadchodził.

Z mojego gardła wymyka się kwilenie, gdy próbuję zwinąć się w kłębek. Nie chcę, żeby ktokolwiek się do mnie zbliżał. Nie teraz.

Już nigdy.

– Czasami robi się z ciebie mały, nudny kutas, przyjacielu... – naśmiewa się ktoś. – Moja dziewczyna odpoczywa na górze. Co, chcesz wejść i podglądać, jak się pieprzymy? – proponuje prawie zachęcająco, a chwilę potem ktoś szarpie drzwi. Klamka trzeszczy złowieszczo.

– Czemu zamknąłeś drzwi? – pyta nieznajomy, teraz już znacznie głośniej.

Rozlega się huk, jakby coś ciężkiego spadło na podłogę, a ja znowu podskakuję.

Coś jest nie w porządku. Czuję się oszołomiona, odrętwiała. Ledwie mogę się ruszyć, choć stale próbuję. Jednak za każdym razem, gdy udaje mi się uchylić powieki, tracę rachubę czasu, jak gdybym wciąż odpływała w niebyt.

– Bo się naćpała, a nie mam ochoty ganiać za nafaszerowaną prochami suką po całym domu – wyjaśnia on.

Oprawca. Jest nim. Wiem to. To kat. Zło. Czyste zło, które owija się wokół mnie. Które mnie więzi.

Przebłyskiem świadomości chwytam się tej myśli.

Zostałam uwięziona.

– To może dla odmiany umów się z jakąś kobietą bez porąbanych nałogów – rzuca nieznajomy, a ja otwieram usta, by go zawołać.

Muszę się wydostać. Muszę... Ale nie mogę krzyczeć. Nie mogę. Cisza wciąż trwa, niewzruszona i martwa. Kpi z mojej bezradności.

– Nie sądzę, by to zadziałało. Każda z przytomnym umysłem i rozumem niestępieniem dragami czuje względem mnie tylko przerażenie – żartuje on.

– Nie zapomnij o spotkaniu wieczorem. Nie chcesz wkurzyć chłopaków – mówi drugi. – I doprowadź tę kobietę do porządku, chyba że chcesz któregoś dnia tłumaczyć się glinom z powiązań z twoją kolejną zaćpaną fanką. – Jego słowa brzmią coraz bardziej niewyraźnie.

Odchodzi.

Nie. Nie może.

Ostatkiem sił przewracam się na bok i staczam z łóżka. Chcę wstać. Naprawdę się staram, ale nogi mnie nie słuchają. Usiłuję się czołgać. Tylko kawałeczek.

Nie zostawiaj mnie tu...

Dźwięk przekręcanego klucza. Cień na podłodze.

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć – odzywa się on. – To moja ulubiona liczba. Ulubiona liczba diabła. – Mężczyzna przechadza się po celi, okrąża mnie niczym wilk, który pragnie rzucić się swojej zdobyczy do gardła.

– Kim jesteś? – pytam ledwie słyszalnie.

Przykuca naprzeciwko mnie i szarpie moje włosy, zmuszając mnie do odchylenia głowy.

Patrzę na niego, ale nie widzę twarzy. Wszystko poza jego oczami skryte jest w mroku. Nawet tęczęwki wydają się równie smoliste jak źrenice.

Przerazające.

– A ty jaką cyfrę najbardziej lubisz? – docieka.

– Ja...

Zostaję pchnięta i opadam plecami na zimną podłogę. Wszystko wiruje. Jest pokryte plamami.

– Chyba trochę za dużo sobie tego wstrzyknęłaś, kochanie – mruczy, a jego palce gładzą moje policzki. Ten dotyk mrozi moje wnętrze. Nie chcę go.

– Ja nie...

Nic nie brałam. Nigdy bym tego nie zrobiła.

– Nie martw się, zaopiekuję się tobą – zapewnia. – Obiecałem ci to, kiedy cię po raz pierwszy ujrzałem, pamiętasz? – Jego ręce mkną po mojej szyi i suną w dół, między piersiami. A potem jeszcze niżej. – No tak, w tym stanie ledwie kojarzysz, więc trudno, żebyś coś pamiętała.

Nic nie pamiętam. Dlaczego?

Zimne dłonie wracają na moją szyję, zaciskają się niespiesznie.

– Nie...

– Cichutko – mówi spokojnie. – Jesteś taka piękna. – Jego usta napierają na moje, ucinając protest.

Mężczyzna sięga po jeden z odłamków rozrzuconych na kafelkach. Szkło mieni się w nikłym świetle lampki stojącej na szafce przy łóżku. Następnie przesuwa nim po moich obojczykach. Za chwilę po mojej skórze spływają strużki krwi.

– Boli... – Szlocham.

– Czasami ból uwydatnia przyjemność. – Szkło tnie moje ramię. – Masz taką gładką skórę. Jak aksamit. Szkoda, że tak bardzo się pokaleczyłaś.

– Boli – powtarzam.

Ból dociera niemal w do każdego nerwu w moim ciele. I nagle uświadamiam sobie, że to nie zasługa szkła ani też palców oprawcy, które z sekundy na sekundę coraz mocniej miażdżą mi tchawicę.

Coś krąży w moim organizmie. Coś, co parzy moje żyły, przez co czuję się tak, jak gdyby zaproszono w nich ogień, który zaraz wypali dziury w moich trzewiach.

– Przestań już. Narzekanie działa mi na nerwy, a kiedy się denerwuję, robię się... – milknie i się zamyśla – trochę pojebany.

Zanosi się śmiechem rodem z horroru. A później dalej mnie dotyka. A ja nie mogę go powstrzymać. Niemoc rozrywa mnie na strzępy, bo czuję to wszystko w każdej komórce mojego ciała, ale nie mogę stawić oporu.

– Nie... – zaczynam.

Moja sukienka przesuwa się w górę, odsłaniając uda, a on uśmiecha się zwycięsko i kładzie na nich swoje wstrętne łapska.

– Całkiem ją porwałaś. Szkoda, podobała mi się. Wyglądałaś w niej bardzo seksownie – oznajmia, a później rozlega się dźwięk darcia materiału. – Ale bez niej podobasz mi się jeszcze bardziej. – Czerwona róża siłą oderwana od mojej spódnicy szybuje wysoko, a potem opada na podłogę. Jest równie bezużyteczna co ja.

– Kim jesteś?

– Jestem ulubioną cyfrą szatana. – Gdy się obraca, na jego plecach dostrzegam wytatuowaną wielką szóstkę, po której wspinają się języki ognia.

Zaczynam dygotać. Przez moment znowu nic nie widzę, a kiedy wracam do rzeczywistości, świat wokół się kołysze. Jakiś ciężar przygniata mi klatkę piersiową, jest tak, jakby ktoś położył na niej wór kamieni, ale nawet mimo mojego stanu to jedno mi nie umyka... Tego nie mogę wymazać.

Mężczyzna rozbiera mnie, a po chwili zostawia niemal całkiem obnażoną.

– Zostaw – nakazuję, gdy jego oddech owiewa moje podbrzusze.

– Ciebie też tak oznaczę. – Znów chwyta podłużny kawałek szkła. – Gdy wydrążę ten numer w twojej skórze, na zawsze będziesz moja. Już jesteś.

Strach sprawia, że nie mogę zaczerpnąć tchu. Czuję uporczywe pulsowanie w czaszce, do moich nozdrzy dociera swąd cygar. Nie. To nie to. Pod okropnym odorem tytoniu jest coś jeszcze.

To zapach nadchodzącej śmierci.

– Nie rób tego. – Próbuję odtrącić mężczyznę omdlałymi rękoma. – Nie.

Oprawca o czarnych oczach wbija fragment szkła w wewnętrzną stronę mojego uda i wycina tam szóstkę.

– Nie walcz, bo będę musiał zacząć od nowa w innym miejscu – ostrzega, a następnie zlizuje krople krwi ze swojego narzędzia tortur.

Wydaje się... podniecony.

To chore. To...

Boję się. Tak bardzo się boję.

– Dlaczego ty to... robisz? – chrypię.

Mężczyzna przysuwa szkarłatne szkło do mych warg.

– Smakujesz naprawdę rozkosznie, spróbuj – nakłania.

Kręcę głową, w moim gardle wzbiera żółć.

Oprawca rozchyła mi usta, naciskając na poranioną szczękę.

– To boli.

– Jeszcze nie zadałem ci prawdziwego bólu, więc bądź grzeczną dziewczynką i mnie nie prowokuj – mówi. – Baw się ładnie. – Ponownie się pochyła, a po chwili jego język sunie po świeżym nacięciu na nodze. Oprawca wykonuje leniwe, łakome ruchy, co sprawia, że w kącikach jego ust zostają ślady czerwieni.

Nie zniosę tego.

– Czego chcesz?

– W tym momencie pocałunku na pożegnanie. Muszę wyjść na kilka godzin – stwierdza. Ujmuje kraniec koca leżącego na materacu i rzuca nim we mnie.

– Nie zostawiaj mnie tu – błagam, skopując z siebie nakrycie.

Chcę do domu.

Mężczyzna zerka na mnie i mruga, prawie jakby ze mną flirtował.

– Wróć. Wpadła mi w oko nowa zdobycz – zdradza. – Ale wróć.

– Ale ja... Nie czuję się dobrze.

Dreszcze, które od jakiegoś czasu suną po moim ciele, stają się coraz częstsze. Ból przybiera na sile i już prawie nic nie widzę. Zabiera mnie ciemność.

– Może zabawimy się we trójkę. Zawsze fantazjowałem o trójkacie – dodaje, a w jego tonie pobrzmiwa jakieś obrzydliwe zniecierpliwienie.

– Nie chcę tu być.

Oprawca sięga po szklankę z wodą, którą dla mnie zostawił. I której nie tknęłam mimo pragnienia. Ponieważ gdzieś głęboko wewnątrz siebie wiem, że jest w niej coś, co powoduje ten dziwny amok i dezorientację.

– Połknij.

Oprawca ponownie mnie dusi, pozbawia tlenu, aż zaczynam się krztusić i pozwalam się napoić. Potem znowu atakuje moje usta gwałtownym pocałunkiem. Kierowana rozpaczą wbijam paznokcie w jego twarz i ją drapię. Krzyczę jak osoba będąca na skraju utraty zmysłów. Silny cios wyprowadzony w odwecie powala mnie z powrotem na posadzkę. Szumi mi w uszach. Dźwięki kroków wymieszane z upiornym śmiechem roznoszą się echem po celi.

Wychodzi, nucąc tajemniczą melodię...

Zасыpiam. Nie jestem pewna, ile mija czasu. Nagle jakiś huk znów wyrzywa mnie ze snu.

– Nie waż się mnie dotykać. Wyjaśnij, dlaczego ona jest związana? – krzyczy wzburzony kobiecy głos.

– To tylko półprzytomna ćpunka, jedna z dziwek, z którymi się zabawiałem – odpowiada ten, którego oblicze wciąż jawi mi się jako mroczna maska.

– Ale dlaczego jest związana? Co jej zrobiłeś? – Ktoś dotyka moich splątanych włosów. – Ona krwawi.

W końcu udaje mi się uchylić opuchnięte powieki. Gdy obraz się wyostrza, zauważam, jak on szarpie nieznaną dziewczynę i ciągnie do tyłu.

– Nie podchodź do niej – nakazuje.

Młoda kobieta uderza barkami o ścianę pod wpływem siły jego pchnięcia.

Nie powinno jej tu być.

Nie chcę, żeby była świadkiem mojego upokorzenia.

Nie chcę, żeby była jego kolejną ofiarą.

– Powiedziałam, żebyś trzymał łapy z dala. – Dziewczyna dźga mego oprawcę palcem. – Zabieram ją ze sobą do szpitala. – Znów do mnie podchodzi i klęka obok. Blednie, jej przerażenie dorównuje mojemu, gdy oprawca niespodziewanie ją obezwładnia, wykręcając jej ręce za plecami.

– Ona nigdzie stąd nie wyjdzie – szepcze, przesuwając nosem po jej karku.

– Uciekaj... – udaje mi się powiedzieć.

Jednak jest już za późno.

– I ty też nie – dodaje mężczyzna i wymierza dziewczynie cios. Ta osuwa się na posadzkę.

– Ty cholerny psycholu – syczy i spluwa krwią.

– Nie powinnaś była tu zaglądać – stwierdza oprawca. – Co jest z wami? Dlaczego jesteście tak nieposłusznymi sukami? – Przechadza się po celi, jest coraz bardziej rozjuszony.

– Pierdol się! – Nieznajoma zdobywa się na szyderczy uśmiech.

Też chciałabym się uśmiechnąć, by okazać jej swój podziw, ale nie wiem jak.

Jestem uszkodzona.

On mnie uszkodził.

– Nauczę cię wykonywać rozkazy – warczy oprawca i szarpie ją, by skierowała wzrok na moje bezwładne ciało. – Spójrz tylko na nią. Widzisz? Ona już nie stawia oporu. Wkrótce ty też nie będziesz. – Przyciska dziewczynę do podłogi i unieruchamia, a potem pospiesznie zdiera z niej ubrania.

Jego tęczyówki skrzą się złem.

Zaczynam się trząść.

– Nie. Nie. Nie. – Kobieta wije się pod nim, stara się go zrzucić. – Przestań, słyszysz? Przestań!

To na nic.

Po jej policzkach płyną łzy. I po moich także.

Wciąż woła, nie przestaje, a ja nie mam siły patrzeć. Nie mogę tego znieść. Wiem, co teraz nastąpi. Zamykam oczy, a potem widzę jego.

Szare oczy rozpalone furią.

– Mam cię – oznajmia. Czuję jego ręce na moim posiniaczonym ciele, okrywają mnie czymś.

Twarz z cienia znika. Staje się obliczem Bradleya Kincaida.

– Proszę, nie! – wrzeszczę.

Tylko nie on. Nie on...

Rozdział czwarty

Teraz.

Coś wyrywa mnie ze snu, a ja odruchowo rozchyłam usta, by zacząć wrzeszczeć.

Chcę to wszystko wykrzyczeć. Chcę, żeby ze mnie zniknęło, a jednak zakorzenia się coraz głębiej i głębiej, szprycując złem i trucizną każdą komórkę w moim ciele, zakażając każde włókno.

Nie krzycz. Nie krzycz. Nie...

Wrzask przecina przestrzeń, jest odzwierciedleniem targającej mną desperacji. Zaraz potem rozbrzmiewa grzmot. Burza zagłusza wszystko wokół, a ja próbuję wydostać się ze skotłowanej pościeli i stanąć na drżących nogach.

Muszę wyjść na zewnątrz. Muszę wyjść. To instynkt – dopada mnie zawsze po przebudzeniu.

Z trudem wybiegam do ogrodu i pozwalam, by burza obmyła mnie ze zła, w którym znowu utknęłam.

– To tylko zły sen. Ułuda – szepczę w przestrzeń, osuwając się na kolana.

Nie mogę oddychać. Dreszcze wstrząsają mną do głębi, a pod skórą czuję ból tak wielki, że spodziewam się usłyszeć dźwięk łamania własnych kości.

– Savannah? – Dobiaża mnie niewyraźne wołanie, jakby pochodzące z dna otchłani.

Wpatruję się w otaczający mnie mrok i chcę się w nim rozpuścić. Zanurzyć się, zniknąć. Puls dudni mi w skroniach.

– To nieprawda. Nieprawda – powtarzam zaciekle. – Wszystko to kłamstwo. – Wbijam palce w rozmokłą od deszczu ziemię i przesuwam się w stronę najbliższego drzewa, by się o nie wesprzeć. Kora rani moje czoło, szoruje delikatne policzki, ale ten ból jest dobry. Nie pochodzi z koszmaru.

– Savannah, słyszysz mnie? Spójrz na mnie – nakłania Bradley, jednak go ignoruję.

Nie mogę na niego patrzeć. Nie chcę. Nie jest prawdziwy.

– To się nie wydarzyło. Tracę rozum.

– Przestań.

Słyszając to, wpadam w jeszcze większy szal. Zaczynam drapać paznokciami lipę, zdieram sobie opuszki do krwi. I krzyczę.

Nie potrafię przestać.

Gdy czyjeś ramiona oplatają mnie w talii, moja histeria sięga zenitu, zaczynam się rzucać, wić, wyrywać, okładać mężczyznę pięściami.

– Nie, nie. Nie... – Zanoszę się płaczem. – Nie dotykaj mnie.

Lodowate strugi deszczu spływają po mojej twarzy, słysząc uderzenie gromu. Błyskawica przecina czarne niebo.

Dlaczego jest tak ciemno? Zupełnie jak w tamtym pokoju.

Gorączkowo strzelam oczami wokół. On gdzieś tu jest. Przyjdzie po mnie.

– Kiciu, zrobisz sobie krzywdę. – Ręce Bradleya owijają się wokół mnie z większą stanowczością. Próbuje przeciągnąć mnie na swoje kolana, ale mu na to nie pozwalam.

Pragnę niszczyć. Pragnę krzywdzić. Pragnę to wszystko z siebie wykorzenić.

– Nie chcę tego widzieć. Nie chcę tego w mojej głowie – mówię, przyciskając dłonie do skroni. Wyobraźnia wciąż podsuwa te same obrazy.

– Czego?

Szare oczy patrzą na mnie z góry. To były jego oczy.

– Nie było cię tam. Nie mogło cię tam być...

To kłamstwo.

– Gdzie?

Potrząsam głową, palcami przeczesuję włosy pozlepiane w wilgotne strąki.

To oszustwo.

– Nie możesz być nim – odpowiadam, wtulając się w kurtkę mężczyzny.

Robi mi się słabo. Zaraz zemdleję.

– Uspokój się. Weź głęboki wdech i posłuchaj mojego głosu – mówi delikatnym tonem. – Masz atak paniki, malutka.

Tak. Strach wciąga mnie w swoje sidła, a cierpienie ze snu wydaje się tak realne, że niemal spodziewam się ujrzeć otwarte rany na swoim ciele. To prawie agonia.

Ktoś chwyta mnie za szczękę. Srebrzyste tęczęwki na sekundę zmieniają barwę. Stają się czarne.

Nie. Nie. Nie.

– Nie możesz być nim – mówię cicho.

– Kim?

Kolejny piorun rozświetla mrok, jakby wskazywał mi, skąd nadejdzie po mnie potwór.

Odpycham Bradleya i czołgam się w stronę wielkiego pnia. Przywieram do niego, nie zważając na wbijające się w moje ciało drzazgi.

Nie pozwolę mu się zabrać!

– Nie rób mi krzywdy – mamroczę. – Proszę, nie rób mi krzywdy.

W oczach mężczyzny pojawia się zmartwienie.

– Nigdy bym cię nie skrzywdził, Savannah. – Zbliża się do mnie niepewnie. – Wejźmy do domu, rozpętała się burza, a ty znowu przemokłaś. Rozchorujesz się. – Wyciąga dłoń, ale nie robi nic więcej. Tylko czeka cierpliwie, jakby oswajał dzikie zwierzę.

– Nie. Nie dotykaj mnie... Zostaw!!! – krzyczę. – Idź sobie!

To, że w tym momencie jest tu właśnie on, wtedy, gdy ja się rozsypuję, a wszystkie moje defekty są na wierzchu, jeszcze bardziej wszystko utrudnia.

– Nie zostawię cię w takim stanie – obwieszcza. – Twoja macocha jest w środku?

– Nie, ostatnio rzadko tu bywa. – Próbuję wstać, ale moje nogi pozostają bezwładne. – Nie mogę, nie dam rady iść.

To takie poniżające.

Bradley unosi mnie bez słowa.

– W porządku, zaniosę cię. – Wsuwa twarz w moje włosy. Jego ciepły oddech powoli rozpuszcza lodowe kolce osadzone w moim wnętrzu. Brad wnosi mnie po schodach przez balkon do mojego pokoju. Układa mnie na łóżku.

Założę się, że to jego pierwszy raz, kiedy wchodzi do sypialni nie na seksualne igraszki, a dlatego, że kobietę chyba opętał sam diabeł.

– Dziękuję – mruczę.

Właściwie tak właśnie się czuję. Mam wrażenie, że coś mnie opętało.

Zło, które wydostało się z koszmaru. Wszechobecne.

Bradley sięga po dodatkowe koce złożone na fotelu w rogu pomieszczenia.

– Nie bój się. Okryję cię tylko, trzęsiesz się z zimna – oznajmia i owija wokół mnie dwie pluszowe płachty materiału.

– Nie boję się – stwierdzam beznamiętnie. – Nie boję się – powtarzam, kołysząc się na boki.

Bradley przysiada obok i zbiera wilgotne pukle, które wydostały się z warkocza. Zarzuca mi je na plecy.

– Musisz się uspokoić. Jesteś od tego silniejsza – zapewnia.

– Czy ja tracę zmysły?

– Nie, kiciu. – Jego głos wibruje od gniewu. – Ty walczysz.

Kolejne dreszcze wspinają się po moim kręgosłupie, a ja zagryzam dolną wargę i spuszczam wzrok na ubłocone nagie stopy.

– Czuję się, jakbym była odrobinę szalona – przyznaję, bawiąc się frędzlami od koca.

Obłąd łazi za mną krok w krok. Od zmierzchu do świtu i wtedy...

Teraz jestem całkiem bezbronna.

Bradley kończy rozplatać mój warkocz, a następnie wyciera go lekko w okrycie.

– Potrzebujesz czegoś? Może zaparzę ci coś gorącego do picia? – proponuje.

Żołądek mi się ściska.

Jest taki opiekuńczy. Nie patrzy na mnie z drwiną, tylko z troską, a ja pragnę czerpać z jego sił, bo własne mnie opuściły.

– Nie. Tylko... – Sięgam do jego dłoni ułożonej płasko na materacu. – Posiedź ze mną chwilę – proszę.

Brad splata palce z moimi, a potem unosi je do ust.

– Nie ruszę się stąd do rana.

Wiercę się niespokojnie, wpatrując się w enigmatyczne napisy i symbole utrwalone tuszem na jego skórze. Litery i znaki. Nigdy przedtem nie miałam pretekstu, by przyjrzeć im się z tak bliska, by rozszyfrować choćby ułamek z nich. Na środku dłoni po zewnętrznej stronie dostrzegam ukryte w płomieniach „R”. Na każdym palcu poniżej kostki również chowa się w płątanie wzorów jedna litera. K.I.L.L.E...

Killer. Zabójca.

To... powinno mnie niepokoić, ale wcale tak się nie dzieje.

Zbieram się na odwagę i zaczynam:

– Nie mów o tym mojemu bratu. Nikomu... Nie chcę, żeby myśleli...

Że trzeba mnie zamknąć w pokoju bez klamek.

Bradley się uśmiecha.

– To będzie nasz sekret – obiecuje. – Nie przejmuj się. Spróbuj się zrelaksować.

– Nie chciałam, żebyś mnie taką widział.

Jest mi okropnie wstyd. Zupełnie mi odbiło, do tego aktualnie siedzę zgarbiona i jestem cała umorusana ziemią. Znowu wyglądam jak totalna klęska przy facecie, który jest uosobieniem iście królewskiej gracji.

Zupełnie jakby incydent przy fontannie nie wystarczył. Wszechświat wyraźnie sobie ze mną pogrywa.

Tym bardziej, że intuicja przekonuje mnie, że akurat tego jednego mężczyzny nie powinnam wielbić nawet z daleka.

– Nie widziałem nic złego – zaczyna z wahaniem. – Czasami... Czasami ja też przegrywam w walce z demonami, ale jedna przegrana nie oznacza, że powinienem się poddać przy kolejnym starciu i pozwolić im triumfować.

– Dlaczego? Po co walczyć? O co?

Dziwny grymas przecina jego oblicze. Brad wędruje wzrokiem w kierunku okna, za którym wciąż rozbrzmiewają huki burzy.

– O to, by jak najdłużej nie być tym złym – przemawia. – Dopóki tylko zdołam.

– Czasami nie wiem już, co jest prawdziwe. Iluzja i rzeczywistość... – chlipię. – Wszystko mi się miesza w głowie. – Czuję, jak łyzy zawisają na końcówkach moich rzęs, więc ścieram je szybkim ruchem i chowam się pod kołdrą.

Bradley unosi kciukiem mój podbródek.

– Co widziałaś we śnie? – pyta.

Każdy miesiąc w moim ciele się spina.

– Potwora.

– Jak wyglądał?

Nie. Nie. Nie.

Znowu zaczynam się kołysać. Chwytam najpiękniejszą poduszkę, by móc ją objąć. By móc się czegoś trzymać.

– Nie pamiętam – mówię i nie mogę wyzbyć się uczucia pętli zaciskającej się na moim gardle.

Bradley łapie mnie za kark w bezkompromisowy sposób. Gdy się do mnie nachyla, dziwny wisior w kształcie niewielkiego ostrza wysuwa się spod kołnierzyka jego koszuli. Połyskuje granatem, a ostre brzegi kojarzą się z brzytwą.

Idealny do odebrania życia jednym cięciem...

– Jak wyglądał, Savannah? Powiedz mi.

Niczym w transie moje oczy podążają od jego palców – ozdobionych zabójczym ostrzeżeniem – do równie zabójczej ozdoby zawieszanej na rzemieniu. Obrazy majaczą w mojej głowie, a ja nawet nie wiem, skąd się tam wzięły. Nie są moje. Nie mogą być.

To tylko urojenia.

– Tak jak ty... – wykrztuszam.

Szczęka Brada drga, ale jego mina pozostaje nieprzenikniona.

– Przykro mi – mówi. – Bardzo mi przykro.

– Ale... To nie była prawda.

Kiedy milczy, chwytam go za szyję.

– Nie była, tak?

Błagam. Po prostu... zaprzecz.

– Nie jestem pewien, kiciu. – Szorstkie opuszki pieścą mój kark niemal zaborczo, ale mimo to otacza mnie opieką, wsparciem. Czuję to.

Nagle wszystkie włoski na moim ciele stają dęba.

– Bradley? – ponaglę go.

Jego ręka mknie w dół, wzdłuż mojego ramienia, i zatrzymuje się tuż przy nadgarstku ozdobionym złotą bransoletką. Potem mężczyzna sadza mnie sobie na kolanach i trzyma, jakby obawiał się, że ucieknę.

– Mówiłem, że warto walczyć, by jak najdłużej nie być tym złym, ale to nie znaczy, że nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. Bywałem tym złym. Więcej niż raz – wyznaje, gapiąc się na obraz na ścianie.

Na nim dziewczyna w białej szacie ogląda się za siebie, biegnąc przez tunele pozbawione choćby jednego promienia światła. Wybrałam go, bo... było w nim coś... mojego. Wystrój mojej sypialni, poza owianymi sekretem fotografiami, które powiesiłam na ścianach, nigdy nie zdradziłby wewnętrznych rozterek, z jakimi się zmagam. Przeważają tu ciepłe kolory – róż obok czerwieni – do tego eleganckie, jasne obicia mebli. W wazonach i doniczkach zielenią się kwiaty.

Ani śladu mojego rozpadu emocjonalnego.

– Budzisz mój niepokój, bardzo duży niepokój. Rozum każe mi przed tobą uciekać, ale... lubię twój dotyk. – Mimo tych ponurych słów głaszczę sztywne barki Bradleya i dociera do mnie, że robię to bez udziału woli. To rozluźnia nie tylko jego, ale także mnie.

– Dlaczego mówisz tak, jakby to było coś dziwnego?

– Bo nie lubiłam dotyku ze snu i...

– I?

– I nie lubię go nawet w rzeczywistości... Nie lubię, jeśli dotyka mnie ktokolwiek inny prócz ciebie. – Milknę skrzepowana. – Dlaczego tak jest? – dodaję.

Do tej pory zmagalam się z awersją wobec dotyku. Byłam na kilku randkach i wszystko szło normalnie – przynajmniej dopóki towarzyszący mi mężczyzna nie spróbował mnie pocałować czy dotknąć w sposób sugerujący relacje więcej niż przyjacielskie.

Potem wszystko pryskało niczym bańka, a ludzie, włącznie z moim partnerem, zaczęli zerkać na mnie podejrzliwie i pewnie rozważali, czy powinni wezwać egzorcystę.

Może to i dobre rozwiązanie. Może wypędzi ze mnie to popieprzenie, ponieważ żadna z tych rzeczy nie wraca, kiedy to Bradley się do mnie zbliża. Wtedy nie czuję żadnego lęku i obrzydzenia.

Brad rozciąga usta w zadowolonym uśmiechu, a następnie ściera smugę błota z mojego policzka i układa mnie z powrotem na łóżku.

– Zamknij oczy, powinnaś zasnąć. Będę czuwał.

– Połóż się ze mną.

Słucha mnie, układa się obok, a ja ani na sekundę nie puszczam jego dłoni.

Koszmary już nie przychodzą. Odgradza mnie od nich ktoś o wiele groźniejszy od nocnych demonów.

Rozdział piąty

Już prawie zapadam w sen, gdy nagle wybudza mnie czyjeś wtargnięcie do sypialni.

Burza lśniących włosów miga w szparze w drzwiach.

Wszystko we mnie protestuje. Poduszka pachnie tak zniewalająco – pozostałościami męskich perfum, które okazują się lepsze na sen niż najlepsza kołysanka.

W tle gra telewizor, bo nie znoszę ciszy, a moja znajoma rozgaszcza się w pokoju, jak gdyby ten był czymś w rodzaju wielkiego tronu, a ona, rzecz jasna, zasiadała na nim w roli królowej.

Świetnie. A już prawie udało mi się na moment oderwać od przytłaczającej rzeczywistości. Kilka minut przed moim zaśnięciem jakiś dziennikarz znów gadał na ekranie o rzeczach, o których ostatnio usiłowałam nie słyszeć.

– Ostatnio prawie wcale nie wychodzisz z domu. Wiem, że sporo przeszłaś, ale chyba nie przesiedzisz w tej luksusowej, prawie wysadzonej brylantami willi następnym stu lat? – zrzędzi Alma, kobieta, która dawno temu sama mianowała się moją najlepszą przyjaciółką.

Nie znaczy to, że protestowałabym teraz przeciwko jej prawu do tego tytułu – ona jedna znosi moje kaprysy, zmienne nastroje i marudzenia. A kiedy zdarzają mi się momenty rozchwiania psychicznego, zachowuje się, jakby wszystko było w porządku.

– Może nie aż sto – oponuję, mieszając słomką w swoim kokosowym napoju.

Alma krzywi się śmiesznie.

– To nie jest epoka, w której księżę wespnie się na twój balkon i stoczy walkę ze złym smokiem – oznajmia. – To twoja rola, żeby skopać mu kolczasty ogon.

Problem w tym, że smoków jest więcej niż jeden, a facet, który zakrada się do mojego ogrodu, stanowi przeciwieństwo księcia.

– Potrzebuję spokoju. Nie mam ochoty nikogo widzieć. Nie chcę słuchać, jak całe miasteczko się nade mną lituje, i widzieć, jak posyła mi fałszywie współczujące uśmiechy – mówię niby od niechcienia, ale wiem, że moja towarzyszka nie da się na to nabrać.

Przewraca oczami i zmienia kanał w telewizorze z filmowego na muzyczny. Z głośników płynie bit, basy prawie chłuszczą mój biedny mózg.

Punkt pierwszy: nie znoszę bębnienia. Nie mam nic przeciwko spokojnym melodiom czy piosenkom, bardzo je lubię, ale mam alergię na nuty, które ostatnio zdają się modne.

Punkt drugi: nigdy nie należy odbierać mi pilota i przełączać moich ulubionych filmów komediowych, zwłaszcza w trakcie najlepszych akcji.

Punkt trzeci: Alma ma gdzieś dwa poprzednie punkty i jeszcze kilka następnych z listy.

– Więc będziesz się tu chować i błagać mnie przez esemesy, żebym dostarczała ci twoje ulubione żarcie i plotki? – mówi i patrzy wymownie, jak pochłaniam kolejną porcję owoców w galarecie.

– Plotki to twoja działka, mnie zależy wyłącznie na jedzeniu – mamrocę.

Alma wydyma policzki, parodiując mój aktualny wygląd, więc rzucam w nią kawałkiem truskawki.

– Jak się trzymasz? Wiesz już coś nowego w sprawie...?

– Nie. I nie chcę wiedzieć – wtrącam, zanim zdoła dokończyć.

Odcięłam się od mediów, które mogą trąbić o zarzutach stawianych mojemu ojcu i Ethanowi. Gdybym mogła, do końca życia chciałabym udawać, że to wszystko to fikcja. Wystarczy mi spraw, z którymi muszę się uporać, więc obejdzie się bez ciągłego przypominania, że płynie we mnie

krw mężczyzny, który z premedytacją planował czyjąś śmierć dla powiększenia swojego majątku.

A Ethan...

– Więc to twoja metoda? Udawanie, że ten bydlak nigdy cię nie skrzywdził? Nie próbował zabić ani...

– Przestań! – krzyczę. Prawie kruszę w dłoni kubek z pićm.

Ethan najpierw prawie mnie zgwałcił, a potem prawie mnie zabił. Chyba wolno mi bronić się przed tymi wspomnieniami wszelkimi metodami. Nawet jeśli codziennie zamierzam powtarzać sobie jak mantrę, że to wyłącznie halucynacje. Napawające przerażeniem halucynacje. Kropka.

Przyjaciółka wwierca we mnie swoje zielone oczy.

– Przepraszam, ja tylko... – Milknie i wzrusza ramionami.

Ma dobre intencje, chciałaby... mnie naprawić, ale prawda jest taka, że Savannah, którą byłam jakiś czas temu, odeszła.

– Życzyłabyś sobie, żebym wzięła się w garść i ruszyła naprzód. Żebym znalazła sposób i siłę, aby sprawić, by wszystko było jak przedtem – odgaduję. – Wszyscy tego ode mnie oczekują... Uśmiechów, nawet udawanych, byleby tylko oni sami też mogli to za sobą zostawić.

– Savannah...

W moim gardle wzbiera pogardliwy śmiech.

– A nie możecie, bo stanowią głąz na waszej drodze powrotnej do tego, co było – ciągnę, zgrzytając zębami. – To ja jestem ofiarą. I przykro mi, że na ten moment nie umiem wejść w rolę kogoś innego.

Alma wygląda, jakby miała ochotę się rozbeczeć – prawdopodobnie również dlatego, że ja w tej chwili muszę prezentować się tak samo.

– Wybacz mi. Nie chciałam. Wkurza mnie, że nie mogę ci pomóc. – Przysuwa się na łóżku, by położyć głowę na moim barku.

Wzdycham.

– Co z tymi plotkami? – zmieniam temat.

Jej twarz natychmiast się rozpromienia.

– Twój brat... sprowadził do naszego miasteczka kilku seksownych motocyklistów! – piszczy. – Myślisz, że... – Przygryza paznokieć kciuka, jakby bała się słów, które mogą wyskoczyć z jej ust.

Nieprzyzwoitych słów. Znam ją zbyt dobrze, by się nie zorientować, gdy ma na kogoś... chrapkę.

– Częstuj się. Jestem przekonana, że żaden z nich nie odmówi ci szczypty deprawacji. – Zdobywam się na uśmiech. – Ci faceci mogliby udzielać korepetycji z... bezceństw.

Zwłaszcza jeden z nich, ale on jest już zaklepany.

– Długo już jesteśmy sąsiadkami, racja?

Coś w tonie jej głosu mi się nie podoba.

– I co z tego? – pytam ostrożnie.

Podstępny uśmieszek, jakim Alma mnie obdarowuje, mógłby należeć do samego szatana.

– Sporo widzę ze swojego ogrodu... który przylega do twojego – zaczyna. – Ostatnio ktoś cię chyba odwiedził.

– I co z tego? – powtarzam, udając, że w moim żołądku wcale nie załęga się stadko rozbrykanych motyli.

– Bradley Kincaid – szepcze mi do ucha.

Wzruszam ramionami, by celowo strząsnąć głowę dziewczyny z mojego barku, a potem móc skarcić ją spojrzeniem.

– To przyjaciel Marcusa.

I facet, w którego objęciach spałam ostatniej nocy.

– Widziałam, jak się ścigali na tych demonicznych maszynach. – Jej oczy robią się rozmarzone. – To było całkiem ekscytujące, a nawet... podniecające.

Mogę się domyślić. Ostatnio moje libido płata mi figle. Nigdy bym się do tego nie przyznała, ale nawet rozmowa o Bradzie sprawia, że pocą mi się dłonie.

– Oszczędź mi, proszę. – Udaję zniesmaczoną.

– Nie łyj. Ten facet patrzy na ciebie, jakby planował cię całą oblizać.
Kawałek po kawałku – mruży.

– Nie zauważyłam.

Zauważyłam jak cholera. I nawet jakaś część mnie żałuje, że jeszcze nie przystąpił do realizacji swoich nieprzyzwoitych planów.

Alma okłada mnie poduszką w odwecie za kłamstwo.

– Intuicja mówi mi, że ten mężczyzna zdołałby uwolnić cię nie tylko z ciuszków, ale też z łańcucha, który owija się wokół ciebie coraz mocniej od tamtej nocy. – Alma nabija na widelec cząstkę pomarańczy w syropie. – On chyba niczego się nie boi.

Za to wszyscy boją się jego. Zapewne mógłby wzbudzić trwogę w samym szatanie.

– Wciąż czekam na jakieś ale...

– Czy to prawda, że siedział w... więzieniu?

Potakuję.

– Tak, ale nie znam szczegółów. Nie mogłam wypytać Marcusa, bo zaczęłyby coś podejrzywać, a...

– A. A. A – wtrąca moja przyjaciółka i celuje we mnie palcem. – Czyli chciałaś o niego wypytywać. – Dźga mnie kilkakrotnie, sprawiając, że mam ochotę wetknąć jej słomkę w oczodół. Aż wyłupię z niego gałkę.

– Nie...

Oczywiście, że chciałam wypytać, nawet zagadnęłam o niego Kirę, jednak okazałam się marnym szpiegiem.

– A jakich podejrzeń się obawiałaś? – trąkocze Alma. – Masz chrapkę na niegrzecznego motocyklistę?

Grając na zwłokę, biorę łyk napoju.

– Nie nakręcaj się tak. Chciałam po prostu wiedzieć, czy...

– Czy nie snujesz marzeń o dzikim seksie z porąbanym kryminalistą, który odsiedział wyrok za ćwiartowanie kobiet i trzymanie ich w zamrażalniku? – znowu wchodzi mi w słowo.

Rany boskie. Prawie wypluwam na Almę resztki shake'a.

– Słucham? – Odchrząkuję, uderzając się w przeponę. – Jesteś... nienormalna. Czytasz za dużo powieści o seryjnych mordercach.

– Skoro nie możesz dyskretnie wybadać gruntu u brata, może zapytaj pana seksownego wprost.

Znakomita rada, dziękuję.

– Jak to sobie wyobrażasz? Przecież nie mogę zaprosić go na żelki i nagle wyskoczyć z czymś takim.

Moja przyjaciółka przyciąga nogi do klatki piersiowej, ale jej ręka zaczyna buszować w mojej szafce nocnej. W końcu wygrzebuje z niej jedną ze szminek.

– Możesz. Po prostu przeraża cię to, co odkryjesz. – Pochyla się do małego lusterka i maluje wargi bordową pomadką. Potem bezceremonialnie chowa ją do kieszeni swoich jeansów.

Najwyraźniej została zaaprobowana.

– Dzięki za psychoanalizę, pani doktor – warczę.

– Zastanawiam się tylko... Obawiasz się tego, że prawda o panu seksownym zrujnuje twoje erotyczne fantazje i nie pozwoli ci się do niego zbliżyć? – dopytuje. – Czy raczej tego, że prawda może cię pchnąć do ich natychmiastowego zrealizowania?

Poruszam swoim kubkiem, wsłuchując się w brzdęk kostek lodu. Wolę ten dźwięk o wiele bardziej niż aktualną melodię i głos wokalisty, śpiewającego coś o wysysaniu krwi.

– Nie wiem, czy jestem gotowa na seks – przyznaję zakłopotana. – Trochę mi ostatnio odbija.

„Trochę” to dosyć pochlebne określenie w mojej sytuacji.

Paranoja. To akurat o wiele bardziej pasuje.

Poza tym cała ta rozmowa o ewentualnym... baraszkowaniu z Bradleyem powinna zostać błyskawicznie ucięta, ponieważ za moment moja przyjaciółka zacznie dawać mi wykład na temat... kopulacji prowadzącej do rozmnażania.

– Ale chciałabyś spróbować? – podłapuje.

Coś rozgrzewa się wokół mojego serca i szybko rozprzestrzenia. Mknie coraz dalej i dalej. Zarazem coś innego zwija się w ciasną kulkę, wywołując silny skurcz.

Czy chciałabym?

– On budzi mój lęk, ale jednocześnie sprawia, że mam ochotę rzucić się za nim w najmroczniejszą przepaść – mamroczę pod nosem.

Bradley jest jak huragan, który swoją potęgą mógłby zmieść mnie z powierzchni ziemi, ale tylko on potrafi roztopić lodowe okowy, w których jestem uwięziona. Zmienia zimno w czysty, pierwotny żar.

– No to chyba jednak musisz z nim pogadać – wyrokuje Alma. – Albo możesz dać mu się zadowolić i bez tego. Nie sądzę, żeby było to mniej satysfakcjonujące.

Jęczę i chowam twarz w poduszkę.

– Powinnam zaprosić Gię, a nie ciebie. Ona odradzałaby mi tę relację – wytykam.

Byłoby o wiele zdrowsze dla moich szarych komórek, gdyby ktoś wytknął mi powody, dla których brnięcie w tę sytuację, samo rozważanie jej, jest złe. A takich powodów widzę tysiące. Mogłabym wypisać je sobie na małych samoprzylepnych karteczkach i wytapetować nimi sypialnię.

Może tak zrobię.

– I tak by cię to nie powstrzymało.

Prycham tylko. Muszę się zamknąć, i tak za dużo powiedziałam.

Alma się wyszczerza. Naprawdę nie mam pojęcia, co powoduje tę ogromną radość, bo ja jej wcale nie podzielałam.

– Mówisz, jakby wszystko było już przesądzone, a z tego, co wiem, ostatnio nie byłaś wróżką przepowiadającą przyszłość – syczę.

– Ale znam cię. I chociaż teraz kulisz się po kątach... – Szturcha mnie kolanem. – Savannah Malloy, jesteś wojowniczką. Nie pozwolisz, żeby twoje życie skończyło się tamtej nocy.

Tylko że do tej pory... pozwalałam.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Tak. I wiesz co jeszcze?

Normalnie byłabym wzruszona, ale teraz w ogóle nie podoba mi się jej mina. Kojarzy się z osobą bardzo przebiegłą.

– Co?

Alma wstaje i zabiera ze sobą miskę z owocami, zanim zdążę wziąć z niej coś jeszcze.

– Do tej pory twój strach pokonywał każde pragnienie – szepcze. – Ale Bradley Kincaid jest pokusą, której nie stłumią żadne obawy. Na to właśnie czekałaś. – Po tych słowach wali swoim kubkiem o mój w geście toastu, jakbyśmy miały powód, żeby coś uczcić. Akurat.

Ja tu jestem na skraju załamania.

A potem Alma wyjmuję ze swojej torebki mały kartonik i potrząsa nim.

Rubinowa czerwień. Nie ma mowy. Nigdy w życiu nie dam wycisnąć sobie na włosy tej farby. To kolor dla odważnych, a ja, jak wiadomo, odważna nie jestem.

Rozdział szósty

Idź dalej. Nie słuchaj.

Po prostu idź. To nie twoja sprawa.

Prawie udaje mi się przekonać samą siebie, że nie warto tracić energii na te plotkary, ale wtedy jedna z nich mówi...

„Za gwałt”...

A moje opanowanie znika, zastępuje je eksplozja ognia.

Zasugerowała gwałt. Nie mogę w to uwierzyć.

Mam ochotę rzucić się na nią i rozorać jej głupi uśmiech paznokciami. Prawie to robię.

Nie wiem, skąd to się we mnie bierze, ale mam wrażenie, że drzemało tam od dawna, a ta cholerna kobieta swoimi oskarżeniami jakby uruchomiła zapalnik. Ten wybuch mógł mi się przydarzyć w innych okolicznościach, ale zdarzył się właśnie teraz. I coś w środku każe mi zrównać te wredne baby z ziemią.

– Co ty wygadujesz? Naprawdę nie macie lepszego zajęcia niż rozsiewanie tych absurdalnych plotek? – krzyczę. Złość sprawia, że krew w moich arteriach zaczyna wrzeć, a ja muszę dać upust emocjom.

Anna, moja niezwykle wygadana sąsiadka, która wie wszystko o wszystkich, a przynajmniej tak jej się zdaje, opiera się teraz o swój żółty płótek, a na jej twarzy wyryty jest szok.

– Sava... – Urywa, gdy wojowniczo pochylam się w jej kierunku.

Chwytam się pod boki, a czubek mojego nosa prawie styka się z jej głową. Rzadko się zdarza, że mam ochotę komuś przyłożyć, ale przysięgam – ta kobieta jest nie do zniesienia. I wcale nie chodzi o to, że wierzy we wszystko, co usłyszy, a o zamiłowanie do rozdmuchiwania

każdej negatywnej informacji, aż ta nabierze rozmiarów legendy. A jej dwie towarzyszki – zawsze ubrane jak jakieś nawiedzone bliźniaczki – łykają każdą bzdurę i przekazują ją dalej.

– Założę się, że żadna z was nie ma nawet najmniejszego dowodu, poszlaki, by potwierdzić te żalosne, plugawe insynuacje – kontynuuję, wybijając obcasem rytm. – Nie ważcie się więcej rozpuszczać takich plotek, bo...

Silne ramiona oplatają mnie w talii i ciągną w tył, zanim zdołam dokończyć.

Co jest, do cholery?

– Już, opanuj się, kiciu. Wystarczy. – Zmysłowy szept dociera do mojego ucha. – Chodź ze mną. – Brad chwytą mnie za dłoń, ale się zapieram.

– Bradley, co ty tu...? – Dezorientacja ustępuje miejsca zażenowaniu. – Miało cię tu nie być. Nie powinieneś być tego słyszeć.

– Czego? Ich głupiego gadania czy tego, jak zaciekle mnie bronisz? – Uśmiecha się.

Rozglądam się dookoła i uświadamiam sobie, że plotkujące panie zamilkły. Trzy wytrzeszczają na nas oczy, a Anna wygląda, jakby rozważała, czy w jej wieku zdoła dać susa przez płot albo obronić się przed ewentualną napaścią zeschniętym konarem leżącym u jej stóp.

One naprawdę się go boją.

Podobno siedział za gwałt...

Nie. Za dobrze wyczuwam facetów, którzy mają w sobie ten rodzaj okrucieństwa. I coś we mnie, coś, czego nie umiem nazwać, wie ze stuprocentową pewnością, że Bradley nigdy by tego nie zrobił.

– Ja nie...

– Do tej pory rozważałem wzięcie psa obronnego, ale w tej chwili zdecydowanie bardziej wolałbym kota. Może takiego rasy savannah? – droczy się. – Czy to na jego cześć dostałaś swoje imię? Bo bardzo ci pasuje.

Z moich ust wymyka się syk. Zwłaszcza że nadal jestem bezwolnie ciągnięta w stronę mojego domu.

Czy on sądzi, że bym je pobiła? Może ostatnio zachowuję się trochę nieprzewidywalnie, ale nie do tego stopnia.

– Nie drażnij mnie.

W jego oczach rozbłyskują wesołe iskierki.

– Zdecydowanie bardziej wolałbym cię pogłaskać. Gdzie lubisz być głaskana, kiciu? – mruczy, a potem, gdy docieramy do schodów prowadzących na balkon, unosi mnie i przyciska do swojego ciała.

Instynktownie zaplatam nogi wokół jego pasa, a dłonie zarzucam mu na szyję.

– Sam zgadnij. – Kąsam jego szczękę, a potem łagodzę ugryzienie, przesuwając po nim językiem.

Bradley potyka się na ostatnim schodku i klnie, a ja zaczynam chichotać. Podoba mi się, że go zaskoczyłam. I podoba mi się też to, że nasze ciała przylegają do siebie w idealny sposób, jakby ktoś dawno temu przypieczętował nasz los. Stworzył nas jako dwie osobne części układanki, które po ponownym dopasowaniu wstrząsną światem drugiej połówki.

– Jednak nie jesteś udomowionym kotkiem. Udajesz takiego, ale pod postacią potulnego kociaka kryje się nieujarzmiona lwica.

Unoszę głowę, by na niego spojrzeć.

– W takim razie jakim ty jesteś zwierzęciem?

– Może... – zaczyna, przeciągając słowo. – Myszka zabłąkaną na twoim terytorium? Chcesz mnie zjeść?

Śmieję się i mocniej wtulam w jego tors. Od tygodni nie śmiałam się tak szczerze. Od tygodni nie czułam się wolna od cieni kroczących za mną.

– Nie, nie wydaje mi się – odpowiadam. – Mam świadomość, że masz w sobie bestię, nie wiem tylko jakiego rodzaju.

– A co, jeśli zechcę zatopić w tobie kły? Pozwolisz mi?

Prawdopodobnie będę nawet o to błagać. Może całkiem niedługo.

– Jeśli uda mi się to przetrwać – mamroczę. Moje palce kreślą wzory na jego karku, a potem Brad zwalnia uchwyt, więc muszę go puścić i stanąć

na własnych nogach.

Jestem tym w idiotyczny sposób rozczarowana.

– Zapytaj. Wiem, że próbujesz się powstrzymać od wypytywania mnie, ale miasteczko huczy od plotek, a koty są bardzo wścibskie – żartuje, ale gdzieś w jego tonie czai się powaga. Bradley tężeje przy mnie, a jego twarz zamienia się w pokerową maskę.

– Zabawne. – Wymijam go, by rozsiąść się na łóżku. – Kiedy Marcus tu przyjechał, też rozpowiadano o nim wiele absurdalnych historii.

– Czyli nie chcesz niczego o mnie wiedzieć? – powątpiewa.

Nagle mam wrażenie, jakbym siedziała na stercie rozżarzonych węgli.

Ja... pragnę go poznać, a nie oceniać, a sądząc po jego postawie, spodziewa się, że zobaczą go takim, jakim widzą go inni.

– Dlaczego...? – Przełykam ślinę. – Co się stało?

Bradley sięga po ramkę ze zdjęciem ustawioną na wiszącej półce. Fotografia przedstawia mnie, Marcusa i Kirę, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi.

– Prawie kogoś zabiłem – wyznaje.

Czekam, aż ta nowina we mnie uderzy. Spodziewam się, że pogruchoce mi kości, splami brzydotą wszystko, co się między nami wydarzyło, ale nic takiego się nie dzieje.

Nic. Sama nie pojmuję, dlaczego z miejsca akceptuję ten strzępek informacji z jego przeszłości.

Wiedziałaś, że to powie.

Nie. Nie wiedziałam. Skąd miałam to wiedzieć?

– Co ten ktoś ci zrobił? – pytam, lekceważąc zamęt we własnej głowie.

– Wierzysz, że to ja jestem tym dobrym w tej historii, co? – Słyszę szczyptę kpiny.

Nieważne. Niech sobie zgrywa dupka.

– Tak.

Nie odzywa się, minuty zdają się dłużyć w nieskończoność. I tylko mnie obserwuje. Szare oczy skupione są na mojej twarzy. Szukają czegoś...

– Moja siostra zakochała się kiedyś w nieodpowiednim facecie. Na początku nie zwracał na nią uwagi, ale któregoś wieczoru to się zmieniło i od razu potraktował ją jak swoją własność – oznajmia w końcu cicho. – Tamtej nocy zabrał ją do siebie, ale... coś się wydarzyło. Coś ją wystraszyło i wycofała się, a jemu się to nie spodobało. Nie zamierzał jej wypuścić, dopóki nie dostanie tego, do czego, jak uroił sobie w chorym umyśle, miał prawo. – Dłonie Bradleya zaciskają się w pięści tak bardzo, że aż zaczynają drżeć.

Tymczasem moje wnętrze zwijają się w ciasne, bolesne supełki.

– O Boże. Czy on ją...? – Słowo „gwałt” wciąż nie przechodzi mi przez gardło.

Bradley zaprzecza ruchem głowy. Zmusza ciało do rozluźnienia i odstawia trzymaną fotografię z powrotem.

– Zdążyła do mnie napisać. Wpadłem tam w momencie, kiedy miał zamiar ją zgwałcić. I prawie go zatłukłem... – Dyszy. – Zatłukłbym go na śmierć, ale przyjechała policja i mnie powstrzymała.

Zalewa mnie ulga.

– Uratowałeś ją – stwierdzam z podziwem.

Bradleyowi jednak w żaden sposób to nie schlebia. Wciąż bije od niego gniew.

– Zabiłbym go. Wciąż o tym myślę. Czasami wyobrażam sobie, że to zrobiłem. Na wiele sposobów – ciągnie. Kiedy do mnie podchodzi, jego ruchy przywodzą na myśl zakradanie się drapieżnika ku ofierze.

Wiem, co robi. Chce wywołać u mnie poczucie zagrożenia, ale nic z tego.

– Nie winię cię. Czasami wyobrażam sobie straszne rzeczy, jeśli chodzi o Ethana – przyznaję.

W momencie, gdy mnie napadł, zatrzał mnie aż do rdzenia. Głęboko, głęboko w środku, tam, gdzie nikt nigdy nie zajrzy, stałam się podłą osobą lubiącą tworzyć wizje, w których rozlewam krew swoich oprawców. Do ostatniej kropli.

I jest mi z tym niepokojąco dobrze.

Bradley opada przede mną na kolana.

– On cię nie skrzywdził, prawda? Nie skłamałaś, kiedy mówiłaś, że udało ci się uciec, kiedy próbował...

– Uciekłam.

Uciekłaś? Za każdym razem?

Dosyć!

– Kochanie... – Bradley ujmuję moje policzki. – Jego też mógłbym zabić. Poproś mnie o to, a ja...

– Nie kuś – przerywam. – Dlaczego trafiłeś do więzienia, skoro to właściwie była obrona konieczna?

– Bo kiedy ten skurwiol znalazł się w szpitalu, nie potrafiłem zapanować nad pragnieniem wykończenia go – mruczy prosto w moje wargi. –

Poszedłem tam, żeby go dobić. I tego już mi nie odpuszczono. Dostałem trzy lata odsiadki za próbę zabójstwa.

– Przykro mi. Nie zasłużyłeś na to.

– Zasłużyłem na o wiele większą karę. – Opuszcza powieki. – O wiele gorszą – powtarza z udręką.

Jego cierpienie łamie mi serce.

– Pocałuj mnie – proszę.

Nigdy przedtem nie inicjowałam takich bezwstydných roszczeń. Chciałabym powiedzieć, że opanowałam techniki uwodzenia, ale tak naprawdę w tej materii jestem beznadziejna. Nie znam żadnych kobiecych sztuczek, które wabią mężczyzn tak samo jak na przykład feromony. Prawdę mówiąc, ja... nie czuję się atrakcyjna. A czasami, kiedy patrzę na swoje odbicie, widzę tyle skaz... Tyle wad.

Bezwiednie wędruję wzrokiem na ścianę. Kobieta, która patrzy na mnie z lustra, jest taka zepsuta. Zużyta. I brudna.

– Zaczekaj... – sapię w momencie, gdy nasze usta mają się spotkać. – Zaczekaj.

– Nie.

Jego usta miażdżą moje, zanim zdołam choćby zaczerpnąć kolejny oddech. Przylega do mnie jeszcze bardziej. Jedną z jego rąk natychmiast

zaplątuje się w moje włosy i ciągnie mi głowę w tył. Jego język przesuwają się najpierw po mojej dolnej, a potem górnej wardze. Potem je rozchyła i wsuwa się do środka, by pieścić mnie w erotycznym tańcu. Nie, nie w tańcu. To bitwa. Pocałunek jest identyczny jak sam dotyk jego ust – szorstki i gwałtowny, jakby nasza bliskość wyzwoliła w Bradleyu najbardziej prymitywne pragnienie. Pragnienie posiadania mnie na własność.

Gdy czuję, jak jego zęby zaciskają się na mojej wardze, mocno, ostro, wymyka mi się jęk. Dłońmi sunę po torsie Brada. Czuję jego mięśnie pod skórą, jakby napinające się w reakcji na mój dotyk. Potem jego ciało napiera na moje palce, domagając się więcej doznań. Jego druga ręka przykrywa moją pierś i gładzi sutek przez jedwab bluzki, a potem ścisną, tym samym sprawiając, że zachłystuję się powietrzem.

– Kurwa! – warczy Brad, gdy jego usta mkną niżej, na moją szyję. – Nie mam najmniejszego prawa, by cię całować, ale i tak nie zamierzam przestać. Wiedziałem, że będziesz tak smakować.

– Jak?

Ja jestem odurzona, upojona jego smakiem. Mieszkanką słodko-pikantnych nut ze szczyptą typowej dla tego mężczyzny dzikości.

– Jak cholernie uzależniająca słodycz – odpowiada. – Słodycz, która powinna być zabroniona dla mnie. – Znowu mnie całuje. Obsypuje pocałunkami każdy obnażony fragment mojej skóry, a ja mam wrażenie, jakby wypalał na mnie znamiona. Oznaczał mnie z ich pomocą.

W którymś momencie opadam na plecy, a on podąża za mną. Przykrywa mnie sobą, dociskając do materaca. Jego ciężar jest niezwykłą rozkoszą.

– Dotykaj mnie – nakazuję. Sama nie mogę oderwać od niego rąk, mimo iż dygoczą.

Srebrzyste tęczyówki jarzą się od nieskrywanego pożądania.

– Nie wiem, czy umiem być wystarczająco ostrożny i delikatny – mówi.

Rzeczywiście wygląda na to, że ledwie powstrzymuje się przed zerwaniem ostatnich więzów kontroli, ale ja właśnie tego chcę. Wiedziałam, że będzie właśnie taki, a ja potrzebuję możliwości zatracenia

się w jego nieposkromionej energii, która w jakiś zagadkowy sposób ożywia we mnie to, co niegdyś obumarło.

Unoszę lekko głowę, kciukiem głaszczę jego zarost aż do kącika ust.

– Nie potrzebuję tego. Chcę poczuć coś więcej niż strach i ostrożność – chrypię. – Mam tego dość. Od dawna wpadam w panikę, kiedy ktoś próbuje mnie dotknąć, ale kiedy ty to robisz...

– Co się dzieje, gdy ja cię dotykam?

– Znajduję w tym odrobinę spokoju. – Uśmiecham się. – Zupełnie jakbyś sięgał wystarczająco głęboko, by chociaż na chwilę zmasać ze mnie te obrzydliwe ślady, które on we mnie zostawił. – Na dowód swoich słów zaczynam rozpinać guziki jego koszuli. Chociaż tak naprawdę mam ochotę zacząć od rozprawienia się z kłamrą paska w jego spodniach.

– Wiesz, jak bardzo cię pragnę? Ledwie mogę się powstrzymać, by się w tobie nie zanurzyć – mruczy, przesuwając nosem po moim karku. Następnie czuję, jak zaciskają się tam jego zęby, co sprawia, że wyginam biodra ku górze. Ocieram się o erekcję Brada, podsycając jeszcze bardziej własne podniecenie. Chcę to zrobić jeszcze raz i jeszcze, ale wtedy doszłabym zawstydzająco szybko, a pragnę, by ten moment trwał jak najdłużej.

– Podoba mi się twój zapach. Pachniesz jak... – Milknę. – Mieszanka ostrych przypraw z odrobiną czegoś nieprzyzwoitego.

Bradley wyszczerza się zuchwale.

– A ty jak... – Zaciąga się, wdychając moją woń. – Lawenda – dopowiada, a potem chwyta suwak przy mojej bluzce. Odśłania koronkowy stanik, ale nie zdejmuje go od razu, tylko zawadza o miseczkę, by zaraz ją puścić. Chce doprowadzić mnie do szału i udaje mu się to. Ponownie pociąga za biustonosz i obnaża brodawki, ale nie robi nic, tylko dmucha na nie chłodnym powietrzem.

Nie mogę. Czuję pulsowanie w podbrzuszu i wilgoć wzbierającą między udami. Chcę złapać go za włosy i docisnąć do moich łaknących uwagi piersi.

– Bradley – ponaglę go, nie dbając o to, jak desperacko teraz brzmię.

Jedna z jego dłoni wędruje niżej i niżej, aż w końcu zaczepia o skraj mojej spódniczki i znika pod nią. Znowu wypycham biodra, by docisnąć się do jego wyprężonego penisa. Kręcę nimi, a on posyła mi z góry karcące spojrzenie.

Chichot bulgocze mi w gardle, ale natychmiast przeistacza się w głośny jęk, bo palce Brada okrążają moją łechtaczkę. Gdy zatacza maleńkie kółka, przez moje ciało przetaczają się spazmy przyjemności.

– Jesteś bardzo wrażliwa. Ledwie mogę zapanować nad twoimi ruchami – stwierdza z rozbawieniem.

Wbijam paznokcie w jego barki.

– Chcę się o ciebie ocierać – szepczę mu do ucha.

Charakterystyczny dźwięk darcia materiału przecina ciszę panującą w pomieszczeniu. W sekundę orientuję się, że to szwy w moich koronkowych figach puściły przy pomocy dłoni Bradleya. Wznawia pieszczoty mojego łona. Jego kciuk przesuwa się raz za razem, naciska, a Brad wsłuchuje się moje westchnienia.

– Mogę? – pyta.

Mój zamglony umysł nie rozumie, o czym mówi, ale potakuję. Chcę więcej.

Wtedy Bradley zanurza palec w moim wnętrzu. Raz za razem wsuwa go i wysuwa w szybkim tempie, sprawiając w ten sposób, że pragnę krzyknąć.

Zaczynam więc się pod nim od nadmiaru doznań. Włosy przylegają do mojego spoconego czoła, pod skórą czuję łaskotanie rozkosznych płomieni.

– Tak, tak, tak – powtarzam jak zaklęta.

– Jeśli nie wyjdę z tego pokoju oszalały z pragnienia, to będzie cud – burczy Brad. – Powiedz, że chciałybyś, żebym cię lizał tak długo, aż dojdiesz. – Jego dłonie się zatrzymują.

– Proszę. Chcę... Chcę...

Bradley unosi ciemną brew. Rzuca mi wyzwanie.

Wplatom rękę w jego zmierzwiłone włosy i kieruję jego głowę w dół.

– Jesteś zbyt nieśmiała, by mnie o to poprosić, ale nie krępujesz się wepchnąć mojej twarzy między swoje uda – naigrywa się. Oczy mu

błyszczą. Zapraszają do zabawy. A potem bez ostrzeżenia dotyka ustami wrażliwej łechtaczki. Jeden drobny dotyk z miejsca poraża wszystkie wiązki moich nerwów. Język wsuwa się pomiędzy fałdki. Liże mnie bez litości. Nie. Nie tylko liże, on mnie pożera. Łakomie, zachłannie, brutalnie.

Idealnie.

– Nie przestawaj – błagam.

Dociera do mnie seksowny samczy pomruk, odbija się echem od ścian i wraca, torturując moją cipkę cudownymi wibracjami.

– Mmm, czysta słodycz – oznajmia Brad. – Nie skończymy na jednym razie.

Pod rzęsami eksploduje mi tęcza, skóra mnie mrowi.

Czuję, jak jego język zanurza się we mnie, by chwilę później znów rozpocząć od nowa kreślenie okręgów wokół mojego wzgórnka. Ssie mnie i naprzemiennie całuje. Brad niemal ucztuje między moimi nogami, a ja wiję się od trawiącej mnie namiętności. Szamoczę się w zmiętej pościeli, starając się stłumić coraz to bardziej rozpaczliwe jęki.

– Bradley, szybciej. – Jego ramiona nurkują pod moimi biodrami, by mnie unieruchomić. – O tak... – Dociska mnie do swoich warg. Jego język, jak wcześniej palce, penetruje mnie od środka, a kiedy czuję leciutkie draśnięcie zębów, dochodzę.

Łał.

Chwilę zajmuje mi zorientowanie się, że moje paznokcie wciąż są na jego skórze. Więcej, haratają mu szyję do krwi, ale Bradley wydaje się usatysfakcjonowany tym, że zostawiłam na nim swój ślad. Oblizuje opuszkę palca lśniąca od mojej wilgoci, cały czas nie spuszcza ze mnie spojrzenia. Następnie przesuwa szorstkim policzkiem po wnętrzu mojego uda, całuje mnie i wtedy...

Zaczynam piszczeć.

Bard zatapia zęby w mojej skórze i zanosi się śmiechem.

On także zostawił na mnie swój ślad. I to w bardzo intymnym miejscu.

– Masz minutę. Potem pozwolisz mi ponownie nadziać swoją cipkę na mój język – rzuca, zaplątując na palcu kosmyk moich włosów. – Piękne.

Czerwień do ciebie pasuje, kiciu. – Opada na mnie, ja od razu się w niego wtulam.

Jest niesamowicie. A jednak zdradziecki głos w moim wnętrzu szepcze, że jestem oszustką. Że nabrałam Bradleya na ładne opakowanie przewiązane elegancką kokardką, które i tak chowa szpetne wnętrze...

Rozdział siódmy

Mniej więcej sekundę po tym, jak wchodzę do ciemnego korytarza, mam ochotę wstać i wyjść.

Fatalny pomysł.

Tłumy, alkohol. Jeszcze więcej alkoholu. Jakoś... nie lubię tu być. Nawet z Bradleyem.

Tylko że nie dał mi wyboru. A ja prawie liczyłam na romantyczny wieczór.

Jestem głupia. Ten facet ma raczej inną wizję romantyzmu. O ile w ogóle jakkolwiek ma.

I co teraz? Jak się z tego wykręcić? Może udam migrenę? Istnieje szansa, że zaraz nie będę musiała udawać, bo te basy z głośników rozłupią mi czaszkę na dwie części.

Tutaj raczej nie potańczymy walca i nie zjemy kolacji przy świecach.

– Rozchmurz się trochę. Z tą naburmuszoną miną wyglądasz jak kotek po ataku zgrai wściekłych psów – mówi Bradley, przepuszczając mnie w drzwiach.

To uprzejme zachowanie zupełnie do niego nie pasuje. Gość wygląda jak rasowy zabójca, a tacy nie silą się na bycie dżentelmenem. Niszczą wrogów, burzą światy i rujną reputacje kobiet takich jak ja.

A właściwie wszystkich po kolei.

– Twoje dowcipy naprawdę nie są trafione – ripostuję.

Przechodzimy przez salę do stolika w najodleglejszym, najbardziej zaciemnionym rogu pomieszczenia. Co za niespodzianka.

– Teraz wyglądasz, jakbyś chciała rozwalić mi na głowie misę z przekąskami – mamrocze, opadając na fotel. – Obiecałaś, że spróbujesz się dobrze bawić.

Rozglądam się wokół.

To nie jest zwykły lokal. To jakaś cholerna jaskinia grzechu.

Wszystkie światła są przygaszone, włączając w to te na parkiecie, na którym teraz wiruje także chmura jakiegoś dymu. Ściany są niemal czarne, ale migoczą na nich rubinowe odbłaski, sprawiając wrażenie, że gdzieś w środku bucha ogień. Nawet podłoga pod moimi stopami migocze na czerwono.

– Nie podoba mi się, że zmusiłeś mnie do przyjścia tutaj. Nigdy nie lubiłam tłumu i hałasu – odpowiadam.

– Zostaniemy chwilę, wypijemy drinka, zatańczymy, a potem odprowadzę cię i dam buziaka na dobranoc.

Bębnię palcami o podłokietnik skórzanego bordowego fotela. Zapadam się, bo mebel jest tak wielki, jakby zwykle gościł tyłki kogoś w rozmiarze yeti.

– Wprawiłeś mnie w taki nastrój, że nie powinieneś w ogóle liczyć na buziaki – warczę zirytowana.

Bradley pochyła się ku mnie nad stolikiem ze szkła.

– Udawanie, że możesz zmieścić cały świat w swojej sypialni, niewiele ci da. Chcę pomóc.

Znakomicie, teraz on też się dąsa.

– Wyciągając mnie na imprezę pełną pijanych nieznajomych facetów? Genialny pomysł.

– Chodziło o relaksujący wieczór.

– Takie rzeczy mnie nie relaksują. Nigdy mnie nie relaksowały. To akurat nie skutek moich... skomplikowanych doświadczeń. Nigdy nie lubiłam się tak bawić – próbuję wyjaśnić. – Twoja definicja relaksu nie musi równać się mojej. I nic w tym złego, jeśli wolę poczytać książkę niż zapijać się w klubie.

Ręka ozdobiona tatuażami sięga do mojej.

– Nic takiego nie sugerowałem. Chciałem tylko... – Milknie, a potem wzdycha. – Nieważne, jeśli chcesz, możemy darować sobie taniec i drinka. Włóż kurtkę.

Wydaje się taki zrezygnowany, że dopadają mnie wyrzuty sumienia, iż tak na niego naskoczyłam. Nie zrobił nic złego, zaproponował mi wspólne wyjście i może ciężko to nazwać wymarzoną randką, ale...

Obserwuję, jak ściąga moje okrycie z wieszaka. To niby nic wielkiego, ale ma spore znaczenie. To wyraz troski. Ten mężczyzna tak podobny w moich oczach do lwa, którego szkic ozdabia skórę jego klatki piersiowej... Silny, dumny, bez wątpienia niebezpieczny i dominujący samiec alfa... Nie używa swojej potęgi, by mnie zgnieść, tylko po to, żeby strzec. Chroni mnie i w ten sposób umiejętnie rozbija na kawałki moją zimną skorupę. Pragnie mnie i uczy, że pragnienie może być piękne, a nie odpychające.

– Zaczekaj... – odzywam się i wstaję, by pociągnąć go na fotel tuż przy moim. – Na pewno jesteś specem od prawidłowego picia tequili. Zawsze chciałam tego spróbować. Na filmach wyglądało... intrygująco.

W szarych oczach migoczą przekorne błyski.

– Aha. Paniusia z wyższych sfer zapewne nigdy nie raczyła się tak nędznym trunkiem! – Naśmiewa się. – Wiesz, na co się porywasz?

Pewnie na kolejną katastrofę.

– Po prostu rusz tyłek i złóż zamówienie. – Pstrykam palcami w stronę baru.

Bradley kręci głową, ale wiem, że tylko mi dokuczają, bo zaraz podnosi się i znika. Wpatruję się w jego sylwetkę przeciskającą się przez zgraję nie do końca trzeźwych ludzi. Oczywiście nie czeka w kolejce, a barman zaraz wykonuje jego polecenie. Nawet tu i teraz potrafi po królewsku podporządkować sobie ludzi.

– Niecierpliwisz się? – zagaduje z uśmiechem, układając tacę na środku blatu. Ponownie siada przy mnie, a nie naprzeciwko.

– Dlaczego znów wyglądasz... jakbyśmy mieli zrobić coś nieprzyzwoitego?

Ma taką minę... Że wszystko we mnie spina się w oczekiwaniu na... zasadzkę. Jego dłoń opada na moje udo, przykrywając brzeg sukienki.

– Wiesz, że nie musiałaś szukać pretekstu, żeby mnie polizać? A może to wskazówka, że chciałybyś, abym to ja znowu polizał ciebie? – pyta, przygryzając płatek mojego ucha.

Wiercę się i zapadam jeszcze głębiej w tym głupim fotelu. On też jest pułapką, która sprzyja planom Brada.

– Faceci myślą jednotorowo. – Udaję zde gustowaną, ale fakty są takie, że w mojej wyobraźni przewijają się wspomnienia tego, co robiliśmy ostatnio u mnie w sypialni. Było... sporo lizania. – Jak mam to zrobić? – dociekam zachrypniętym tonem.

– Zaczynij od zwilżenia miejsca, które posypiemy solą.

Czemu wszystko, co mówi, musi mnie tak podniecać?

– Jakiego miejsca?

Ręka spoczywająca na mojej nodze przesuwa się ku górze, jednocześnie odsłaniając więcej skóry. Mimowolnie zaciskam uda, co okazuje się błędem, bo jego palce teraz tkwią w pułapce między nimi. Kciuk gładzi skraj pończochy, a na końcu wsuwa się pod nią.

– Jest wiele możliwości. Daj się ponieść wyobraźni, kiciu. – Wolną dłonią ujmuje moją rękę, a potem pochyla się i liże mój nadgarstek. – To na początek. – Wyszczерza zęby w lubieżnym uśmiešku.

Ten facet doprowadzi mnie do szaleństwa. Bardzo szybko.

Dobra. Też mogę w to zagrać, w końcu biorę przykład z eksperta.

– W porządku – zgadzam się. Następnie odwracam nasze dłonie, by móc pocałować nadgarstek Bradleya. – Ja wybieram... – Przesuwam językiem po jego palcu wskazującym, a potem zamykam na nim usta.

Brad zasysa oddech. Jego spojrzenie mętnieje od pożądania, a ręka na moim udzie zaciska się niemal boleśnie.

– Wystarczy – sapie.

– Jesteś pewien? – Ssę delikatnie opuszkę. Wsłuchuję się w jego oddech, słyszę, jak dyszy. Potem zamiera. Jego mięśnie zmieniają się w kamienie.

To wręcz niezwykle. Kilka minut temu zastanawiałam się, czy zdołałabym wydłubać odrobinę waty z tej wielkiej poduchy robiącej za fotel, żeby wetknąć ją sobie do uszu i zagłuszyć to frustrujące dudnienie z głośników, a teraz... Teraz wszystkie moje zmysły wyłapują tylko reakcje mężczyzny obok mnie. Prawie jestem w stanie usłyszeć przyspieszony rytm jego serca.

– Uważaj, mała prowokatorko. Pewne bestie bardzo szybko zrywają się z łańcucha – ostrzega i wysuwa palec spomiędzy moich warg. – Teraz skropimy odrobinę mokre miejsce sokiem z limonki i posypimy je solą – oznajmia, a później zagarnia ćwiartkę owocu i wyciska z niego sok na mój nadgarstek.

– I co będzie dalej?

– Powtórka twojej ulubionej czynności. Zlizujemy sól – tłumaczy i zaczyna sunąć ustami wzdłuż niebieskich żyłek widocznych pod moją skórą. – Bardzo dokładnie.

Paznokcie wrzynają mi się w tapicerkę podłokietnika. Mam wrażenie, że gdzieś za moimi plecami następuje erupcja wulkanu. Czuję to wszystko – wstrząsy przybierające na sile, osaczającą mnie lawę, która zionie gorącem i parzy mnie od środka.

– Jak każesz – mruczę. I powtarzam wszystko za nim. Zwilżam jego palec kwaśnym sokiem, posypuję solą, a na końcu znów wsuwam między wargi i zaczynam ssać.

– Do ostatniego kryształka, Savannah – żąda.

Nie mam nic przeciwko takim rozkazom. Zwłaszcza gdy są wydawane zaborczym szeptem. Wsuwam palec nieco głębiej i obwodzę czubkiem języka. Pieszczę go w bardzo znaczący sposób, a Bradleyowi i jego nabrzmiewającej erekcji najwyraźniej się to podoba. Nie umyka mi, jak mężczyźnie podskakuje grdyka, gdy próbuje stłumić jęk.

W którymś momencie jego dłoń, nurkująca pod moją sukienką, dotyka tasiemki fig. Uświadamiam sobie, że naruszyłam granicę i w ten sposób wybudziłam z drzemki jego samczą chęć posiadania.

Nigdy nie powinnam zapominać, z kim tak naprawdę mam do czynienia.

Bradley, mimo swej zwodniczo spokojnej postawy, wciąż błądzi wzrokiem po moim ciele i jest gotowy rzucić się do ataku. Wiem, że byłby w stanie doprowadzić mnie tutaj do orgazmu. Rozpalałby mnie swoim dotykiem tak długo, aż stałabym się zupełnie uległa.

Drugi palec dociska się do mojej łechtaczki. Czuję tępy ból okraszony przyjemnością.

– Mmm – wyrywa mi się, a potem się odsuwam. Muszę.

Bo zostały mi jakieś cztery sekundy do usadowienia się na jego kolanach i wicia się przy nim jak kotka w rui.

– A teraz pij. Do dna. – Podsuwa mi kieliszek z tequilą, a ja pozwalam mu sobie napić.

Krzywię się. Alkohol sprawia, że piecze mnie gardło.

– Cholera, jakie to mocne – skarżę się.

– Włóż limonkę do ust i possij.

– Długo czekałeś, żeby użyć tych słów, co? Twoje ulubione dwuznaczne polecenie? – Chichoczę.

– Dwuznaczne? – Uśmiecha się, ewidentnie jest rozbawiony. – Teraz ciekaw jestem, czym w twojej ślicznej, niewinnej główce jest limonka, kiciu.

– Obwiniasz mnie, chociaż sam właśnie zrobiłeś z tego perwersyjną sztukę?

Bradley chwytą mój wiszący kolczyk i obserwuje, jak ten odbija refleksy światła.

– To ty podsuwasz mi taką wizję – zaczyna. – A poza tym smak twojej skóry to czysta rozkosz. A gdybym chciał spijać tequilę z twojego ciała?

Ta uwaga sprawia, że zaczyna brakować mi tchu.

– Co?

Nagle Bradley strąca coś ze stolika i pochyla się, żeby to podnieść.

Nawet nie tknęliśmy przekąsek, ale nic dziwnego. Oboje mamy apetyt na coś zupełnie innego.

Wtedy orientuję się w jego prawdziwych zamiarach. Przyklęka na jedno kolano, a jego palce przesuwają się w górę mojej nogi, od kostki na kolano i wyżej.

– Co, gdybym chciał zlizywać sól i wysysać sok limonkowy z twoich ud? – ponawia pytanie. – Teraz. Tutaj.

Drzę.

Bradley przylega ustami do mojej skóry, jakby w niemej zapowiedzi tego, co chciałby ze mną zrobić. Jego język zostawia mokre ślady po wewnętrznej stronie uda, a zęby znaczą skórę tysiącami małych ukąszeń.

Niemożliwe, że to robi. Jesteśmy w klubie pełnym ludzi. Tłoczą się wszędzie – na parkiecie, przy barze, przy stolikach. Na szczęście wybrałam łóżę skąpaną w niemal całkowitym mroku, ale gdyby ktoś przechodził wystarczająco blisko i tak nakryłby nas na... tym.

Bradley całuje mnie coraz wyżej, za moment dotrze w zdecydowanie zakazane rejony. Przecież nie zamierza wsadzić mi głowy pod sukienkę w miejscu publicznym. Racja?

Lampki na podłodze mrugają jaśniejszym światłem, a ja podskakuję, prawie wbijając przy tym obcas szpilki w bark mężczyzny.

– Może...

Wytatuowana ręka zatrzymuje się na zapiętych pod kokardkami haftkach przezroczystych pończoch. Najpierw Brad wwierca we mnie swe oczy, a następnie przesuwając wargami wzdłuż koronki, ku wnętrzu mojego uda. Jego ciepły oddech owiewa moją wilgotną cipkę. I...

Rozdzwania się jego komórka.

– Kurwa – klnie i już ma zignorować połączenie, ale jednak zerka na ekran. – To mój brat, muszę odebrać, ale nie usłyszę go tutaj. Wyjdiesz ze mną na zewnątrz czy zaczekasz?

Wyjść? Żartuje sobie chyba. To by oznaczało, że muszę wstać, a od pasa po palce u stóp jestem teraz trzęsącą się galaretką.

– Poczekam.

Bradley podnosi się z triumfalną miną. Zdaje sobie sprawę, jak na mnie działa i pławi się w tym uczuciu.

– Co tam, dupku? Zawsze dzwoniisz w chujowym momencie, masz jakiś radar czy co? – rzuca do telefonu zamiast powitania i oddala się w ku wyjściu.

Parskam pod nosem.

– Pewnie uznasz to za żenujący tekst, ale odkąd na ciebie spojrzałem...
– Jakiś mężczyzna podchodzi i wpatruje się we mnie. – Jesteś najpiękniejszą kobietą w tym klubie – dodaje.

– Dziękuję – mamrocze niezręcznie.

Obcy się uśmiecha.

– Pozwolisz, że się dosiądę? – Zajmuje miejsce Bradleya, zanim w ogóle mogę zebrać się w sobie, by mu odmówić.

Wyczuwam kłopoty.

– Ja... jestem tutaj z kimś.

Nieznajomy ubrany w jasne jeansy i elegancką koszulę częstuje się orzeszkami z miseczki.

– Wiem, ale jego teraz tutaj nie ma – zauważa. – Może to moja jedyna okazja, by przekonać cię, że powinnaś wyjść stąd ze mną, a nie z tym wydziaranym kryminalistą.

Błyskawicznie się najeżam.

– Ten zupełny brak taktu to twój jedyny sposób na pokonanie przeciwnika? – dociekam z kpina.

Facet zaczyna głośno rechotać. Poważnie, śmieje się, jakby był na występie światowej sławy komika.

– Ostra z ciebie ślicznotka. – Zniża głos i nachyla się w moją stronę. – Ostra jak brzytwa.

Wkurza mnie swoboda, z jaką się do mnie odnosi. Chyba jest jednym z tych, którzy sądzą, że kobieta powinna być im wdzięczna za to, że zwrócili na nią uwagę.

– Wolałabym, żebyś się odsunął.

Nie reaguje, a potem kładzie dłoń na oparciu fotela obok mojej...

– Ogłuchłeś, popierdoleńcu? Czy cierpisz na jakiś szczególny rodzaj upośledzenia, który nie pozwala ci zrozumieć, co ktoś do ciebie mówi? – Bradley pojawia się za jego plecami. Jego głos roznosi się echem po klubie niczym huk grzmotu.

– Wiedziałem, że będziesz właśnie taki. Agresywny, wulgarny, sfrustrowany swoją niedolą prostak – odrzeka ten drugi, podnosząc się z miejsca. – Możesz mnie uderzyć, jeśli ci dzięki temu ulży. – Staje blisko Bradleya. Tak blisko, że niemal nadeptuje mu na czubki butów. I rozkłada zapraszająco ręce.

– Dobra.

Pięść opada na szczękę nieznanego mężczyzny z niemal nadludzką prędkością.

Zszokowana podrywam się z fotela i owijam rękę wokół ramienia Brada, chcąc interweniować.

– Bradley!

Jednak on zdaje się w ogóle mnie nie zauważać. Jest tak nabuzowany wściekłością, że coś nakazuje mi pozostać nieufną wobec niego.

Obcy facet spluwa krwią i zaczyna badać palcami obrażenia na swojej twarzy.

– Ty porąbany kutasie, prosisz się o duże problemy – mówi, a potem doskakuje do Bradleya, by wymierzyć mu cios.

Cofam się przerażona. Niezdolna do jakiegokolwiek ruchu, przyglądam się, jak obaj mężczyźni okładają się nawzajem.

Jak mogło do tego dojść? Kilka minut temu świetnie się bawiliśmy, a teraz... wszystko runęło.

– Przestańcie, proszę! – krzyczę. Udaje mi się odciągnąć Bradleya i stanąć między nimi.

– Teraz mam na nią jeszcze większą ochotę. Musi mieć niezłą cipkę, skoro tak łatwo wpadasz w szal zazdrości – syczy obcy, a potem zwraca się do mnie: – Czyli, mała, muszę być takim pokurwieńcem jak ten tutaj, żebyś chciała rozłożyć przede mną nogi?

Jego głos ocieka jeszcze większym jadem.

Koniec. Resztki opanowania Bradleya ulatują, tłumi je narastający gniew. Mężczyzna najpierw chwyta przeciwnika za poły koszuli, a potem rzuca nim na ścianę prawie jak jakąś szmacianą laleczkę. Zamroczony nieznajomy próbuje wyprowadzić obronny cios, ale Bradley uchyla się z łatwością.

– Zatłukę cię. – Kolanem wali faceta w zębra. Jeden raz, potem drugi. – Nie waż się do niej mówić i na nią patrzeć, bo połamię ci każdą kość w ciele i spuszczę z ciebie całą krew – dyszy.

Przyciśnięty do ściany nieznajomy próbuje stawiać opór, ale jego ciosy nie są celne. Boksują jedynie powietrze, podczas gdy Brad nie chybia ani razu. Na pewno jest zaprawiony w bójkach, w walkach każdego rodzaju. Tak samo zapewne jak mój brat. Jest teraz zabójczą maszyną. Tak, jakby wyłączył pstryczek z napisem „człowieczeństwo”. Prawie czuję bijące od niego pragnienie...

Pragnienie, by kogoś rozszarpać.

Grad pięści i kopnięć nie ustaje, nieznajomy próbuje odepchnąć Bradleya i go przewrócić, ale to tylko bardziej go rozjusza. W jego dłoni nagle pojawia się butelka z alkoholem porwana z jednego ze stolików. Brad wali nią o róg blatu, sprawiając, że sypie się szkło.

Jeden ostry fragment połyskuje w palcach Bradleya. Po chwili przysuwa ostrze do gardła przeciwnika.

– Nie – szepczę zrozpaczona. – Proszę, przestań. Przestań – powtarzam, podchodząc od tyłu. Chcę Brada objąć, ukoić, ale kiedy obejmuję ramionami jego tors, odwraca się do mnie i...

Nie wiem, co się dzieje. Po prostu... lecę. Niespodziewanie zostaję poderwana, a potem moje plecy przylegają już do blatu stolika. Bradley popycha mnie mocno, dociskając moje łopatki do zimnej płyty. Unieruchamia mnie z niepokojącą łatwością i zawisa nade mną. Ktoś chyba krzyczy i klnie, ale ja dostrzegam tylko jedno.

Jego oczy. Owładnięte mrokiem furii. Prawie czuję, jak złość pokrywa jego ciało i przenika w głąb mnie.

– Co ty wyprawiasz, stary? – przemawia ktoś nieopodal. – Spokojnie, zrobisz jej krzywdę.

Jestem zbyt oszołomiona, by choćby spróbować się ruszyć. Serce łomocze mi pod żebrami, adrenalina krąży w krwiobiegu.

Brad wplątuje palce w moje włosy i szarpie za nie, by odchylić mi głowę.

– Bradley? – odzywam się ledwie słyszalnie.

Ukrywa twarz w zagłębieniu mojej szyi.

Jeden szorstki pocałunek i jeden głęboki wdech.

Zauważam kilka drobnych odłamków szkła rozrzuconych na krańcach blatu, na którym leżę, a gdy przesuвам rękę wyżej, jeden z nich wrzyna mi się w skórę.

Po moim kręgosłupie wspina się dreszcz.

– Twój zapach mnie uspokaja – mruczy Bradley już o wiele łagodniej. I wciąż mnie wacha, wręcz wdycha, jakby to naprawdę skutecznie tłumiło w nim agresję.

Pojawia się poczucie ulgi. Już wszystko dobrze. Wszystko dobrze.

A potem mój wzrok odnajduje odłamki szkła na stole, na którym leżę.

Bradley mnie nie skrzywdził. A jednak niewiele brakowało.

Zbyt niewiele...

Co gorsza, nie mogę pozbyć się wrażenia, że kiedy przygwoździł mnie do blatu... Wcale go tu ze mną nie było.

Rozdział ósmy

Szczypię się w przedramię.

Nic. Nie budzę się. To nie jest żadna fatamorgana. Ani też ułuda.

Co się stało z moją sypialnią? Dlaczego na ścianach widnieje stos zdjęć Bradleya Kincaida?

Tak, aż siedem. I to nie są zwykłe zdjęcia. To są bardzo, bardzo, bardzo grzeszne fotografie. Jak do tego doszło?

Z każdej strony atakuje mnie sześciopak mięśni.

Nie do wiary, cholera.

Co ten facet sobie wyobraża? Ostatnio na naszej absolutnie nieromantycznej, w ogóle nieudanej niby-randce prawie przyprawił mnie o atak serca, zamienił moje myśli w jeden wielki zamęt, a teraz robi coś takiego? I co ja mam z tym począć?

Czy on...?

– Chciałabyś się przyjrzeć bliżej któremuś ujęciu? Przeprowadzić małą inspekcję? – Gdzieś z tyłu rozbrzmiewa męski głos. Bardzo zadowolony głos. – A może wolisz od razu skosztować?

Nawet się nie odwracam, ponieważ dosłownie wmurowało mnie w ziemię.

Jeszcze raz. Od początku. Co się stało z moim pokojem?

– Masz irytujący zwyczaj zakradania się bezszelestnie. Wystraszyłeś mnie – wytykam rozdrażniona.

Oto winowajca całego zamieszania. Ten... Ten diabeł udekorował mi ściany... On...

– Nie chciałem ci zakłócać gapienia się – ciągnie Bradley. – Skoro już tu jestem, nie musisz podziwiać mnie z daleka. – Okrąża mnie i przystaje krok przede mną. Ręce wetknął w kieszenie wytartych jeansów, ma na sobie czarną koszulkę z jakimś tajemniczym znakiem, okulary przeciwsłoneczne przesłaniają mu oczy.

Mam ochotę rozbić mu coś na łbie. Bo chociaż udaje niewzruszonego, wiem, że te ciemne szkła coś kryją. Coś cwanego, podstępnego. Wrednego.

Tylko on mógł wpaść na pomysł, żeby włamać mi się do domu, kiedy wyjdę na spacer, i zdemolować moją prywatną przestrzeń. Przekształcić tę spokojną i dystyngowaną sypialnię w kajutę jakiejś napalonej nierządniczy.

– Nie gapiłam się. To wszystko z powodu zde gustowania – mówię, gdy w końcu udaje mi się oderwać wzrok od plakatów.

– Oczywiście. Podać ci chusteczkę? Za minutę zaczniesz się ślinić na swoją drogą marmurową podłogę.

– A ty będziesz się po niej czołgać z powodu uszkodzonych jąder – odparowuję. – Kto ci pozwolił wytapetować mi pokój swoimi pornozdjęciami?

Warto napomknąć, że jest ich aż siedem. SIEDEM!

I wszystkie są takie... nagie. Odsłaniają opalone, twarde mięśnie. Fotografie są nawet majestatyczne, a może też nieco artystyczne.

I na pewno bardzo pornograficzne.

Bradley pociąga palcami za tasiemkę przy mojej bluzce. Włożyłam dziś biały sznurowany gorset. A on, jak widać, chętnie by go ze mnie zdjął.

– Dałam ci to, czego skrycie chciałaś. Będziesz miała przyjemniejsze sny i pobudki – szepcze.

– Co ty tutaj właściwie robisz?

– Kto wie? – Unosi okulary i wkłada je we włosy. – Może przyzywałaś mnie tutaj swoimi psotnymi myślami? Przywabiłaś trawiącym cię teraz głodem?

– Jesteś...

– Dlaczego dotąd nie podziękowałaś mi za hojny podarunek? Damie to nie przystoi – wtrąca i pochyla się, jakby oczekiwał pocałunku.

Marszczę czoło.

– Nie widzę tu żadnego podarunku, który można by nazwać hojnym.

– Racja. Ta najbardziej hojna część prezentu wciąż pozostaje ukryta.

– Że niby gdzie?

Na ustach Bradleya wykwita perwersyjny uśmieszek.

– Czy ty właśnie spojrziałaś na moje krocze? – mruczy.

Od razu kieruję wzrok na jego twarz. Nawet nie zauważyłam, kiedy moje zdeprawowane gałki oczne mnie zdradziły.

– Co? – Obruszam się. – Skąd. Nie. Wcale.

A jeśli już, to było ironiczne spojrzenie. Prawie.

Szorstkie wargi przesuwają się po moim policzku w surowej pieszczocie.

– To był strzał w dziesiątkę, kiciu. W spodniach też mam dla ciebie niespodziankę, która może ci zaimponować, ale tym razem chodzi mi o to, co jest w tym pudełku. – Potrząsa kwadratowym kartonikiem, który trzyma w jednej dłoni. – Powiedz szczerze, zauważyłaś je czy byłaś zbyt zajęta wyobrażaniem sobie mnie bez ubrania?

Mrugam.

Ja naprawdę... Chodzi o to, że ta mała skrzyneczka musiała pojawić się tutaj za sprawą jakichś czarów sekundę temu, bo przecież nie byłam aż tak roztargniona, żeby ją przeoczyć.

Rumienię się.

– Nie znoszę cię. Sprawiasz, że mam ochotę rzucać w ciebie różnymi rzeczami – warczę.

Bradley sięga do różowego misia znajdującego się na mojej półce. Chyba bawi go to, że mam kolekcję pluszowych maskotek.

– Gdybyś rzuciła we mnie na przykład swoim stanikiem, to wcale bym nie protestował – odpowiada. W tonie jego głosu uwydatnia się niegrzeczna nuta.

Nie. Tym razem nie dam się zwabić w pułapkę.

– Po co przyszedłeś? I choć boję się pytać, chcę wiedzieć, co masz w tym kartonie.

– Uchylę rąbka tajemnicy, ale obiecaj, że otworzysz dopiero przed snem.

Skonsternowana zerkam na pudełeczko. Chyba jednak już dawno tkwię w tej pułapce.

Po tym mężczyźnie spodziewam się wszystkiego. Najpewniej czegoś sprośnego.

– Czy to twoje ulubione filmy z kolekcji tylko dla dorosłych? – pytam i krzyżuję ramiona na piersi. Wciąż czuję się... rozbierana. Nawet jeśli Bradley na moment porzucił rozsznurowywanie mojego gorsetu.

– Na to nie wpadłem. Następnym razem. – Jego twarz staje się poważna. – Ja... chciałem przeprosić za to, co się stało w klubie. Straciłem kontrolę i wystraszyłem cię.

Ciepło, które zaczęło już kiełkować w moim ciele w odpowiedzi na jego przekomarzania, znika nagle – zupełnie jakby ktoś chlusnął na mnie lodowatą wodą.

– Sprowokował cię i ostatecznie stanąłeś w mojej obronie, nawet jeśli potem zabrnęło to trochę za daleko. Każdemu może się zdarzyć – uspokajam.

Postanowiłam nie wyolbrzymiać tego pechowego zajścia. A fakt, że Bradley przyszedł tu, żeby przeprosić... jeśli nawet na swój oryginalny i wyuzdany sposób utwierdza mnie w przekonaniu, że podjęłam słuszną decyzję. Nie trzeba być jasnowidzem, żeby się zorientować, że ten facet nie kaja się często.

Tylko że... Bradley wcale się nie rozpogadza, słysząc moje słowa. Przeciwnie, staje się jeszcze bardziej ponury.

Zostawia kartonik na szafce, a sam przysiada na łóżku.

– Ale mnie to się zdarza częściej niż komukolwiek innemu – wyznaje. – Widzisz, powinienem cię ostrzec. Jestem nieźle popierdolony. Naprawdę na całego. – Śmieje się, ale jest to śmiech pełen gorzkości.

Cofam się bezwiednie.

– Dlaczego tak mówisz? – szepczę.

– Cierpię na zaburzenia psychiczne, które czasami mogą mi utrudnić kontrolowanie agresji. Miewam napady gniewu, czystego szału. Może je wywołać nawet coś błahego.

Mam wrażenie, że mój żołądek przygniata wór kamieni.

– Nie rozumiem.

– Jestem pojebem, Savannah. Szczegóły nie są ważne. Ja...

– Oczywiście, że są. Jeśli jesteś chory, te objawy to nie twoja wina – przerywam i opadam na materac przy jego boku. – Przecież nie zapadłeś na tę chorobę na własne życzenie.

Bradley odnajduje moje spojrzenie, gdy chwytam go za rękę. Szare tęczy wyją się takie zgnębione, zrezygnowane.

– Nie powinnaś być wobec tego wyrozumiała. Już próbowali mnie ocalić, ale przynosiłem im tylko cierpienie – mówi i wrywa dłoń z mojego uścisku. – Nie rozumiesz? Wystarczy drobnostka i może mi odbić. Nie da się tego przewidzieć.

To, że mnie odtrącił, że jest teraz taki zdystansowany, boli o wiele bardziej, niż powinno. Patrzę na niego i widzę, jak się zamyka. Wszelkie emocje giną w ciemności, która narodziła się w jego wnętrzu i wciąż go oplata.

Znowu sięgam po dłoń Brada.

– A można to zatrzymać? – dopytuję.

– Biorę leki, ale one tłumią objawy tylko do pewnego stopnia. Jeśli coś poruszy tę moją destrukcyjną stronę zbyt mocno, pigułki mnie nie zatrzymają, gdy wpadnę w szal niszczenia – tłumaczy cicho.

Patrzę na skaleczenie tuż przy nadgarstku, które powstało wczoraj podczas bójki w klubie. Bradley przesuwając po nim opuszką kciuka.

Przemoc. Skłonność do agresji... Słyszałam o co najmniej kilku chorobach, przy których mogą wystąpić takie objawy, ale cokolwiek dolega Bradleyowi... To był wypadek.

A może coś więcej?

– A te ataki... – zaczynam nieco drżącym głosem. – Skąd się u ciebie wzięły? Wiesz?

– Nie ma pewności. Może mam to gównno w genach, a może coś mi się pojebało w głowie na skutek traumatycznych doświadczeń. Miałem... dosyć chujowe dzieciństwo.

Opieram podbródek na jego barku i gładzę go po włosach.

– Przykro mi.

Bradley podrywa się z łóżka i odsuwa ode mnie.

– Nie. Nie. Nie. Powinnaś powiedzieć, że mam się trzymać od ciebie z daleka. – Szarpie za klapy swojej kurtki. – Jestem zagrożeniem... Jestem...

Wstaję i bez zastanowienia wtulam się w niego.

– Bradley – mówię cicho. – Przestań.

Czuję jego wzburzenie, ale wiem, że to jedynie perfekcyjny kamuflaż dla targającej nim bezradności.

– Powiedz to – nalega ochryple. – Powiedz, że mnie nienawidzisz. Gardzisz mną. Czujesz wstręt.

– Już dobrze – powtarzam.

Miota nim potrzeba... samopotępienia. Chce, żebym go odrzuciła, a raczej spodziewa się tego.

Czy inni właśnie tak reagowali, gdy odsłaniał przed nimi swoje słabe punkty? Wygląda na to, że... przywykł do tego, by cierpieć zupełnie sam.

Wymyka mi się pojedyncza ła, ale prędko wycieram ją o jego koszulkę.

– W klubie... – zaczyna.

– Już dobrze, kochanie. – Ponieważ nie zanosি się na to, by odwzajemnić mój uścisk, sama biorę jego ręce i owijam się nimi w tali.

– Mogłem cię skrzywdzić w klubie. – Wzdycha i w końcu przyciąga mnie do siebie. – Jesteś kolejnym czynnikiem, który to we mnie wyzwala. Jesteś zapalnikiem bomby.

Uśmiecham się mimo niezłe porąbanych okoliczności. To raczej komplement.

– To znaczy, że ci na mnie zależy! – Chichoczę uszczęśliwiona.

To znaczy również, że mimo iż zwykle w jego pobliżu czuję się podobnie do motyla, który miałby zabiegać o sympatię aligatora, to jednak jakoś przedarłam się przez pancerz dzikości Brada.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Mój uśmiech staje się jeszcze szerszy, gdy widzę gburowaty grymas znaczący twarz mężczyzny.

– Słucham i wiem, że gdyby ci na mnie nie zależało, nie wpływałabym tak silnie na twoje emocje – mamroczę.

Jego usta opadają na moje, ale trudno nazwać to pocałunkiem. To raczej muśnięcie. Później w ten sam sposób dotyka wargami małej ranki na moim nadgarstku.

– Przepraszam, kiciu.

– Za co?

– Nie chcę od ciebie odchodzić.

W moje serce wbijają się setki żyletek i tną je na kawałki.

Jezu. Ten facet mnie zabija. A mnie podoba się to umieranie.

Jestem w pieprzonych tarapatach.

Tylko że on jest ze mną szczery, a ja... go oszukuję. Bradley widzi we mnie coś na kształt drogiego skarbu, którego nie jest godzien z powodu całego swojego bagażu. I nie wie, że tak naprawdę z każdą kolejną mijającą chwilą tracę na wartości. Staję się falsyfikatem.

– Miałeś mi dać wskazówkę, co jest wewnątrz pudełka – przypominam i odsuwam się od Brada z ociąganiem.

– Coś... – Kącik jego ust drży leciutko. – Do zabawy dla niegrzecznych kotków. Bardzo niegrzecznych.

– A te komplety bielizny zawieszona na ramach?

No właśnie, do tych... sprośnych plakatów dołączone zostały dopasowane zestawy bielizny. Były zaczepione na złotych rogach ram, w których tkwiły fotografie. Każdy komplet w innym kolorze, ale wszystkie co do jednego z koronki. Powycinane tak śmiało, że zawstydzilyby nawet panie tańczące w klubach go-go.

– To część naszej sekretnej gry – wyjaśnia Brad. – W środku pudełka znajdziesz instrukcję. Do każdej zabawki dodałem karteczkę. Włóż dowolny komplet, a ja dzięki niemu będę wiedział, której zabawki chciałabyś użyć. Jaką fantazję spełnić.

Zabawki?

Dziwnie podenerwowana wwiercam spojrzenie w niewielki kartonik.

– Czy tam naprawdę są... te rzeczy? – Przełykam z trudem ślinę.

Oczy Bradleya migoczą przebiegle.

– Coś mi mówi, że... te rzeczy sprawią ci więcej frajdy niż kłębek włóczki, kiciu – oznajmia, biorąc w palce naszyjnik z pereł zapięty na mojej szyi. Pod pretekstem obejrzenia go skrada mi szybki pocałunek. – Do zobaczenia – dodaje, po czym odwraca się i ze zwinnością typową dla jaguara zeskakuje z mojego balkonu.

Jasne, na co komu schody? A przede wszystkim...

Co ja teraz niby zrobię z tymi zbrednymi portretami? Przecież nie mogą tak tu wisieć.

Moja obsesja na punkcie Bradleya Kincaida musi pozostać ściśle tajna, i to tak długo, jak to możliwe.

Rozdział dziewiąty

Od zawsze wolałam spędzać czas na łonie natury niż w otoczeniu ludzi. Odgłosy miasta nie mogą się równać z szumem lasu czy śpiewem ptaków. Gdybym mogła, właśnie tu postawiłabym mały drewniany domek – zamiast zimnej, luksusowej willi, w której mieszkam.

Mam kilka ulubionych sekretnych miejsc, w których czasami przesiaduję godzinami. Patrząc na spokojną wodę jeziora i czyste niebo, odnajduję ukojenie, które ostatnio stało się dla mnie rzadkim darem.

Jednak nawet tutaj, w znanych miejscach, nie umiem się już rozpoznać.

Spaceruję pod gałęziami gigantycznego zielonego dębu i usiłuję przekonać samą siebie, że wiem, kim jestem. Że cokolwiek się dzieje, nie ma to znaczenia.

Że jestem szczęśliwa.

Ale czy ja w ogóle wiem, co to znaczy?

– Jesteś świetna w chowaniu się. – Rozbrzmiewa za mną swawolny głos. – Niestety to tylko zachęca drapieżcę do rzucenia się w pościg.

Bradley Kincaid wyłania się zza drzew. Zmierza ku mnie wolnym krokiem, a przez to sprawia wrażenie, że wszystko wokół jest na jego łasce.

– A ty masz wprawę w tropieniu – odpowiadam, rozciągając usta w uśmiechu.

Przystaje obok mnie i wyjmuje mi z dłoni jeden z kwiatów, które zdążyłam zerwać na przechadzce.

– Masz ochotę popływać toples? – Wskazuje głową szumiący nieopodal potok. Jego wody, silne i rwące, błyskawicznie mkną między skałami.

– Zwariowałaś? Mamy początek wiosny. Rzeka jest jeszcze lodowata – prychnam.

Bradley odebrany mi fiołkiem dotyka mojej skóry, sunie nim wzdłuż mojego policzka aż na szyję.

– Jakoś bym cię rozgrzał. – W oczach pojawia się dobrze znana psota.

Płatki łaskoczą mnie, ale to nie one w niebezpieczny sposób podrażniają każdy nerw w moim ciele.

– Zaraz usłyszę, że gdy się rozbierasz w lesie, stanowisz zagrożenie pożarowe – ripostuję.

– Spodobał ci się prezent? – pyta. – A może już zdążyłaś przetestować którąś zabaweczkę? – Wkłada mi fiołka za ucho, a potem przylega do mojej skroni ustami i mknie w dół, śledząc wargami wcześniej wyznaczony przez roślinę szlak.

Opieram się plecami o pień wielkiego grabu. Nawet nie wiem, w którym momencie zostałam pod niego zapędzona.

– Co robisz?

Palce Bradleya rozpinają guziki mojego swetra, a potem wsuwają się pod skraj koszulki.

– Sprawdzam, jaki włożyłaś dziś komplet bielizny – wyjaśnia. – Obiecałem ci coś, a ja nie łamię przyrzeczeń.

– Przestań. Nie możesz mnie rozbierać w tym gąszczu.

Nie wykonuję jednak żadnego ruchu, by stawić opór. Gdybym miała zdobyć się na całkowitą szczerłość, musiałabym przyznać, że przymierzyłam wszystkie siedem kompletów bielizny jeszcze tamtego dnia. I zaciekle chłonełam treść każdego liściku przypiętego do rozmaitych zabawek erotycznych. Zapisane na nich słowa nęciły wizją tego, co pewien mężczyzna mógłby mi nimi zrobić, jaką przyjemność sprawić, gdybym tylko o to poprosiła.

– Dlaczego? Nie ma tu nikogo poza nami – mruczy kusząco. – Jeśli nie liczyć jakichś leśnych stworzeń. Martwisz się, że zdeprawujesz zajączka? Że jakaś wiewiórka odkryje twoje perwersyjne skłonności?

– Po prostu nie chcę mieć drzazg w pewnych miejscach... – zaczynam.
– A także kory, trocin i Bóg wie czego jeszcze.

Jego dłonie pieszczą obnażone fragmenty moich bioder i brzucha, a usta znaczą pocałunkami odkryty dekolt.

Mrowienie, które czuję, sprawia, że mam ochotę otrzeć się o konar za moimi plecami.

Chyba nie uda mi się zatrzymać Bradleya przed... zwiadami.

Chwytam w dłonie materiał jego koszuli i przylegam do mężczyzny. Dotykam jego mięśni. Są twardsze od stali, gorące.

Ten facet mógłby zarobić fortunę jako striptizer.

– Okej. Kobiety lubią nudne rozmowy – mówi, odsuwając się. – Więc powiedz mi o sobie coś, czego nikomu jeszcze nigdy nie wyjawiałś. –

Związuje powoli tasiemki w moim gorsecie, choć jeszcze minutę temu rozplątywał je w takim pośpiechu. Po jego wesołej minie widzę, że celowo chciał mnie ponownie... roztopić. To jego sposób, by kobiety wręcz błagały go o przejęcie dowodzenia i kontynuowanie pieszczot.

Nie ma mowy. Nie mogę pozwalać mu wygrywać za każdym razem. I tak ma nazbyt rozbuchane ego.

I za dużo testosteronu. Całe hektolitry.

– Ukradłam coś, kiedy byłam dzieckiem – wyznaję, udając zadowoloną, że się wycofał.

Bradley uśmiecha się z niedowierzaniem.

– Czekał, czekał. Czyli złamałaś prawo? Ty?

– Miałam jakieś dziesięć lat i zakochałam się na zabój w bezdomnym kocie z okolicy. Mój ojciec zawsze był surowy, więc oczywiście nie pozwolił mi go przygarnąć – zaczynam opowiadać. – Któregoś razu poprosiłam go, żeby kupił mu zabawkę. Taką nakręcaną myszkę, ale się nie zgodził.

– Ukradłaś nakręcaną myszkę?

Pochyliłam się, by zebrać z ziemi bukiet kwiatów, który upuściłam przez... no. Z powodu bycia obmacywaną.

– Tak. I nie żałuję. – Prostuję się dumnie. – Pewnie bym żałowała, gdyby ktoś mnie nakrył, ale tak się nie stało.

Bradley zanosi się śmiechem, który brzmi niczym zwodniczo piękna melodia wynurzająca się prosto z czeluści piekielnych.

No cóż. Jego nie trzeba pytać, czy kiedykolwiek złamał prawo. I tak nosi w sobie coś zakazanego. Jest nielegalny tak samo jak kokaina i równie uzależniający.

– Wyrazy uznania. Masz zadatki na profesjonalnego rabusia – naigrywa się. – I teraz już nigdy nie przestanę nazywać się kicią.

Nigdy mu tego nie powiem, ale wcale nie chcę, żeby przestał. Coś, co miało być dokuczliwym przezwiskiem, może rodzajem kary, stało się dla mnie kolejną intymną pieszczotą.

– Czytałam trochę o... twoich zaburzeniach – zaczynam niepewnie.

W ciągu sekundy atmosfera ulega zmianie, pojawia się chłód, ale nie ma nic wspólnego ze smagającym nas wiatrem.

– Po co? – docieka Bradley.

W przypływie zdenerwowania pochylam się, by zerwać kolejny polny kwiat.

– Przepraszam, jeśli...

– Jeśli chcesz coś wiedzieć, to zapytaj – wtrąca. – Wiem, kim jestem. Wiem, do czego mogę być zdolny, i nie wypieram się tego, naiwnie licząc, że dzięki zaprzeczeniu wszystkie moje demony przestaną istnieć. – Choć twarz ma nieprzeniknioną, nie ukrywa ostrej nuty w swoim głosie.

– Sugerujesz, że ja tak robię?

– Robisz. Okłamuj samą siebie, jeśli musisz, ale dopóki jesteś zbyt przerażona, żeby uporać się z własnymi problemami i tym, co przeszłaś, nie serwuj mi swoich rad i psychoanalizy – mruczy.

– Ledwie zaczęłam temat.

– I co z tego? Myślisz, że nie wiem, po co to zrobiłaś? Już to przerabiałem.

– Wczoraj odnosiłam wrażenie, że wręcz desperacko pragniesz, żebym cię odrzuciła.

W jego spojrzeniu dostrzegam cień pobłażania.

– Liczyłem na twój rozsądek – rzuca z sarkazmem.

Jego słowa wbijają się we mnie, raniąc dotkliwiej od igieł. Prawie czuję ich ostre krańce przesuwające się po mej skórze. Mają swe źródło w szarym spojrzeniu, które przed momentem było prawie czułe.

Instykt każe mi się wycofać. Ta część mnie, która przywykła do bycia ofiarą, do zwijania się w najciaśniejszy kłębek, żeby zaznać jak najmniej bólu, bije na alarm. Słyszę to gdzieś w tyle mojej czaszki. Jednak nie mogę tego wiecznie słuchać, tym bardziej, że Bradley teraz właśnie tego chce.

– Nie. Liczyłeś na to, że potraktuję cię jak reszta – odparowuję. – Ktoś cię przez to odtrącił, prawda? Odszedł?

– Ludzie zawsze odchodzą, kiedy zdają sobie sprawę, że nie da się zmienić potwora w pluszowego misia.

No i to jest to. Cała moja złość rozbija się w drobny mak.

Próbuję złapać go za rękę, ale Bradley znowu się wyrывa.

Na litość boską, ten facet w ogóle nie umie przyjmować gestów pocieszenia czy okazujących wsparcie, a przecież nie ma nic złego w tym, jeśli człowiek czasem pozwoli komuś się sobą zaopiekować.

Nawet jeśli jest wielkim i złym lwem. Nawet najbardziej czujny lew może w końcu nastąpić na sidła i będzie potrzebować kogoś, by go z nich oswobodził.

Ale... Problem w tym, że Bradley chyba dotąd nie miał nikogo, kto by to dla niego zrobił.

– Nie jesteś potworem – stwierdzam z całym przekonaniem, na jakie tylko mogę się zdobyć.

Jego dłoń muska mój policzek.

– Ale staję się nim od czasu do czasu.

– Bradley...

– Dzięki tej chorobie mam idealną wymówkę do robienia pojebanych rzeczy. Diagnoza obniżyła mi wyrok, gdy próbowałem zabić skurwiela, który skrzywdził moją siostrę. Świetnie, nie? – wtrąca z krztyną kpiny.

Wpatruję się w niego bez słowa. Zagarnia kamień i wrzuca go do wody. Po chwili rusza przed siebie. Przedzierając się przez las, niemal kipi z gniewu.

Jest pełen nienawiści do siebie.

– Już mówiłam, że moim zdaniem nie zasłużyłeś...

Odwraca się w moją stronę tak gwałtownie, że muszę się cofnąć, by się nie wywrócić.

– Na odsiadkę? – Wbija palce w chropowatą powierzchnię złamanej gałęzi leżącej mu na drodze, a kiedy ją odrzuca, prawie spodziewam się ujrzeć zarysowane na korze ślady szponów krwiożerczej bestii. – Nie rób tego – dodaje.

– Czego?

Ledwo za nim nadążam, gdy znów zaczyna maszerować. Westchnienie jest jedynym dźwiękiem, jaki wydaję, gdy zaczepiam butem o wystający korzeń. Ramiona Bradleya w ostatniej chwili chronią mnie przed upadkiem.

– Nigdy nie rozgrzeszaj ludzi zdolnych do popieprzonych czynów – szepcze mi do ucha.

– Ale ty...

– Bo jeśli będziesz to wciąż robić, za którymś razem rozgrzeszysz niewłaściwą osobę – ciągnie. – Nie chciałabyś nigdy więcej być na łasce żadnego skurwiela.

Dreszcz przeszywa mnie na wskroś.

Rozsądek mówi mi, że Bradley chce mnie przestraszyć. To jego taktyka, w ten sposób odsuwa od siebie ludzi. Samoobrona.

Nie należy do mężczyzn, których można zbawić wbrew ich woli. Gdybym działała w ten sposób, naraziłoby mnie to tylko na zranienie, a u niego wywołało jeszcze większe pragnienie walki.

Gdy jestem z nim, mam wrażenie, że próbuję oswoić groźną panterę. A i z nią pewnie poszłoby mi łatwiej niż z Bradleyem.

Nie chciałabyś być nigdy więcej na łasce żadnego skurwiela.

Nigdy więcej...

– Co ty przede mną ukrywasz? Mówisz w taki sposób... – Milknę.
W tych słowach czyha coś złowrogiego...

– W jaki?

– Jakbyś wiedział o mnie... złe rzeczy.

Powoli od nowa staję się niewolnikiem paniki. Oddech mi przyspiesza, ręce się pocą, więc bezwiednie wycieram je o spodnie.

On zna moje tajemnice. Patrzy i widzi. Dostrzega mój umysł pokiereszowany mrokiem i szaleństwem.

– Właśnie dlatego uważam, że rozmowy są do dupy – mamrocze, krzywiąc się. – Gdybyś pozwoliła mi dać sobie orgazm przy którymś drzewie, podniósłbym ci poziom oksytocyny. To bardzo miły hormon, wprowadziłby cię w lepszy nastrój.

– Unikasz odpowiedzi.

Bradley wypuszcza powietrze z płuc.

– Znasz wszystkie odpowiedzi, tylko je wyparłaś. – Łapie mnie za kark i przyciąga do siebie tak blisko, że nasze czoła się stykają. – I może wydaje ci się, że chciałabyś je teraz usłyszeć, ale tylko by sprawiły, że zagrzebałabyś się głębiej w swojej jaskini, do której nikt nie ma wstępu.

Co on o mnie wie? Czy rozumie, że czuję się tak, jak gdyby obłąd obracał moją psychikę w gruzy? Że każdego dnia zmuszam się do normalnej egzystencji, choć wszystko, co pokazuję innym, jest tylko maską, farsą skrywającą pustkę? Przez większość czasu ja... z trudem istnieję. A nocami mam ochotę zaglądać w każdy kąt, pod łóżko, do szafy, żeby sprawdzić, czy nikogo tam nie ma.

Czy Bradley ma świadomość, że nie opuszcza mnie wrażenie, iż ktoś nieustannie za mną podąża?

– Przestań. Przestań. Nie zamierzam się spłoszyć, chcę wiedzieć! – krzyczę. – Muszę wiedzieć, co jest ze mną nie tak, a ty znasz odpowiedzi.

– Uciekasz od konfrontacji.

Wbijam paznokcie w nadgarstek dłoni, która mnie unieruchamia.

– Więc zmusz mnie, żebym sobie przypomniała – nakazuję.

Jego wzrok staje się bezwzględny.

– Jesteś pewna, że chcesz mi na to pozwolić? Nie spodobają ci się moje metody – uprzedza.

Gdzieś ptak wzbija się do lotu, a w oddali roznosi się skowyt wilka. Nawet natura się stroszy w reakcji na niebezpieczeństwo emanujące od Brada.

Przesuwam dłoń w poszukiwaniu jego palców. Splatam je z moimi i zdejmuję ciężką rękę ze swej szyi.

– Co o mnie wiesz? – pytam cicho.

– Wiem, że zdołałabyś przetrwać piekło – oznajmia tuż przy moich ustach. – I dlatego kompletnie nie rozumiem, dlaczego pozwalasz temu wygrywać.

Moje serce gubi rytm.

– Skąd? Skąd mógłbyś wiedzieć, że dam radę przetrwać piekło?

Sekunda. Dwie. Trzy. Długie, rozwleczone.

Oczy, które przedzierają się do dna mojej duszy...

– Bo już kiedyś to zrobiłaś.

Rozdział dziesiąty

Nie mam pojęcia, po co tu jestem, jednak wsuwam się na kanapę nieopodal łoża, którą okupują mój brat i Bradley.

Ten pierwszy zwabił mnie w to miejsce tajemniczym esemesem sugerującym, że powinnam przyjść, jeśli chcę wiedzieć, jaki Brad jest naprawdę.

Mam wrażenie, że to jakiś podstęp, i wcale mi się to nie podoba.

Bradley, niczego nieświadomy, siedzi zwrócony do mnie plecami i wrzuca do ust słone przekąski. Odrzuca głowę i śmieje się z czegoś, co powiedział Marcus, ale nie dałam rady rozpoznać słów.

Chyba nie nadaję się na detektywa i chyba powinnam bardziej ufać Bradowi. Jednak jeden rzut oka w stronę sceny, na której wokół rur sięgających sufitu wiją się prawie całkowicie obnażone tancerki, sprawia, że zaczyna zżerać mnie trema. Nie chcę być psychopatyczną dziewczyną, która zabrania swojemu facetowi wyjść z kumplami, by się zabawić. Nie ma w tym nic złego, o ile nie przekroczy się pewnych nienaruszalnych granic.

Tylko że ja jeszcze nie powinnam się tytułować niczyją dziewczyną, a wiadomość od Marcusa sugeruje, że Bradley raczej tej nocy naruszy wszelkie granice.

Uderzam czołem o blat i przeklinam siebie za to, jak nisko upadłam. Żeby śledzić faceta, z którym w zasadzie nie łączy mnie nic poważnego? To tym gorzej, bo gdy tu siedzę, dociera do mnie, że chciałabym, żeby było inaczej.

– Czemu tu ze mną przylazłeś? Znowu robisz za dużą, złą niańkę?

Słyszę pytanie Bradleya ze swojego miejsca w zaciemnionym kącie. Patrzę na niego i mojego brata rozpartych na bordowych, skórzanych kanapach po przeciwnych stronach mahoniowego stolika. Przypominają rozleniwione lamparty czekające na coś ekscytującego. Na przykład na krwawą rzeź – albo w tym przypadku kelnerkę odzianą w łańcuchy i skrawki materiału.

– Nosi cię. To zły znak – odpowiada mój brat. – Ostatnim razem wylądowałeś przez to w więzieniu.

Serce przyspiesza mi w piersi i zaczynam żałować, że nie usiadłam gdzieś bliżej. Dystans i muzyka trochę utrudniają zabawianie się w detektywa. A ja nagle robię się bardzo ciekawa i rozbudzona. Chcę zgłębić temat więzienia i dolegliwości Bradleya, a Marcus na pewno wie więcej ode mnie.

– Przestań pierdolić bzdury i zamów nam starą dobrą whisky. Nudzę się – mamrocze Brad. Bębni palcami o blat i stuka podeszwą buta w podłogę.

Zdaje mi się, że nie jest w stanie trwać w bezruchu. Zupełnie jakby miał ADHD.

– Właśnie. Potrafię rozpoznać, kiedy zaczyna się u ciebie epizod, bo zachowujesz się wtedy jak byk, który usiłuje zachować spokój na korridzie – rzuca mój brat i wpatruje się w bar, za którym połyskują setki butelek z alkoholem.

– O co ci chodzi?

Nawet z tej odległości zauważam, jak Brad mruży oczy.

– Musisz rozładować nadmiar energii we w miarę kontrolowany i bezpieczny sposób – wyjaśnia Marcus.

Bradley się uśmiecha.

– Zgłaszasz się na ochotnika, żebym mógł ci wpierdolić?

– Mam lepszy pomysł – zaczyna, a później zerka na kelnerkę zatrzymującą się przy ich łoży. – Poproszę o pokaz zarezerwowany na nazwisko Kincaid.

Co, do diabła?

– Pokaz?

W środku aż się skręcam z podejrzliwości.

Jeśli mój brat opłacił panienki na dzisiejszy wieczór, to przysięgam, że go skrzywdzę.

Sekundę później przy ich sofach pojawiają się dwie kobiety. Są skąpo odziane, mają mocny makijaż i wiją się jak cholerna kobra królewska, która chce zahipnotyzować ofiarę swoim tańcem.

Jedna z nich, blondynka w pomarańczowej spódniczce, wspina się na ich stolik i tam kontynuuje swój wyuzdany pokaz erotyczny.

– Wystarczająco nagie i perwersyjne? – pyta mój brat, niezwykle zadowolony.

Druga kobieta, brunetka, która jeszcze minutę temu musiała tarzać się we wszystkich odcieniach brokatu, zasiada na kanapie obok Bradleya.

Bardzo, kurwa, blisko.

Brad zaczepta palcem o jej ogromny błękitny wisior kojarzący się z księżycem w pełni.

– Nie jestem pewien, lubię je rozbierać po swojemu – stwierdza, wodząc wzrokiem po nieznajomej.

Ta trzepocze sztucznymi rżęsami.

– Może my rozbierzemy ciebie, panie seksowny? – Pochyliła się, by pogłodzić kołnierzyk jego koszuli.

– Niegrzecznie! – ruga ją żartobliwie. – A co na to twoja dziewczyna?

Marcus wzrusza ramionami.

– To twoje tancerki. Pomogą spuścić ci trochę pary. – Porozumiewawcze mrugnięcie. – Seksem.

Dotykam ucha, przekonana, że słuch mi jednak szwankuje, bo niemożliwe, żeby...

– Ty mój najlepszy, przebiegły przyjacielu. – Bradley porywa szklanę z alkoholem, jeszcze zanim nowo przybyła kelnerka zdąży zestawić ją ze swojej tacy. – Załatwiłeś mi trójkącik, bo jestem pojebem, który w złym momencie może puścić z dymem pół miasta? – dodaje i zanosi się śmiechem.

Gniew zaczyna kipieć w całym moim ciele. Bo Bradley nie kazał mojemu bratu spieprzać, gdy ten zaprosił tancerki. Bo nie tylko ogląda to widowisko, ale też pozwala im się dotykać. Bo rozmawia z Marcusem o... o seksie z nimi. I nie zaprzecza.

Nie zaprzecza. Zupełnie jak gdyby to, co się wydarzyło między nami, nie miało dla niego żadnego znaczenia.

– Coś w tym stylu – rzuca mój brat, popijając bursztynowy alkohol.

Brunetka wsuwa się na kolana Bradleya.

– Truskaweczkę? – pyta, sięgając po owoc z półmiska.

– Poproszę.

Kobieta obraca truskawkę, a następnie układa ją na swoim iskrzącym się dekolcie. Łapie Bradleya za włosy i szarpnięciem zmusza go do pochylenia głowy. Wtedy on chwytą owoc ustami. Gdy już ma go zjeść, blondyna, wciąż kołysząca biodrami na stole w takt rockowej piosenki, postanawia przyłączyć się do uczty. Zbliży się, opada na kolana, unieruchamia szczękę Brada i odgryza kawałek truskawki prosto z jego ust.

Czuję się, jakby ktoś rozłupywał coś w moim wnętrzu na kawałki.

Nie wierzę. Nie wierzę, że byłam taka naiwna i dałam się zmanipulować. Przecież wystarczy spojrzeć na tego faceta, żeby wiedzieć, że zobowiązania to dla niego coś w rodzaju żartu, a mimo to... Mimo że siedzę tutaj, w kącie jakiegoś nocnego klubu, skulona i dygocząca, i patrzę, jak zabawia się z dwiema tancerkami... wciąż mam nadzieję, że to tylko... ułudą, że da się to jakoś usprawiedliwić.

– Smaczne – a probuje blondi i wraca do tańca.

Niestety już nie na stole.

Zasiada na kanapie po drugiej stronie Bradleya i kontynuuje swoje zbieżne akrobacje, co jakiś czas się o niego ocierając.

Brad zawiesza wzrok na jej piersiach.

– Czy ty masz stanik z... ciasteczek? – pyta.

Blondi chichocze.

– Rozpływają się w ustach. – Nabiera na palec odrobinę nadzienia ze swojego pseudobiustonosza i rozciera je na wargach Bradleya. – Spróbuj.

Mężczyzna oblizuje się, a ja uciekam gdzieś wzrokiem. Gapię się na swoją szklaneczkę z wodą, licząc, że przeistoczy się ona w magiczny eliksir i pomoże mi rozpuścić się w powietrzu.

Mnie i moim uczuciom.

– Czy to wystarczająco skupia twoją uwagę, by odciągnąć cię od dziwacznych skłonności do przemocy? – docieka Marcus.

– Seks jest lekarstwem na wszystko – wtrącają zgodnie obie panie.

Brunetka przesuwając językiem po uchu Bradleya. Druga już majstruje przy mankietach jego koszuli. Każda rozpina mu po guziku.

Imponujące, są takie zgrane. Ciekawe, której przypadnie zaszczyt rozpięcia klamry paska w jego spodniach.

– Założę się, że lubisz się pieprzyć – stwierdza ta oklejona brokatem. – Bardzo, bardzo ostro.

– Chyba będę potrzebował jeszcze kilku drinków – mruczy Brad. – Właściwie zorganizuj całą butelkę.

Blondi przekrzywia głowę. Jej pofalowane włosy opadają na ramię.

– Masz jakąś szczególnie brudną i pikantną fantazję, panie seksowny? – świergocze.

Brunetka w uwodzicielskim geście przesuwając paznokciem po torsie Bradleya.

Płonąca we mnie zazdrość sprawia, że mam ochotę wstać, pójść tam i wyrwać jej te czerwone szpony.

Jednak nic nie robię. Tylko patrzę.

Ponieważ to on dokonuje wyboru. On wszystko niszczy.

– Dziś spełnimy twoje życzenie – zapowiada ciemnowłosa. – Ale tylko jedno.

Brad posyła jej kolejny cwany uśmiezek.

– Gdybym tylko chciał, spełniałabyś każde moje życzenie aż do świtu – mruczy. – A na końcu uznałabyś, że nikt cię jeszcze nigdy tak nie zadowolił.

– Podniecasz mnie.

– Więc teraz to cię kręci? – zwraca się Bradley do mojego brata. – Gapienie się na mnie i wyuzdane tancerki?

– Niedługo się zmyję. Chcę jeszcze o czymś pogadać.

– O czym?

– O mojej siostrze – wyjaśnia i wrzuca do ust garść solonych orzeszków.

– Ty i ona to nic poważnego, tak?

Zamieram, czujna i podenerwowana.

– Mam ci się spowiadać?

– Tak czy nie? Nie ma więcej opcji.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, więc wal śmiało – prowokuje Marcusa.

– I tak nic mnie to, kurwa, nie obchodzi.

– Trzymaj się od niej z daleka.

Bradley parska pogardliwie i okręca w palcach szklanekę z whisky. Kostki lodu obijają się o przeźroczyste brzegi.

– Mam nagle posłusznie spełnić twój rozkaz, bo...?

– Bo wiem, że tak naprawdę nie chcesz jej zniszczyć – mówi. –

A obydwaj mamy świadomość, że prędzej czy później tak to się skończy.

Oblicze Brada zmienia się w nieprzeniknioną maskę. Mężczyzna odtrąca dłoń blondynki, która zaciska swoje rozbrykane palce na jego udzie i usiłuje sunąć nimi ku górze. Potem chwyta brunetkę wijącą się na jego kolanach za kark i szarpie w tył, płynnym ruchem zmuszając ją do zajęcia miejsca na kanapie.

– Łał, skoro chciałeś to załatwić, po co ta cała szopka?

Marcus wychyla szklanekę do dna i rozciąga wytatuowane ramiona wzdłuż oparcia swojego siedzenia.

– Twoja ostatnia dziewczyna przedawkowała, matka umarła, siostra raz postrzega cię jako Boga, a raz boi się ciebie jak diabła – zaczyna. –

Tworzysz toksyczne relacje. Nie wplątuj w to Savannah.

Choć jestem wściekła na Bradleya, bezwzględne słowa brata budzą we mnie potrzebę chronienia tego mężczyzny.

Jak może sugerować coś takiego? I jak śmie sprowadzać mnie tutaj, a potem opowiadać o mnie jak o pionku, który będzie ustawiał, jak mu się żywnie podoba?

Jasne, Bradley jest dupkiem kpiącym z uczuć, udowodnił mi to, ale Marcus nie ma prawa mówić o mnie i o nim w taki sposób.

Wyjmuję telefon i piszę bardzo wulgarnego esemesa. Mój brat sięga do kieszeni jeansów i zerka na ekran swojej komórki. Marszczy brwi.

Sekundę później aparat ląduje w rękach Bradleya.

Bez problemu rozpoznaję moment, w którym dociera do niego, co się dzieje. Zaciska pięść na telefonie tak mocno, że aż bieleją mu knykcie.

– Ty skurwielu! – syczy i wali aparatem w blat. – Ukartowałeś to.

Marcus wzdycha, ale nie wydaje się zbytnio poruszony.

– Uspokój się, Bradley. Troszczę się o siostrę i o ciebie też.

Brad podrywa się z sofy i rozgląda po zadymionym lokalu.

– Gdzie ona jest? – krzyczy.

Dwie tancerki odskakują, spłoszone jego nagłym wybuchem. Blondi wydyma uszminkowane wargi, w których mieni się kolczyk w kształcie małego koła.

– Przestań – powtarza Marcus.

– Wypierdalać! – nakazuje kobietom nabuzowany Brad. – Gdzie ona, kurwa, jest? Co jeszcze zrobiłeś, żeby jej pokazać, jakim jestem skurwielem? Jak bardzo na nią nie zasługuję? – Cienkie szkło naczynia, w którym znajdują się resztki jego drinka, rozpryskuje mu się w palcach, gdy zgniata je ze złością. Potem celem agresji staje się butelka. Brad bierze zamach i strąca ją ze stolika.

– Stary, za moment nas wywalą albo gorzej, wezwą gliny – ostrzega mój brat.

Bradley dopada do niego, nim zdążę zaczerpnąć kolejny wdech.

– Chciałeś, żeby tu przyszła i to zobaczyła. – Chwyta go za klapy motocyklowej kurtki i przyciska do oparcia. – Co jej o mnie powiedziałeś?

– Brad...

Błyskawiczny cios w szczękę sprawia, że głowa Marcusa odskakuje.

Wstaję i ruszam w ich stronę.

– To wszystko twoja wina! – wrzeszczy Bradley. – Przez ciebie... Ona przez ciebie odejdzie... Zostawi mnie.

– Dość – odzywam się, zatrzymując się krok za Bradem.

Odwraca się błyskawicznie i wbija we mnie szare tęczówki. Żyła na jego szyi pulsuje, mięśnie są napięte. Dyszy. Balansuje na granicy niszczycielskiej eksplozji.

A jakaś część mnie pragnie go z niej zepchnąć.

– Savannah... – Wyciąga drżącą i pokrwawioną dłoń w moją stronę, ale cofam się, nie pozwalając mu się dotknąć.

– Nie – mówię.

Jego ramię opada, palce rozluźniają się i zaciskają raz po raz. Wyraz jego twarzy prawie łamie mi serce, ale rozsądek trzyma mnie w ryzach, przypominając, że to tylko sztuczka.

– Kochanie... To nie tak, nie poszedłbym z nimi do łóżka – szepcze. – Nigdy. – Znów unosi rękę i ponawia próbę dotknięcia mnie, ale robię unik.

– Doprawdy? – drwię.

Całą sobą próbuję udawać, że mnie nie zranił, ale nie umiem wymazać z pamięci tych kobiet. I jego. A także żadnego szczegółu. Czuję się zdradzona.

Bradley zwiesza głowę. Przez chwilę wydaje się opanowany, ale potem zanosi się pogardliwym śmiechem.

– Dobra. Masz rację. Oboje macie rację. Pieprzyłbym się z nimi do rana, a potem jeszcze kogoś pobił, bo taki już jestem. Zadowolona? – pyta wyzywająco. – W takim razie teraz pozwól mi rozliczyć się z twoim braciszkiem.

Przez muzykę płynącą z głośników docierają do mnie słowa brata. Prosi ochroniarza, najwyraźniej swojego kumpla, by wyprowadził mnie na zewnątrz. Nawet się nie opieram. Gdzieś w środku wiem, że powinnam rozdzielić mężczyzn, ponieważ Bradley jest w naprawdę złym stanie. Prawdopodobnie ucieszyłby się z możliwości rozniesienia w pył każdego,

kto dzisiejszego wieczoru stanie mu na drodze, ale troska o niego po tym, co mi właśnie powiedział, byłaby czymś absurdalnym, więc wychodzę.

Jak widać ten Bradley, którym władają pierwotne instynkty i niepohamowany gniew, zwyczajnie mnie nie chce.

Rozdział jedenasty

Pod żadnym pozorem nie zbliżaj się już dziś do Bradleya.

Kiepsko mi to wychodzi, bo właśnie zmierzam w stronę jego domku przytłoczona zbyt wieloma emocjami.

Wiem, że nie należało tu przychodzić. To, co zrobił kilka godzin temu, powinno skłonić mnie do stworzenia dystansu. Zranił mnie i był taki...

Jednak cała nasza kłótnia staje się mało ważna w porównaniu ze zmartwieniem, jakie mnie przeszywa, bo wiem, że dziś Bradley ma szczególny dzień, szczególny nastrój i boję się, iż może potrzebować wsparcia.

Co, jeśli stanie mu się coś złego?

Wspominał kiedyś o lekach, które tłumią objawy jego choroby, ale raczej tym razem ich nie zażył, bo w tym barze był jak cholerny gejzer, a ja nawet nie wiem, czy zupełnie stracił wtedy kontrolę, czy mogło być jeszcze gorzej.

– Bradley? – odzywam się z wahaniem.

Mężczyzna siedzi pochylony na schodach przed domem. Głowę ma opartą na łokciach, twarz ukrył w dłoniach.

– Odejdź – mruczy, przeczesując włosy, i pochyla się jeszcze bardziej. Jak gdyby chciał się schować. Stać przezroczysty dla moich oczu.

– Brad... – Przykucam obok niego. – Co ci się stało? Jesteś cały umazany krwią.

Szczęka, skronie, palce... Zewsząd spływają strużki krwi, a jego ubrania pokrywają mokre plamy szkarłatu, co sprawia, że typowo dla niego czarne ciuchy wydają się jeszcze ciemniejsze.

– Powiedziałem, odejdź. Nie zbliżaj się do mnie teraz – powtarza.

Czuję, jak w moje wnętrze wbijają się ciernie.

– Znowu się z kimś pobiliś? To znaczy z kimś więcej niż z moim bratem? To twoja krew czy kogoś innego? – pytam roztrzęsionym głosem.
– Czy ten ktoś...?

– Co? Nie zdechł? – wtrąca Bradley niby-dowcipnym tonem. –
Prawdopodobnie nie.

Niepewna, jak się zachować, szarpię rękaw swojego kardiganu.

– Dlaczego? Co doprowadziło do...

Ataku agresji? Tak powinnam to nazwać?

Przygryzam dolną wargę.

Czy to z powodu naszej sprzeczki?

Czy to jest to? Ten moment, kiedy Bradley przeobraził się w detonator śmiertelnie groźnej bomby? Jeśli tak, to jak powinnam go rozbroić? Nigdy przedtem o to nie zapytałam, a powinnam była.

Co się robi przy takich epizodach?

– Nie słuchałaś, jak ostrzegałem, że jestem pojebem? – szydzi. – Teraz zaczyna to do ciebie docierać?

Unosi wzrok. Źrenice ma powiększone, jak gdyby był na haju, a szare tęczęwki są w tym momencie... takie beznamiętne. Martwe.

– Wcale tak nie myślę. Martwię się o ciebie.

Brad przeciera koszulką twarz. Bordowe smugi kojarzą się teraz niemal ze łzami. Jednak on nie jest smutny. Przeciwnie. Jest wypełniony czymś... prymitywnym i lodowato zimnym.

– Więc muszę dostarczyć ci więcej dowodów na to, z kim masz do czynienia – oznajmia.

Chwytam jego nadgarstek i ściskam.

– Nie przestraszysz mnie.

Bradley parska śmiechem.

– W którymś momencie każdy, kto kiedyś złożył taką obietnicę, zaczyna się mnie bać – szepcze. – Dziś... – Urywa i zapatruje się w moją dłoń obejmującą jego rękę.

Czuję puls pod jego skórą. Przyspieszony i nieregularny. Gładzę skórę kciukami, mając nadzieję, że to go jakoś ukoji.

– Dziś co? Co się wydarzyło? Opowiedz mi – proszę.

Nie reaguje. W ogóle. Rozbiegany wzrok utkwił w naszych splecionych rękach...

Nie wiem. Nigdy przedtem go takiego nie widziałam. Przypomina widmo. Osobę, której umysł tkwi w zawieszeniu pomiędzy tym światem a tylko jemu znaną krainą.

Zaczynam się poważnie niepokoić.

Powinam odejść? Nie chcę robić nic, co mogłoby wzmocnić jego destrukcyjny nastrój, ale...

– Nawet moja siostra... widzi we mnie potwora. Dziś sprawiłem, że była przerażona, a przecież ja... – Znów milknie. – Umarłbym za nią. Przynajmniej w tych momentach, gdy mi nie odpierdala.

Jego wyznanie miażdży mnie od środka.

– Bradley...

– Nie...! – warczy. – Nie lituj się nade mną. – Nagle wykonuje manewr, który sprawia, że teraz to moje przeguby są uwięzione w jego uchwycie. Podnosi się i pociąga mnie za sobą. W kolejnej sekundzie już jestem przyparta do ściany budynku.

– To boli – mówię.

Jego uścisk nie jest jeszcze na tyle silny, by mnie zranić, ale już dawno stał się nieprzyjemny.

– To jeszcze nic. Jeszcze nie sprawiłem ci prawdziwego bólu – odpowiada i pochyla się jakby do pocałunku.

– Przestań.

Na jego ustach wykwita okrutny uśmiezek.

– Dałaś mi prawo do naciskania na ciebie. Dość uciekania – grzmi.

Widzę, jak na jego barkach i szyi uwypuklają się żyły. Tatuaze szpecą ślady krwi. Chciałabym je zetrzeć. Nie widzieć ich, bo one... To znaki zdradzające, że teraz ciałem Bradleya włada coś zupełnie innego. Gotowego, by siać zniszczenie. Zdesperowanego.

A ja stanowią przeszkodę na jego drodze.

Czy to dlatego Marcus napisał do mnie tego esemesa? A potem jeszcze jednego.

„Pod żadnym pozorem nie zbliżaj się już dziś do Bradleya”.

Jak wiele wie o tym, z czym zмага się Brad? Czy w ogóle rozumie, że ma... problem? I mimo to zostawił go całkiem samego?

– Nie rozumiem.

– Znasz mnie. Przypomnij sobie.

Gorycz wzbiera w moim gardle.

Nie chcę wracać do tego w tym momencie. Zwykle kiedy na mnie naciskał w kwestii tych... niby-luk w mojej pamięci, obchodził się ze mną łagodnie. Był przeciwnikiem moich demonów, ale dzisiaj... Sam zasila ich armię.

– Po prostu mi powiedz – mamroczę, zmuszając się do utrzymania normalnego oddechu.

Mężczyzna przypiera mnie jeszcze mocniej do muru. Jego ręce stają się metalowymi obręczami. Trzymają mnie mocno i nie zamierzają uwolnić.

– Potrzebujesz konkretnych wspomnień, a nie opowiadanych historyjek – rzuca. – Wiesz, dlaczego zapomniałaś? Wiesz, prawda? Czujesz to w środku.

Kręcę głową.

– Nie.

– Bo poznaliśmy się w bardzo popieprzonych okolicznościach. – Jego tors przysuwa się do mojej klatki piersiowej. – Okrutnych i krwawych – dodaje z chłodnym zadowoleniem.

Robi mi się niedobrze.

– Nie skrzywdziłeś mnie – stwierdzam niemal bezgłośnie.

– Pozwoliłem, by on cię skrzywdził – ciągnie, pogrążony w dziwnym amoku. – Pozwoliłem mu, więc właściwie...

– Już wystarczy... – błagam.

Jego wzrok wyostrza się, gdy próbuję wyszarpać się z jego objęć. Brad zaciska mocniej dłoń, uchwyt powoli staje się bolesny. Ostrzegawczy.

– Nie ruszaj się – nakazuje.

– Bradley, puść mnie, natychmiast.

Zaczyna sączyć się we mnie strach. Wdziera się w każdą komórkę, zanieczyszcza pojedyncze włókna.

Czuję to, gdy nos Bradleya sunie po mojej szyi, a gorący oddech kontrastuje ze spowijającą męczyzną arktyczną aurą.

– Podobno najlepszym sposobem na przywrócenie wspomnień jest ich odwzorowanie – szepcze melodyjnie. Jego palce przesuwają się, znacząc całą długość moich ramion, aż w końcu zamykają oba moje nadgarstki w uścisku. Brad przyciska je do muru nad moją głową. – A gdybym udowodnił ci, że ja wcale nie jestem lepszy? Że bywam bezlitosny?

Nie. Nie. Nie.

Źle znoszę ten stan... Stan, gdy jestem obezwładniona. Kiedy nie mogę się ruszyć. Kiedy jestem bezbronna, świadoma, że każdy potwór może teraz po mnie sięgnąć i użyć mnie do zrealizowania swoich poronionych fantazji... Wtedy robię się... nieźrównoważona.

To otwiera jakieś drzwi w moim wnętrzu, oswobadza lęki, a ja... Ja się kruszę.

Kruszę się.

– Wypuść mnie.

Jego opuszki dotykają moich nadgarstków, jest niesłychanie delikatny. Pieszczotliwy. Następnie jednak wpycha mnie głębiej w kąt między ścianą a schodami. Drugą ręką bawi się moimi włosami.

– A gdybym przeraził cię, sprawił, że zaczniesz krzyczeć i błagać o pomoc? – zaczyna tonem wypranym z emocji. – Dokładnie tak jak on.

– Zostaw mnie, słyszysz? – kwilę. – Nie dotykaj mnie.

– Moja dusza została wypalona w ogniu piekielnym. Tak samo jak jego.

Dreszcz przetacza się przez moje ciało.

– Dość.

– Spójrz na mnie – żąda.

Nie mogę. Nie potrafię.

Mój wzrok przywiera do wisioraka zawieszzonego na jego szyi.
Miniaturowe ostrze, na którym tli się odrobina granatu.

Nie chcę. Nie chcę. Nie chcę.

Ale moja wyobraźnia już tworzy wstrętne wizje z udziałem tej
śmiercionośnej ozdoby. Czuję to.

Niemal fizycznie odczuwam, jak wycina na moim ciele ten piekielny
znak. Cyfrę. Szóstkę. Skóra mrowi mnie, pali w miejscach, gdzie ktoś
wygrawerował mi ją dawno temu.

– Nie! – wyrywa mi się.

– Patrz mi w oczy – powtarza Bradley i szarpie za mój kucyk. –
Przypomnij sobie.

Czarne oczy.

Dlaczego? Dlaczego nie potrafię pamiętać, kto mnie torturował?

– To boli, Bradley...

– Przypomnij sobie. – Nie ustępuje i jeszcze mocniej pociąga za moje
kosmyki. Bodźce bólu trafiają prosto do mojej czaszki. – Gdzie mnie
spotkałaś?

– Nie wiem.

Bradley wygina wargi w karcącym grymasie.

– Jednak jesteś słaba. Co za rozczarowanie.

Uśmiech.

*Półmrok. Obcy pokój. Igła w mojej żyłę. Więzy na moich kostkach.
Muzyka. Zatęchły zapach.*

Obrazy przeskakują w mojej głowie jeden za drugim.

Słowa. Jakie to były słowa, Savannah?

*Jeszcze przed chwilą chciałaś, żebym cię wypieprzył. Zrobię to na tyle
sposobów, że potem każdy kolejny będzie przypominał ci tylko o mnie.
Nawet kiedy uwolnię twoje ciało, twój umysł tu zostanie.*

Kto to powiedział? Kto?!

– Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem... – mówię.

– Dlaczego płaczesz? – pyta Bradley takim tonem, jakby naprawdę nie umiał teraz tego pojąć. Ściera mokry ślad z mojego policzka.

Kim jest ta zakorzeniona w ciemności istota, nosząca oblicze mężczyzny, który wczoraj mnie rozśmieszał i całował?

– Chcę odejść.

Moje słowa wyłącznie potęgują kłębiącą się w nim wściekłość.

– Widzę. Znowu chcesz uciec. – Nie szczędzi cynizmu. – Chcesz krzyczeć, twoje oczy cię zdradzają – wytyka mi. Przesuwa dłonią od mojego brzucha w górę. Przejeżdża między piersiami, obwodząc dekolt. Aż zatrzymuje się na szyi. Kiedy tylko oplata wokół niej palce, uderza we mnie trwoga.

– Nie... – zaczynam. – Nie mogę oddychać. – Krtań się kurczy, a na języku wzbiera posmak żółci. Płuca odmawiają współpracy. Szok sprawia, że jestem na tyle zamroczona, że nie potrafię określić, czy to uścisk dłoni Bradleya na moim gardle, czy raczej siła czystego terroru odcina mi dopływ tlenu.

Mam następny atak paniki. Serce kołacze się pod żebrami, szumi mi w skroniach. Wszystko zwalnia i jakby się wyostrza. Szelest liści na drzewach, świergot ptaków, stukot pierwszych kropli deszczu o ganek w zapowiedzi nadchodzącej ulewy.

– Kim jestem? – docieka.

Półprzytomnie uświadamiam sobie, że mężczyzna w którymś momencie wyswobodził moje nadgarstki.

– Dusisz mnie, Bradley. – Skrobię paznokciami jego naprężone bicepsy. – Robisz mi krzywdę – dodaję.

I właśnie to zdanie zdaje się wybudzać go z letargu. Uwalnia mnie i odsuwa się błyskawicznie. Pustka w jego oczach powoli się wypala. Kurtyna mroku, która go okrywała, znika w sekundę.

– Kurwa, kurwa! – powtarza. – Kurwa mać! – Wali pięściami w ścianę za moimi plecami, jeszcze bardziej kalecząc sobie w ten sposób już wcześniej zdarte kostki. Potem unosi drewniany stolik i uderza nim

o kamienną podłogę. Mebel łamie się na kawałki i wzbija chmurę piaskowego pyłu.

– Proszę. Wystarczy. Proszę... – Dławię się od szlochu.

– Przepraszam, ja... – Zanosi się śmiechem, który brzmi nieco obłąkańczo. – Widzisz? Jestem popierdolony.

Rozmasowuję zdrętwiałe nadgarstki. Mam ochotę zgiąć się wpół i płakać w strugach nasilającego się deszczu, ale nie mogę tu zostać.

– Błagam. Zostaw... mnie... ja... – Wymijam Brada i odchodzę.

Muszę iść.

Muszę stąd iść.

Odprowadza mnie wspomnienie czarnych oczu, a zaraz za nim podąża inne, dotyczące tego, co próbował zrobić mi Ethan w tamtym zaułku.

Rozdział dwunasty

Prawdopodobnie mogłabym teraz uchodzić za osobę pogrążoną w żałobie, ponieważ mniej więcej tak się czuję.

Gapię się w sufit i tylko czekam. Czekam, aż to minie, choć pewnie będę musiała tak trwać miesiącami, by to cierpienie choćby trochę zbladło.

Powinnam wygrzebać się z łóżka i udawać, że jest świetnie. Przecież umiem udawać. Tylko że nagle uzmysławiam sobie, że robię to zbyt długo, a teraz, kiedy czara goryczy się przelała, chcę tylko leżeć i płakać. Z dala od wszystkiego i wszystkich.

Co ja mam teraz zrobić? Czy to jest już rozstanie?

Jego najwyraźniej to nic nie obchodzi.

Dotykam opuszkami szyi, spodziewając się wyczuć bolesne zasinienia, ale skóra jest nienaruszona.

To mnie wtedy odbiło czy jemu? A może nam obojgu.

Może jesteśmy równo popieprzeni, tylko każde z innych powodów.

– Gotowa na spacer? – Alma wpada do mojej sypialni, nieomal taranując drzwi. – Chyba raczej nie. Wyglądasz jak całe stado nieszczęść – dodaje. Jej obcasy stukają na marmurze, gdy się do mnie zbliża i pochyla nad łóżkiem, na którym leżę.

Wiem, że prezentuję się raczej... smętnie. Nie trzeba mnie aż tak zaciekle dopingować.

Kulę się mocniej pod kocem i odpędzam ją machnięciem ręki.

Zaległam tu kilka godzin temu i nie planuję ruszać się stąd przed upływem... wieczności.

– Potrafisz pocieszyć – mruczę, przytulając poduszkę.

Alma naciska na mały pilocik, który rozsuwa zasłony. Miły półmrok rozplywa się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a mnie zalewają snopy wiosennego światła.

Dlaczego pogoda nie może mi dziś sprzyjać? Gdyby było ponuro, błotniście i deszczowo, znacznie łatwiej mogłabym się wymigać od standardowej wycieczki, na jaką co kilka dni chadzam z przyjaciółką.

– Wstawaj. Możesz nawet wyjść na zewnątrz w tym dziwnym kombinezonie w łaty, który wygląda jak pizama. Nie dbam o to, ale ruszamy – nakazuje i szarpnięciem ściąga ze mnie nakrycie. Zwija je w rulon i rzuca na fotel.

Przecieram piekące oczy palcami. Pewnie są opuchnięte, a moja cera blada.

– Nie mam ochoty. Źle się czuję. Chcę spać... – proszę.

– Śpi się w nocy. Wstajemy i maszerujemy. – Alma nie ustępuje. – Łap mrożony jogurt do picia. Twój ulubiony. – Wciska mi w garść plastikowy kubek ze smakołykiem.

Do moich nozdrzy dociera aromat ucieranych owoców.

– Dzięki. – Zasysam odrobinę napoju do ust. Alma pociąga mnie za rękę i zmusza, bym usiadła.

Gdy staje przed lustrem i zaczyna psikać się moimi perfumami i szminkować wargi, podnoszę się i wsuwam stopy w trampki.

– Masz na sobie dwa inne buty – zauważa, nawet na mnie nie zerkając.

Rzeczywiście, nogi są w trampkach. Tylko że każdy jest innego koloru.

– Oo, dzięki – odpowiadam.

– Widzę, że dziś sobie pogawędzimy. Tak dużo mówisz, że nie nadążam.

Nie muszę patrzeć na jej odbicie, by wiedzieć, że ma ironiczną minę.

– Przepraszam. – Wygładzam swój łaciaty kombinezon. Od góry do dołu jestem biała w czarne plamy. Niemal kleksy. Pewnie powinnam się przebrać, ale nie mam na to ani siły, ani ochoty.

Czuję się tak, jakbym miała za moment paść trupem, a to wszystko dlatego, że nie udało mi się nawet na minutę przepędzić dręczących mnie

myśli. Wciąż i wciąż od nowa roztrząsam sytuację, która miała miejsce między mną a Bradleyem trzy dni temu.

Nie widziałam go od tamtego czasu. Od siedemdziesięciu dwóch godzin. A to jeszcze pogarsza moją depresję.

Nie próbował dzwonić. Nie przyszedł do mnie.

Dlaczego się nie zjawił, żeby to naprawić? Potrzebuję... tego. Od pewnego czasu to on... tylko on chronił mnie przed przemianami się w gruzy bez wartości.

– Masz takie przekrwione oczy, jakbyś nie spała kilka dni i wypłakała wszystkie łzy – odzywa się Alma, wrywając mnie z melancholii. Rzuca mi na ramię zapinany sweter i wypycha z pokoju. Po chwili wychodzimy z domu.

– Ostatnio... jest coraz gorzej – wyznaję.

– Co jest coraz gorzej?

– Ze mną. Ze mną jest coraz gorzej. – Mieszam łyżeczką w kubku z jogurtem, wygrzebując mrożone owoce. – Czuję się, jakbym znikła po trochu.

– Czyli seksowny motocyklista nie okazał się skuteczną terapią? – Jej twarz przecina cień zawodu.

– On jest... trucizną. – Albo przynajmniej bywa nią od czasu do czasu. – On... pogłębia mój obłąd. – Przesuwam dłonią po czole.

Przysięgam, że prawie to tam czuję. Coś okropnego, zagrzebanego w przepaści mojego umysłu. Rozrasta się, a ja nie mogę tego wyplenić.

A Bradley jest i cyjankiem, i lekarstwem.

– Nie wątpię, wygląda obłądnie – żartuje. – Prawdziwy z niego samiec, co? – Alma podszczypuje mnie w bok.

Przed oczami miga mi mały liść, uniesiony podmuchem wiatru. Chwytam go i oglądam z każdej strony. Jest brudny, pełen dziur i postrzępiony. Pozbawiony woli.

Zupełnie jak ja.

– Nie chcę o nim mówić. Chyba... wolałabym go nie poznać – szepczę.
– Może go nie znam.

Wcześniej na myśl o nim miałam w brzuchu motyle, a teraz odczuwam jedynie mdłości.

Instynktownie dotykam swojej szyi.

On... nie wolno mu było tego robić. Może i się zatrzymał, opamiętał, zanim doszło do tragedii. Ocknął z tej... manii, czy jak by można to określić, ale... Czy innym razem, następnym razem, który na pewno w końcu nadejdzie, też zdoła się zatrzymać? A nawet gdyby, to czy powinnam w ogóle rozważyć wybaczenie mu tego, co zrobił?

Dobrze wiem, że większość kobiet posłałaby go do diabła bez oglądania się za siebie. Tylko że on jest chory... w sposób, który przedziwnie odzwierciedla też moje problemy. Mimo to Bradley mnie nie skreśla.

– Jest dupkiem – syczy Alma.

– Nie, on raczej...

Dziewczyna przystaje i pociąga mnie za łokieć.

– To nie było pytanie. Jest cholernym kutasem, spójrz.

Jej wzburzenie zaskakuje mnie. Podążam wzrokiem za jej palcem.

Kilka metrów dalej zauważam Bradleya w towarzystwie zjawiskowo pięknej kobiety. Blondynka z oczami wielkimi jak u łani. I z cholernie długimi nogami, chudymi jak u żyrafy. Spokojnie mogłaby konkurować z modelkami pozującymi do światowych magazynów. Ubrana jest w szorty i kraciatą bluzkę. Przy niej wyglądam jak najedzona orka, ale nie to sprawia, że moje wnętrzości skręcają się z zazdrości. Ta kobieta wtula się w Bradleya, a on obejmuje ją w pasie.

– Po co zwlekać, jestem dużą dziewczynką i wiem, czego chcę – dobiega mnie jej głos. – Na pewno nie jest to chodzenie po parku tam i z powrotem.

– A co takiego? – warczy jej do ucha Kincaid.

Dziewczyna nie fatyguje się, by odpowiedzieć. Zamiast tego przykleja się swoimi bordowymi ustami do jego szyi.

– Jeśli chcesz mnie gdzieś zaprowadzić, prowadź tylko do swojego łóżka. – Wygląda kołnierzyk jego koszuli. – Tęskniłam za tobą, kochanie.

Za tym, jaki potrafisz być dziki, gdy puszcza ci hamulce. Chcę to znów poczuć.

Tęskniła?

Mam wrażenie, jakby ktoś rozbił kawałek skały na mojej głowie.

– Co ty robisz? – zwracam się do Bradleya, zanim rozum zdoła zamknąć mi buzię na kłódkę.

Srebrzyste oczy natychmiast wwiercają się we mnie.

– Savannah...

– Kto to jest? – wtrącam, podchodząc bliżej. – No kto?

Bradley nie odsuwa się od blondynki, nie nakazuje jej, by przestała go całować. Przeciwnie, przykrywa jej dłoń wspartą na jego torsie. Złote paznokcie i pierścionki rażą mnie w oczy niemal równie mocno jak bliskość tej pary.

– Eliza – rzuca tylko.

– Twoja... dziewczyna? – chrypię.

Nieznajoma zaczyna chichotać. Staje przed Bradleyem i opiera plecy o jego klatkę piersiową. Chowa jedną rękę do kieszeni, a drugą sięga do ramienia Brada, by ponownie się nim owinąć. Ten gest jest tak naturalny, jakby robiła to już tysiące razy.

– Raczej stała partnerka od niegrzecznych zabaw. Nie mogłam wcześniej przyjechać, ale już jestem – wtrąca, zanim Bradley może zabrać głos. – A ona to kto? – Odchyła głowę, by spojrzeć na mężczyznę. Trzepocze długimi rzęsami.

– Nikt – stwierdza Bradley. – Zupełnie nikt.

Tylko cudem udaje mi się nie cofnąć z powodu siły tego ciosu.

Nikt?

Moje serce... Ból jest tak silny, jakby wbiły się w nie dwa węzowe kły nasączone jadem.

Bradley jest taki... obojętny. A zarazem każdy jego gest mówi wszystkim wokół, że kobieta, której dotyka, należy do niego.

Wiem, bo... mnie też tak dotykał... Nie tak dawno temu.

– Jak możesz? Jak możesz mi to robić? – krzyczę, nie dbając o to, że urządzam scenę. – Kilka dni temu mnie przeraziłeś. Byłeś taki bezlitosny... a teraz...

Teraz jest o wiele gorszy. Nie mój.

– Tylko bez hysterii, proszę... – Wzdycha. – Oszczędź mi płaczu i kolejnych wrzasków. Nie lubię tego.

– Ty sukinyś!

– Aha, już łapię. Jesteś kolejną z tych, które liczyły na... miłość? – znowu przemawia blondynka. Kiedy wypowiada ostatnie słowo, na jej twarzy można dostrzec coś między wstrętem a rozbawieniem.

– Uspokój się. Robisz z siebie pośmiewisko – dodaje mężczyzna.

Zaciskam pięść na kubku z jogurtem. Raptem wydaje się on świetną bronią. Wystarczy, by zadać odrobinę szkód dupkowi naprzeciwko mnie.

– To dla ciebie jakaś zabawa? Najpierw sprawiasz, że w końcu czuję się bezpiecznie, potem prawie mnie dusisz... – Przełykam kulę w gardle. – A teraz zdradzasz?

Na obliczu Bradleya igra cień uśmiechu. Podłego uśmiechu.

– Zdradzam? Chyba za dużo sobie wyobrażasz – odpowiada, a jego palce przesuwają się na obnażone udo niejakiej Elizy. – Nie pamiętam, żebym ci ślubował miłość i wierność do śmierci – dodaje.

Noga kobiety jest ozdobiona wzorem z czarnych róż, na obojczyku dostrzegam też wytatuowane gwiazdy. Ona... pasuje do niego tak perfekcyjnie, jak ja nigdy nie będę.

A mimo to sterczę tu i daję się poniżać.

Wciągam w płuca haust powietrza i zmuszam mięśnie do rozluźnienia.

– To wszystko... – zaczynam cicho. – I tak bez znaczenia. Po tym, co mi zrobiłeś, nigdy więcej nie pozwolę ci się dotknąć.

Dopada mnie zmęczenie. Powoli pochłania wszystko – od gniewu po zranienie. Mimo to gdzieś głęboko wewnątrz wcale nie jestem taka pewna, czy moje słowa nie są kłamstwem.

Okazałam się naiwna i głupia. Może przez cały czas byłam jedną z wielu jego zabaweczek. Mężczyźni tacy jak Bradley lubią kolekcjonować

ładne trofea, a on nigdy nikogo nie udawał. To ja postrzegałam go inaczej.

Bradley okręca Elizę jak baletnicę i uwalnia z objęć po to, żeby do mnie podejść. Przystaje centymetry ode mnie. Łapie w palce kosmyk moich włosów, targanych przez palce. Patrzy na niego, jakby podziwiał refleksy mieniące się w słońcu.

– Nie łudź się, kiciu. Gdybym tylko chciał, sprawiłbym, że znowu błagałabyś o mój dotyk tak, jak wcześniej błagałaś o powietrze – szepcze niespodziewanie. – W końcu jesteś równie popieprzona jak ja.

Przez sekundę lub dwie jestem zbyt ogłuszona, by zareagować, a później puszczają mi hamulce.

– Ty... – Walę go na oślep pięściami. Jednak Bradley obezwładnia mnie z łatwością.

– I robisz mi scenę zazdrości, choć to chyba oczywiste, że już cię nie chcę.

– Biedna, mała dziewczynka, przeraziło cię, że Bradley lubi się czasem ostrzej zabawić? – świergocze Eliza, obracając sygnet na swoim kciuku. – Nic dziwnego, że szybko mu się znudziłaś.

Nie mogę tego dłużej słuchać. Mam dość deptania mojej godności. Tylko że oni jeszcze nie skończyli.

Po chwili Brad obraca się w kierunku blondynki. Ujmuje ją za szyję i ściska.

– Cisza – żąda.

Eliza nie jest wystraszona. Ani trochę. Jej oczy błyszczą zafascynowane, jak gdyby bardzo podobała jej się jego brutalność. Jakby jej pragnęła.

Jakby pragnęła samego Bradleya. Tej ciemnej strony jego osobowości. Bezlitosnej, gwałtownej, surowej natury czerpiącej moc prosto z agresji.

– Spróbuj mnie zmusić – droczy się z nim.

Bradley zacieśnia uchwyt na jej krtani, drugą ręką zaś odchyła głowę kobiety i... wpija się w jej usta.

Całuje ją.

O krok ode mnie. A ja nie potrafię odwrócić wzroku od ich złączonych warg, stykających się ciał.

Są razem. Tak bardzo razem, że dociera do mnie, iż stanowiłam tylko małą pomyłkę na ich wspólnej drodze.

Nagle wydaje mi się, że jestem w centrum uwagi każdego przechodnia. Czuję na sobie spojrzenia wszystkich spacerujących w parku. Są świadkami mojego upokorzenia, a ich śmiech prawie dzwoni mi w uszach, choć wiem, że nie jest prawdziwy.

– Chyba nie sądziłaś, że będę się z tobą bawił w jakieś pierdolone romantyczne bajeczki. Nie jestem żadnym jebanym księciem – mówi Bradley, gdy już odrywa się od Elizy.

– Nie. Jesteś kimś o wiele gorszym – szepczę. – Potworem, który rozszarpuje bajki kłami i pazurami.

– Zapamiętaj to – poleca. – I trzymaj się ode mnie z daleka.

Ktoś łapie mnie za łokieć i ciągnie do tyłu.

– Chodźmy już, Savannah – mówi łagodnie Alma.

Całkiem zapomniałam, że tu jest. Zerkam na nią. Z całych sił próbuje nie pokazywać, że jest jej mnie żal.

– My też chodźmy. Mam dość tego sterczenia – dodaje blondi. – Chcę się położyć. Pod tobą.

Wzdrygam się, wyobrażając sobie ich razem w łóżku.

Tak, muszę odejść. Nie tylko stąd. Muszę odejść od niego. Na zawsze.

I właśnie dlatego tak trudno mi się ruszyć.

– Moje wspomnienia... – zaczynam i zaraz milknę.

Bradley wyjmując z kieszeni paczkę papierosów i odpala jednego zapalniczką.

– Może powinnaś je zostawić. – Zaciąga się i wydmuchuje dym wprost w moje rozchylone usta. – Może faktycznie nie zwariowałaś do końca tylko dzięki temu, że niczego nie pamiętasz – dorzuca.

Pewnie ma rację. Nie wie tylko, że tamtego dnia coś mi się przypomniało. Jego... pełne terroru techniki zadziałały.

Niespodziewanie Alma wyskakuje do przodu, wrywa mu fajkę, a potem gasi ją pod swoim butem.

– Jak śmiesz tak do niej mówić? – warczy, popychając mężczyznę.
Bradley lekceważy ją i wciąż wpatruje się tylko we mnie.

– A może pocałunek na pożegnanie? – proponuje z kokieteryjnym uśmiechem.

I tu kończy się moja cierpliwość. Wyjmuję z rąk przyjaciółki kubek z jogurtem, a potem jego zawartość, a także własnego pojemnika, wylewam na głowę Bradleya.

Alma zasysa powietrze ze zdumieniem, a mała towarzyszka Brada już na nim nie wisi, tylko cofa się z krzykiem.

– To lepsze niż pocałunek, co? – mruczę słodko do dupka, który nagle zamiera w bezruchu.

Spodziewam się jego wściekłości, wrzasków, ale on... zaczyna się śmiać. I wcale nie jest to udawany śmiech. Tylko prawdziwy, beztroski, ten sam, który wcześniej skutecznie odzierał mnie z ochraniającej zbroi.

Bradley strząsa z włosów owocową maź.

– Do zobaczenia, kiciu – zapowiada jeszcze, a następnie odwraca się i odchodzi. Jego dziewczyna również.

Do zobaczenia?

Być może... tyle tylko, że wtedy to ja będę tą skutą taflami lodu i znieczuloną.

Rozdział trzynasty

Idąc pod ramię z mężczyzną, z którym powinnam czuć się o wiele bardziej komfortowo, niż ma to miejsce w rzeczywistości, żałuję, że nie włożyłam ciut dłuższej sukienki.

Od dawna nie ubieram się prowokująco, a moimi ulubionymi ciuchami są teraz o rozmiar za duże, luźne swetry. Tylko że tak nie wypadało wyjść z domu na spotkanie tego rodzaju.

To nic, będzie dobrze. Wybierzemy się na kolację, zjemy coś smacznego, napijemy się wina, pogadamy i...

Jeśli spełni się moje życzenie, wyszeptane ostatnio nad fontanną, w której kiedyś zdarzyło mi się prawie kąpać, to między mną a Scottem zaiskrzy.

Zaiskrzy na tyle, że ktoś inny stanie się zamierzczłym wspomnieniem, a ja skupię się na mężczyźnie, którego wybrałabym, idąc za głosem rozsądku, bo dałby mi wszystko, czego mi trzeba.

– Bardzo się cieszę, że dałaś się namówić na tę randkę – zagaja Scott, gdy zmierzamy w stronę parkingu, na którym zaparkował swoje auto.

Tak, zgodziłam się wyjść na randkę. I okłamałabym samą siebie, gdybym powiedziała, że nie jest to ani trochę związane z chęcią zemsty na Bradleyu za to, jak mnie potraktował. Jednak istnieje też drugi powód, o wiele zdrowszy. Takie wyjście wieczorem z mężczyzną to dla mnie coś w rodzaju terapii, ponieważ od bardzo dawna unikałam tego typu spotkań.

– Dość długo się starałeś, więc uznałam, że chyba na serio ci zależy. Doceniam wytrwałość – odpowiadam.

W przeciwieństwie do pewnego diabła na motorze.

– Postaram się niczego nie zawalić. Zarezerwowałem stolik w nowo otwartej restauracji. Jeszcze tam nie jadłem, więc właściwie... – Urywa i się uśmiecha.

– Jedzenie może być okropne albo wyśmienite – kończę za niego.

Szal zsuwa mi się z ramion, więc Scott wyciąga rękę, by go poprawić. Potem jednak jej nie cofa. Wciąż czuję nacisk jego dłoni na dole krzyża, kiedy idziemy wzdłuż krętej uliczki.

– Tak. Może powinienem był przeprowadzić najpierw jakieś zwiady – kontynuuje.

Zmuszam się do tego, by pozostać zrelaksowana. Nie ma nic złego w sposobie, w jaki mnie dotyka. Jest szarmancki, elegancki. Właśnie z takim mężczyzną powinnam się umawiać. Takiego dotyku powinnam pragnąć. Scott próbował zaprosić mnie na randkę chyba kilkanaście razy w ciągu ostatnich tygodni, a jako że jest bratem Almy, to wie, że mam teraz dziwny okres w swoim życiu. Jednak zawsze wykazuje się cierpliwością wobec mnie. Na dodatek jest naprawdę przystojny. Jego krótko przystrzyżone włosy skręcają się w brązowe loki w uroczy sposób, a zielone oczy pewnie rozbijają w sekundę opór wielu kobiet. No i nie jest sztywniakiem, jak wielu z mojego otoczenia. Problem w tym, że od zawsze postrzegałam go jako przyjaciela, ale przecież wiele udanych związków zaczyna się od przyjaźni, racja?

Mam taką nadzieję.

– Nie przejmuj się, nie jestem zbyt wybredna – mamroczę.

Niestety żołądek mam zawiązany na tyle supłów, że albo nic nie przełknę, albo nie będę potrafiła przestać jeść. Różnie reaguję, gdy jestem zdenerwowana.

– A powinnaś być. – Niespodziewanie odzywa się obcy głos. – Zwłaszcza jeśli sam wiem najlepiej, że żaden deser, nawet ten najbardziej wykwintny i słodki, nie może konkurować z twoim smakiem.

Podrywam głowę i widzę go. W najdalszym, najciemniejszym zakątku parkingu stoi harley, z którego właśnie zsiada Bradley.

I chyba mam zwiady, bo wydaje mi się, że trzyma w palcach bukiet różnokolorowych kwiatów.

– Bradley – warczę. – Po co tu przyjechałeś?

Mężczyzna mroczniejszy od nocy zatrzymuje się przede mną.

– Musimy porozmawiać – mówi.

– Wpadnij kiedy indziej, mam plany na ten wieczór. – Zerkam wymownie na mojego partnera. – Przepraszam. Scott, to Bradley, ale nie staraj się zapamiętać. Nie ma potrzeby – dokonuję prezentacji.

Moja randka milczy, najpewniej zbита z tropu i świadoma napięcia, jakie nagle daje się wyczuć w powietrzu.

– Proszę tylko o minutę rozmowy – dodaje Brad, a potem spogląda na kwiaty w swoich rękach, chyba niepewny, czy powinien zaryzykować próbę wręczenia mi wiązanki. Ostatecznie wpycha wolną dłoń do kieszeni.

– Minęło już więcej niż sześćdziesiąt sekund, odkąd zajechałeś nam drogę.

Jego motocykl stoi w taki sposób, że niestety blokuje samochodowi Scotta możliwość wyjazdu z parkingu. Jego porsche jest zbyt duże, by wykonać manewr wymijania bez porysowania karoserii.

Jeśli Brad sądzi, że w ten sposób nie dopuści do randki, to się myli.

– To dla ciebie – mówi, ignorując moje słowa. – Kwiaty – dodaje, jakbym nie zauważyła. – Nie wiedziałem, jakie są twoje ulubione, więc poprosiłem kwiaciarkę, by dobrała do bukietu po jednym z każdego dostępnego gatunku. Prawdopodobnie nie jest to idealnie harmonijna kompozycja, ale dlatego pasuje do nas idealnie – kończy.

Unosi kwiaty, ale ja ich nie przyjmuję, tylko gapię się na te durne barwne pąki, walcząc z chęcią rzucenia się na Bradleya.

Jestem naładowana złością do niebezpiecznego poziomu. Erupcja, która za moment nastąpi, może rozsadzić jego mały świat.

– Bo my do siebie nie pasujemy? – odgaduję.

– Według wszelkich praw natury i świata ty jesteś jak ten storczyk. Piękny, elegancki i delikatny. – Dotyka opuszką białego kwiatu.

– A ty którym jesteś?

Szare oczy odszukują moje.

– Żadnym z tych. Bluszczu nie dobiera się do żadnego bukietu – przemawia głosem nabrzmiałym od zagadkowych emocji. – Jest zbyt trujący i niszczycielski. Lepiej, żeby taki kwiat jak storczyk nigdy nie pozwolił mu się opleść, bo ten chwast prawdopodobnie już nigdy nie uwolni go z uścisku swoich zabójczych pnączy.

Moje serce wywija salto.

Instynktownie chcę zapewnić Brada, że nie jest dla mnie żadnym bluszczem, ale nie wolno mi. To nic nie znaczy. To tylko kolejna sztuczka.

Piękne wyznanie. Ostrzeżenie.

– Naprawdę muszę już iść. Dziękuję za kwiaty. – Kapituluję i przyciskam bukiet do piersi. Wciągam w nozdrza mieszankę aromatów przyprawioną szczyptą męskiego zapachu Bradleya.

– Nie możesz z nim odejść. – Brad zagradza mi drogę, gdy próbuję go wyminąć.

– Przestań – proszę. – Daj mi trzy minuty – zwracam się do Scotta i odchodzę kawałek dalej, by ta absurdalna dyskusja stała się choć trochę prywatna.

– Nie możesz odejść z innym mężczyzną – powtarza. Jego rysy naznaczone są udręką. – To mnie zrujnuje.

Nie.

Zaciskam pięść na zielonych łodygach.

– Odjedź stąd – nakazuję.

Bradley ujmuje moją twarz w dłonie. Jego dotyk parzy. I jest też dyskretnie zaborczy.

– Nie zdradziłem cię z Elizą – szepcze niemal w moje usta.

Wyswobadzam się z jego chwytu i piorunuję go wzrokiem. Imię tamtej kobiety działa na mnie jak kubeł zimnej wody.

– Wiem, przecież nie przysięgałeś mi wierności... – syczę. – Możesz zatem wpychać kutasa, gdzie tylko chcesz.

– Do niczego między nami nie doszło. Poza pocałunkiem, który widziałaś, nic się nie wydarzyło. Nie tknąłem jej – zapewnia. – Kazałem jej się odpierdolić, słowo.

Zdobywam się na fałszywy uśmiech.

– Jak szarmancko. Czemu miałabym ci wierzyć?

– Bo to ukartowałem.

– Co ukartowałeś?

Bradley spogląda gdzieś w dal i przeciąga palcami po nieco zbyt długim zaroście okalającym jego szczękę. Potem zaczyna podrzucać kluczyki od harleya. Zauważam doczepione do nich dwa breloczki. Jeden ma kształt trupiej czaszki, a drugi płomienia. Słodko.

Bawi się nimi, koncentrując na nich całą uwagę, niemal jakby obawiał się mojej reakcji.

– Chciałem, żebyś na nas wpadła. Spotkała mnie z inną kobietą. Wiedziałem, którądy zawsze chodzisz na spacer – zaczyna cicho. – Chciałem, żebyś mnie z nią nakryła.

Zszokowana prawie upuszczam swoją kopertówkę.

– Niby dlaczego?

Bradley milczy. Wodzi wzrokiem po moim obliczu, a potem zbliża się tak niespodziewanie, że gdy się gwałtownie cofam, zahaczam szpilką o wystający kamień i prawie się wywracam.

Bradley jednak tylko wyciąga dłoń, by złapać spinę, która wymknęła się z mojego koka. Kiedy mi ją oddaje, nasze palce ocierają się o siebie, sprawiając, że na mojej skórze przeskakują iskry.

– Chciałem, żebyś uznała mnie za sukinsyna i zostawiła – odpowiada w końcu. – Kiedy do mnie przyszedł tamtego dnia, byłem rozpieprzony od środka i... destrukcyjna część mojej osobowości kazała mi niszczyć. Wszystko. Udowodnić sobie, że tylko to mogę robić.

– I dlatego mnie zraniłeś?

– Tak, ale... posunąłem się za daleko. – Odwraca głowę i wiem, że jest mu wstyd. – Byłem o krok od zrobienia ci krzywdy.

– Ale się zatrzymałeś. Mimo tego, że byłeś wtedy poza kontrolą – przypominam.

Cholera. Ręce trzęsą mi się tak mocno, że nie jestem w stanie z powrotem upiąć włosów. Wpatruję się wkurzona w złotą spinę, dopóki

Bradley ponownie mi jej nie odbiera. Wyręcza mnie i naprawia mój kok. Chwyta lok na karku i podpiną go do reszty pasemek. Czuję jego dotyk na szyi i za dobrze znam tego mężczyznę, by wierzyć, że jest przypadkowy.

Nie powinnam pozwalać mu teraz na taki rodzaj intymności, więc prędko się cofam.

– Wciąż widzę to przed oczami. Twoje łyzy, strach – kontynuuje, a jego głos jest niemal tak bezgłośny jak szmer wiatru. – Moje dłonie na twoim gardle.

– I dlatego uznałeś, że lepiej mnie odepchnąć, żebyś zyskał pewność, że nigdy więcej nie narazisz mnie na zranienie podczas ataku? – prychnam zirytowana. – To co w takim razie tu teraz robisz?

– Nie potrafię trzymać się od ciebie z daleka.

Mówi to tak po prostu. I jeszcze brzmi, jakby miał mi to za złe.

Po co ja tu w ogóle stoję? Po co tego słucham?

– Dobranoc, Bradley. – Odwracam się, by wrócić do Scotta, ale Brad chwyta mnie za nadgarstek.

– Zostań ze mną, Savannah.

– Opanuj się, zanim znowu zaczniesz ci odbijać.

– Ty mnie uspokajasz – mruczy, starając się zwabić mnie w swoje objęcia. – Zostań ze mną.

– Próbujesz mną manipulować.

Pociąga za skraj czerwonego szala, a jego oczy śledzą zachłannie każdy cal mojego ciała. Kaszmirowa sukienka nagle wydaje się ciaśniejsza, szorstka tak, że aż mam ochotę się podrapać.

Widzę głód w jego źrenicach, ale to już nie działa, ponieważ to nie pożądaną od niego pragnę. Nie mogę godzić się na to, żeby ofiarował mi wyłącznie resztki siebie. Bradley może sobie wmawiać, że nie ma nic więcej do zaoferowania, ale ja wiem, że to oszustwo. A jeśli mam przyjąć jego mrok, muszę dostać też jego serce.

– Przykro mi. Nie cofnę się przed niczym, byś była moja. – Uśmiecha się arogancko, czym doprowadza moją krew do wrzenia.

– Scott, gdzie zaparkowałeś? – pytam, przystając przy mężczyźnie.

Uśmiech Brada zastępuje grymas odrazy.

– Nie pozwolę ci z nim odjechać – szepcze do mojego ucha. – Mógłbym go zabić, żeby cię zatrzymać. Wiesz o tym.

To groźba.

W jednej chwili Bradleya znów otacza aura myśliwego pogrążonego w szale tropienia zwierzyny.

– I co dalej? Zmusisz mnie, żebym z tobą została? Będziesz mnie więził wbrew mojej woli w tej porąbanej relacji? – szydę.

Potrząsa głową.

– Ja tylko... nie wiem, co robić – zaczyna niepewnie. – A bezradność nie wpływa na mnie dobrze.

I ta bezradność prowokuje jego atak.

– Wracaj do domu – mruczę, odpychając go.

– Zamierzasz pozwolić mu się dotykać?

– Nie twoja sprawa.

Narasta we mnie gniew i ściera się z jego złością.

Nie wierzę, że Brad stoi tu i zgrywa zazdrosnego samca, który oznacza swoje terytorium przed rywalem.

To przez Bradleya snułam się od wschodu do zachodu słońca, jakbym była pogrążona w żałobie, a nocami zaciskałam zęby, żeby nie płakać. Przez niego poczułam się śmieszna i mała. Nieistotna.

Jego widok z tą kobietą poharatał mnie od środka.

– Zamierzasz? – ponawia pytanie. – Nie. Nie mogę mu pozwolić na zawłaszczenie sobie praw do tego, co moje.

Obserwuję, jak jego zaciśnięte pięści drżą, a opanowanie gdzieś znika, ale tym razem nic mnie to nie obchodzi. Skoro tak go przy mnie nosi, niech łyka większą dawkę leków. Poza tym prawda jest taka, że w tej chwili Bradley w ogóle się nie stara trzymać swych agresywnych skłonności w ryzach. Chętnie zrobiłby ze Scotta tarczę strzelniczą.

– Nie jestem twoją własnością – wytykam.

Kąciki jego ust ponownie się unoszą. Wbija oczy w mojego towarzysza, a następnie wraca spojrzeniem do mnie.

– Jeszcze wczoraj chciałaś nią być i za kilka dni znowu to poczujesz, bo on nie da ci tego, co ja. O tym też wiesz – oznajmia Brad na tyle głośno, by jego słowa dotarły do Scotta.

Upuszczam bukiet kwiatów, a następnie przechodzę po nim, rozgniatając pąki obcasami.

– Życz mi gorącej randki. – Macham na do widzenia i się odwracam, by objąć mojego towarzysza w pasie.

Rozdział czternasty

Gibając się i próbując utrzymać równowagę, staram się odnaleźć mój zaginiony telefon.

Tak, bardzo zaginiony.

Nigdy bym nie pomyślała, że utrzymanie się na nogach po alkoholu plasuje się tak wysoko, jeśli chodzi o poziom trudności. Może powinnam sobie gdzieś usiąść?

Mimo rozmazanego wzroku w końcu udaje mi się rozszyfrować literki na ekranie komórki. Osiem nieodebranych połączeń.

Od pana Bradleya, „jestem królem świata”, Kincaida.

Jakaś część mnie spodziewała się, że Brad w którymś momencie wpadnie przez drzwi restauracji i popsuje moją pseudorandkę.

Powinnam oddzwonić. Tak, muszę to zrobić.

Cyferki na klawiszach trochę mieniają mi się w oczach, zaczynam się więc śmiać. Nie jest dobrze, chyba będę tu spać. Jeśli spróbuję stąd odejść, prawdopodobnie przysnę gdzieś w kałuży.

– Savannah?

Tętno mi skacze na dźwięk jego chropowatego głosu.

– Pobiliś się z kimś, kiedy odjechałam? – pytam, dając upust lękom, które targały mną cały wieczór.

Na moment w słuchawce zalega cisza, a ja wyobrażam sobie, jak Brad marszczy brwi.

– Nie – odpowiada.

Dobrze.

Odkąd tylko poszłam ze Scottem, z mojego umysłu nie mógł zniknąć obraz Bradleya stojącego na parkingu. Tak samotnego, opuszczonego.

Biorąc pod uwagę stan, w jakim go porzuciłam, i jego... niestabilność, a także to, że kontrola Bradleya nad emocjami jest raczej krucha, a on sam lubi rozładowywać napięcie za pomocą bójek, ostatecznie nie potrafiłam przestać się martwić, czy nie wpakował się w jakieś kłopoty.

Teraz oddycham więc z ulgą, że nie leży gdzieś połamany i zakrwawiony i że nie zgarnęła go policja.

– Chcesz się ze mną kłócić? – pytam, kołysząc się na piętach.

– Nie.

Zagryzam wewnątrz policzka, a mój uśmiech zmienia się w grymas.

– No dobrze – mamroczę, ale ponieważ trochę za dużo wypiałam, nie udaje mi się zamaskować zalewającego mnie rozczarowania.

– Czy to źle, że nie chcę się kłócić? – docieka.

– Ludzie kłócą się, bo im na sobie zależy. Nadmiar emocji jest lepszy niż ich brak – mruczę.

– Dlaczego dzwonisz?

No właśnie. Chciałam... Miałam nadzieję, że jak tylko odbierze, zacznie się ze mną kłócić. Będziemy krzyczeć, ochrzanimy się nawzajem, a później... cóż, pogodzimy. Teraz nie bardzo wiem, co mam powiedzieć.

Myślałam, że mnie potrzebuje do tego, bym ochroniła go przed upadkiem, uratowała. Byłam gotowa stoczyć się z nim na dno. Dziś wieczorem doszłam do wniosku, że wolę z nim upadać, próbując go ocalić, niż tkwić na bezpiecznym piedestale z kimś innym.

A on... pozostaje spokojny. Poradził sobie z tym wszystkim, cokolwiek to było, beze mnie.

A ja wciąż nie umiem sobie poradzić bez niego.

– Randka jest koszmarna. To znaczy była. Już się skończyła – jąkam się.

– Wszystko w porządku?

Spuszczam wzrok, nagle skrępowana. Wyciągam dłoń, by dotknąć kwiatów ustawionych w rzędzie na wielkim stojaku. Jest ich kilka i każdy stanowi piękną ozdobę podwórza wokół restauracji. Niebieskie dzwonki

łaskoczą moje palce, a ja od razu przypominam sobie bukiet, który dostałam wcześniej od Bradleya.

Nie powinnam była go deptać. Założę się, że ten mężczyzna rzadko zdobywa się na tego rodzaju gesty.

– Nie, czuję się koszmarnie. Wypiłam za dużo wina – przyznaję. – Ono też smakowało koszmarnie. Zabutelkowany koszmar.

Mimo że nie widzę twarzy Bradleya, jestem pewna, że się uśmiecha.

– A gdzie jest ten... gdzie mężczyzna, z którym miałaś spędzić wieczór?
– Jego głos obniża się o oktawę, ujawniając w ten sposób wzburzenie.

– Posłałam go na drzewo. Był naprawdę...

– Wiem. Koszmarny – wtrąca.

Perła z bransoletki blokuje się między dwoma metalowymi szczebelkami kwietnika. Pochylam się, by ocenić problem, a potem próbuję wydostać biżuterię.

– Tak. Totalnie. – Pęk różowej piwonii łaskocze mnie w nos. – Możesz po mnie przyjechać? – dodaję, a w kolejnej sekundzie kicham.

Szlag. Bransoletka rozrywa się, a kilkadziesiąt koralików rozsypuje się dookoła. Kucam ostrożnie i próbuję je zbierać, ale wysokie szpilki sprawiają, że zaczynam się gibać, więc zdejmuję je, jednocześnie przytrzymując komórkę ramieniem. Starsze małżeństwo przechodzące nieopodal spogląda na mnie, jakbym była pluskwą albo innym robakiem.

– Już jestem w drodze. Zostań w miejscu i nie rozłączaj się – poleca Bradley, a ja topnieję, uświadamiając sobie, że miał zamiar mnie odebrać, nawet gdybym go nie poprosiła.

– Skąd wiesz, gdzie jestem?

– Byłbym beznadziejnym prześladowcą, gdybym nie wiedział tak prostych rzeczy – rzuca żartobliwym tonem. – Nie odchódź daleko od restauracji.

Wrzucam perły do swojej kopertówki i usiłuję wstać.

Na miłość boską, po co wlałam w siebie aż tyle wina? Po co w ogóle polazłam na tę randkę? Przez te dwie godziny dłużące się w nieskończoność byłam tragicznym kompanem. Jadłam, piłam i rzucałam

zdawkowe odpowiedzi Scottowi. Dzielnie radził sobie z moim dennym nastrojem, ale...

Wciąż nie był Bradleyem.

Co się ze mną stało? Zachowałam się jak wyrachowana suka, wykorzystałam go, żeby odegrać się na innym mężczyźnie. Na dodatek na końcu spławiłam go tekstem, że mam ochotę побыć trochę w samotności i niemal błagałam, żeby wstał od naszego stolika, wrócił do domu i pozwolił mi zalać alkoholem resztę działających szarych komórek.

– Jest ładna noc. Dużo gwiazd – mówię, odganiając ponure wspomnienia.

– Nie patrz w górę, nie chcę, żebyś się przewróciła.

Wymyka mi się chichot. Nie ma pojęcia, że wywrotkę mam już za sobą, a aktualnie siedzę na tyłku przed wykwitną restauracją.

– Gdzie jesteś?

– Przed tobą. Wskakuj. – Auto lśniące granatowym lakierem zatrzymuje się naprzeciw mnie. – Albo zaczekaj, pomogę ci wsiąść. Tak na wszelki wypadek. – Bradley otwiera drzwi i opuszcza pojazd. W mig porywa mnie w ramiona, a ja, śmiejąc się, obejmuję jego szyję.

– Skąd masz samochód?

Okraża wóz, by usadzić mnie na miejscu pasażera, a następnie zapina mi pas.

– W tym stanie nie nadajesz się na przejażdżkę motocyklem. – Zerka na moje bose stopy. – Gdzie ty, do diabła, masz buty?

– Zdjęłam i... O, zostały tam. – Wskazuję palcem parę czerwonych szpilek leżącą na podjeździe. – Mają wysokie obcasy i nie było mi wygodnie.

Mężczyzna tylko kręci głową i wypuszcza ciężki oddech, a potem maszeruje, żeby zabrać moje obuwie. Gdy zasiada na miejscu kierowcy, pragnę go pocałować.

Jest taki kochany.

– No tak. Wystroiłaś się na swoją randkę z tym elegancikiem. A ta sukienka? Więcej odsłaniałabyś chyba tylko, gdybyś paradowała przed tym

dupkiem w bieliźnie. – Ma taką minę, jak gdyby połykał bardzo kwaśny cytrus.

Wyszczierzam się z satysfakcją.

– Jesteś zazdrosny?

– Jestem zaborczy i terytorialny. – Zaciska dłonie na kierownicy, ale później układa jedną na moim udzie. – Gdy ktoś sięga po to, co moje... – Urywa. Przymrużonymi oczami obserwuje palce, które suną w górę jego barku, by po chwili zacząć pieścić kark.

– To co?

– Trzymaj łapki przy sobie – nakazuje, włączając się do ruchu ulicznego.

Trzepoczę niewinnie rzęsami. Moja dłoń wciąż zatacza kółeczka na jego skórze, wprawiając w łagodne drżenie napięte mięśnie.

– Ty mnie dotykasz – stwierdzam. Przesuwam rękę w dół po jego brzuchu. Ma na sobie tylko koszulkę. Z łatwością mogłabym zanurkować pod nią palcami albo ustami. Całować nagą, rozgrzaną skórę.

– Ale ty nie prowadzisz – warczy. – Dotknij mnie jeszcze niżej, a zaliczymy przystanek i przelecę cię na środku ulicy.

Jego słowa wcale mnie nie zniechęcają. Nigdy nie uprawiałam seksu w samochodzie i coś mi mówi, że mogłoby mi się to spodobać.

– Ładnie pachniesz. – Chowam nos w zagłębieniu jego szyi i wdycham aromat.

Bradley szepcze wiązaną przekleństw. Ciężka dłoń spoczywająca na mojej nodze się zaciska.

– Sprawiasz, że mam ochotę cię ugryźć – stwierdza zmysłowo. – Zatopić zęby w twojej miękkiej skórze. Naznaczyć tam, gdzie każdy to zobaczy. I może w kilku innych miejscach.

Wiercę się na siedzeniu, unoszę jeszcze wyżej skraj sukienki.

Ja też tego chcę. Nawet teraz.

– Nie dziwię się. W ten sposób drapieżniki demonstrują swoją władzę. – Bezwiednie spoglądam przez boczną szybę. – Stój!!! – krzyczę.

Bradley natychmiast naciska hamulec, sprawiając, że opony aż piszczą na asfalcie.

– Co jest, kurwa? – Wpatruje się w rozświetlony reflektorami mrok, spodziewając się pewnie śmiertelnie niebezpiecznej przeszkody na swojej drodze, ale niczego nie dostrzega. Przynajmniej przez moment, ponieważ chwilę potem na ulicę wbiega puszyste zwierzątko.

– Owca – wyjaśniam, wskazując przybysza podbródkiem. Następnie chwytam za klamkę.

– Gdzie idziesz? – woła za mną mężczyzna, gdy w końcu udaje mi się wytoczyć z auta.

– No po owcę. Musimy ją zawieźć do właściciela – mówię. – Nie widzisz, że jest malutka i zabłądziła?

– Robisz sobie ze mnie jaja? Teraz mam robić za taksówkę dla ubłoconych kóz?

Głucha na te narzekania podchodzę powoli do zwierzęcia, by go nie spłoszyć.

– Owiec. – Już prawie, prawie udaje mi się ją złapać, a jednak w ostatniej chwili wymyka mi się, a ja ląduję na tyłku. – Niech to!

Znowu. Dwa razy jednego wieczoru to za dużo.

Słyszę trzaśnięcie drzwi, a potem:

– Dlaczego leżysz w błocie? – pyta Brad rozbawiony.

Gromię go wzrokiem.

– Na pewno nie dla towarzystwa, głupku – syczę. – Wyplątywałam ją z drutu i chyba jakoś... sama się zaplątałam. Zdejmij to ze mnie. – Wokół moich łydek i kostek owinął się drut, który dopiero co udało mi się ściągnąć z kopytek biednej owieczki.

– No nie wiem. To dość perwersyjne. – Brad uśmiecha się zadowolony. – Czy ta owca ma kokardki?

– Ładne, prawda? Ma też obrożę ze swoim imieniem i adresem właściciela – informuję. – To zwierzę domowe.

Bradley pociera skroń, jakby nagle zaczęła dokuczać mu migrena. Wciąż sterczy i gapi się na owcę zamiast mi pomóc.

Też mi rycerz, kurczę.

Szamoczę się w błocie, starając się jakoś zsunąć z siebie te zardzewiałe druciki, ale muszę się przyznać, że poległam z kretesem.

Bradley ponownie wypuszcza ciężki oddech, jakby dziś przechodził naprawdę trudną próbę, ale wiem, że tylko się ze mnie nabija, bo z trudem się powstrzymuje, żeby nie zacząć rzeć.

– Jak to domowe? Trzymane w domu, a nie w zagrodzie dla parzystokopytnych? – Wreszcie uwalnia mnie z tych drucianych sideł. – Coś jak zastępstwo salonowego pieska?

Co on w ogóle bredzi? Podchodzę do zwierzęcia, które tym razem pozwala mi się objąć.

– Nie bądź złośliwy. Chcesz ją potrzymać? – proponuję, głaszcząc owcę między uszami.

– Nie, dziękuję. Świetnie sobie radzisz – chwali. – Ty ją asekuruj, a ja będę asekurował ciebie.

Ha, ha. Dowcipniś.

– Wiem, do kogo należy – zaczynam, wsuwając się z powrotem na fotel. – Gospodarz ma tutaj całe stado, a to maleństwo jest ulubienicą jego najmłodszej córki. Musimy odstawić owieczkę do właściciela, żeby się nie martwili.

– Tak. To byłaby tragedia, gdyby wystawili list gończy za owcą.

– Przecież nie jest żadnym przestępcą.

– Nie jestem pewien. Może dobrze się kamufluje? – Przekręca kluczyk w stacyjce, ale nie rusza. – A gdybyśmy...

– Co?

Pochyla się do mnie, więc powtarzam jego gest, mając wrażenie, że chce powierzyć mi jakąś tajemnicę.

– Zapakować ją do bagażnika? – sugeruje.

Uderzam go w biceps.

– Nawet tak nie żartuj.

Bradley wykręca i ponownie rusza ulicą.

– Dobra. Co za różnica? I tak wytarzałaś się w błocie bardziej niż ten beczący pudel. – Przełącza stację w radiu. – Prawdopodobnie to ciebie powinienem wysłać do bagażnika.

– Jest okropny, prawda? – zwracam się do pasażera wierzgającego na moich kolanach. – Nie słuchaj go.

– Na dodatek nici z szybkiego numerku na światłach awaryjnych. Deprawowanie pudła przebranego za owcę to nawet dla mnie zbyt odważne posunięcie.

– Skup się na prowadzeniu.

Bradley sięga ręką do mojej szczęki, a kiedy zauważam jego umazaną opuszkę, dociera do mnie, że ścierał mi błoto z policzka. Cała jestem w plamach z błota, które już zasycha.

Muszę prezentować się niezwykle atrakcyjnie, a mimo to Bradley ponownie układa dłoń na moim udzie.

– Wprost nie mogę się doczekać, aż zapukam do drzwi jakiegoś gościa z owcą i narąbaną dziewczyną u boku – odpowiada i zanosi się śmiechem.

Znowu mam ochotę mu przyłożyć. Zamiast tego poprawiam zwierzęciu obrożę z kokardką.

– Założę się, że do końca tej podróży zostaniesz jej fanem.

– Zaczekaj chwilę. Zaraz sięgnę po aparat i zrobię jej zdjęcie, żeby powiesić sobie nad łóżkiem w formie plakatu – odcina się z sarkazmem. – Myślisz, że wyciągnę od niej autograf?

Zanim mogę zdobyć się na jakąś ripostę, w samochodzie rozbrzmiewa coś w rodzaju długiego, zawodzącego beczenia.

A Bradley wygląda, jakby marzył o walnięciu głową w kierownicę. I to tak silnie, by pozbawić się przytomności.

Rozdział piętnasty

Kolejny raz zmieniam stację radiową. Ignoruję burknięcia Bradleya na temat mojego fatalnego gustu muzycznego. Zdania są podzielone, bo ja sądzę, że to jego gust jest okropny.

Odstawiliśmy naszą uroczą owcę do jej właściciela, a teraz odstawiamy mnie do domu. Wcześniej Bradley zatrzymał się w aptece, kupił coś, a potem zmusił mnie do połknięcia gorzkich pastylek, marudząc coś o tym, że próbuje mnie uchronić przed kacem.

Nie boję się kaca. Jestem twardzielką. Jutro o poranku będę żwawa i rześka.

– O! Kocham tę piosenkę! – wykrzykuję z ekscytacją.

Bradley zerka na mnie pobłaźliwie. A potem tak samo patrzy na radio, z którego sączy się męski głos. Śpiewa o tym, co zrobiłby swojej kobiecie pod osłoną nocy. Dokładnie i szczegółowo.

I w żadnym razie nie jest to kołysanka. No chyba że taka dla dorosłych.

– Jest raczej...

Nie słucham go. Faceci lubią pornosy, ale przysłuchiwanie się, jak ktoś opowiada w piosence o seksie jak o czymś wzniosłym, to już przecież takie niemęskie.

Zaczynam bujać się na fotelu pasażera i głośno wykrzykiwać przez otwarte okno refren. Na sąsiednim pasie sunie mały czerwony samochodek. Siedzi w nim para, która pewnie mogłaby być dla mnie babcią i dziadkiem. Niestety kobieta zaraz przywołuje na twarz zniesmaczony grymas, a mężczyzna wygląda, jakby rozważał, czy warto narazić swoje życie i spróbować rąbnąć mnie laską na środku ulicy w rozpędzonym aucie.

Bradley zauważa to i posyła im przepraszający uśmiech. Później wciska przycisk zamykający moje okno.

– Genialna, prawda? – zagajam, wciąż się kołysząc. – Pasuje do nas, do tego czegoś, co jest między nami.

Bradley wciska kolejny guzik. Blokuję moje drzwi, zupełnie jakbym miała przez nie wypaść.

– Czyli czego? – dopytuje.

– Prymitywnej, dzikiej żądy. Zwierzęcego przyciągania – dopowiadam. – Ty też budzisz we mnie coś niebezpiecznego, jak w tej piosence.

Na ustach wykwita mu swawolny uśmiech. Unosi jedną brew.

– Naprawdę?

– Tak, i napalonego – mówię, zniżając głos do szeptu. Moja ręka znów łąduje na jego udzie. Lubię go dotykać. Jest w tym coś, co sprawia, że czuję się, jak gdybym spadała z urwiska, a jednocześnie pozostawała spokojna, mając świadomość, że Bradley rzuciłby się za mną w przepaść.

– Podobasz mi się po alkoholu. Jesteś o wiele mniej spięta i szczerza – oznajmia i ścisza muzykę.

Krzywię się i ponownie ją podgłaśniam, a następnie unoszę stopy i opieram je o kokpit. Sukienka podjeżdża wyżej i zatrzymuje się prawie na skraju mojej bielizny.

– To dlaczego jeszcze tego nie robimy? – dociekam, rzucając Bradowi spojrzenie spod rzęs.

– Czego?

– Nie uprawiamy dzikiego seksu. Wspominałeś o nim przed odwiedzinami owcy – przypominam.

Bradley potrząsa głową i skręca w kolejną uliczkę. Więcej uwagi poświęca rzędom lamp oświetlających nam drogę niż mnie, ale ja nie dam się tak łatwo spławić. A jego niedostępność pobudza moją uwagę.

I hormony.

– Powinnaś iść spać – rzuca.

On tak na serio? Wysyłam jego dłoniom zaproszenie do zniknięcia pod moimi koronkowymi majteczkami, a on gada o drzemce? Takie rzeczy

mogą zdarzyć się impotentom, a nie Bradleyowi.

– Nie chcę spać! – oburzam się.

– Poza tym jesteś cała w błocie, a ja potrzebuję dezodorantu – dodaje i pstryka mi przed nosem palcami, jakby ten gest wszystko tłumaczył.

Myślałam, że facetów kręcą laski tarzające się w błocie.

– Po co? Ładnie pachniesz – mruczę i sięgam po jego rękę. Układam ją tak, by opuszki mogły muskać skórę na moim udzie. Zabiera ją jednak prędko, jakbym go poląła wrzątkiem.

– Dla ciebie i... żeby zamaskować woń sierści w aucie.

– Wełny – poprawiam. Zbieram odrobinę błotnistej mazi na palec, a później rozsmarowuję ją wzdłuż jego policzka.

Bradley cały się nachmurza i spina.

– Co ty wyprawiasz?

– Teraz ty też jesteś odrobinę pobrudzony – mówię ze śmiechem. – Chcesz, żebym wybrudziła cię jeszcze bardziej?

Nie reaguje. Niech i tak będzie.

Sięgam do zapięcia stanika, a potem zsuwam ramiączka i leniwym, uwodzicielskim ruchem wydostaję biustonosz spod sukienki. Odrzucam go gdzieś w tył.

Bradley wciąż patrzy przed siebie, ale jego podskakująca grdyka i urywany oddech zdradzają, że wcale nie jestem mu taka obojętna.

– Igrasz z kimś, kto może poparzyć o wiele bardziej niż ogień – mówi, a jego głos niemal wypełnia niewielką przestrzeń między nami. – Bądź ostrożna.

Moje podbrzusze zaciska się w oczekiwaniu, gdy jego mały palec zatacza leniwie wzory na mojej skórze, raz po raz zawadzając o łechtaczkę.

Drażni się ze mną. Chce mnie ukarać, bo bezczelnie naruszyłam zasady w grze, w której przecież tylko jemu wolno ustalać reguły i je łamać.

Nie. Nic z tego. Nie tym razem, kotku.

– Powinnam ci się odwdzińczyć. Ty już mogłeś mnie dotykać i pieścić. – Sięgam dłonią do jego erekcji i pieszczę ją przez spodnie. – Teraz moja

kolej.

– Savannah. – Zachłystuje się powietrzem. – Kurwa.

Zszokowałam go. Punkt dla mnie.

Zauważam, jak zaciska ręce na kierownicy, po chwili zwalnia i zatrzymuje się na poboczu. Rozsądnie.

Zaczepiam paznokciami o klamerkę jego paska i posyłam Bradleyowi łakomy uśmiech. Gdy widzę, jak jego mięśnie tężeją pod koszulką, spowija mnie czysta, pierwotna namiętność. Pulsowanie między nogami staje się uporczywe, a ja robię się coraz bardziej wilgotna.

– To brzmi jak zgoda – mruczę i oblizuję wargi pod ostrzałem jego spojrzenia. – Pozwolisz mi? Chcę cię poczuć.

Czuję buchający od niego żar.

– Kurwa – powtarza i z zaskakującą czułością odgarnia mi kosmyk włosów z policzka.

W końcu zaplatam palce wokół jego członka i poruszam nimi w górę i w dół. Powoli. Sycę się tym, rozkoszując się zarówno jego twardością, jak i delikatnością.

– Jak to możliwe, że nawet kiedy klniesz, jesteś taki seksowny?

Wysuwam podbródek, oczekując pocałunku. Bradley przykrywa moje usta swoimi, wsuwa w nie język, naśladując powolny rytm mojej dłoni na jego penisie, a na końcu chwyta moją wargę między zęby i pociąga za nią.

– Masz w sobie zadatki na bardzo niegrzeczną dziewczynkę – zaczyna.

Usta pieką mnie od pocałunku, oddech mężczyzny owiewa mnie niczym tropikalne powietrze.

– Powiedz, jak tego chcesz... Co sprawia ci przyjemność?

– Rób, na co tylko masz ochotę – odpowiada. – Wszystko.

Z pozoru „wszystko” brzmi świetnie. Można ulec najdziwniejszym fantazjom, ale... Nie mam wprawy w tego rodzaju... igraszkach. A chcę zadowolić Brada.

Nie, to coś więcej, chcę go zatrzymać.

Pocieram kciukiem koronę jego męskości. Zataczam małe okręgi opuszką, a następnie znów sunę w dół i w górę.

Bradley uderza głową w oparcie fotela, wplata palce w moje włosy i wygląda, jakby chciał za nie szarpnąć. Mocno.

– Wyglądasz jak na torturach. – Nie udaje mi się ukryć rozczarowania, słyszę je we własnym głosie.

Szare tęczęwki obserwują mnie uważnie z góry, a widoczny w nich ogień nieco łagodnieje.

– Bo doprowadzasz mnie tym delikatnym dotykiem na skraj pieprzonego obłądu – wyjaśnia i się uśmiecha.

– Mocniej?

– Tak.

– Pokaż mi jak – proszę.

Podobają mu się moje słowa. Oczy Brada zaczynają błyszczeć, zapala się w nich coś na kształt przebiegłości. Sięga do mojej ręki, przykrywa ją swoją i zaciska palce wokół wzvodu. Ten widok wydaje się wręcz... fascynujący.

Zasycha mi w gardle.

– Szybciej – instruuje i narzuca mi upragniony rytm.

Nasze ruchy są niemal brutalne, a mimo to wciąż nie potrafię przestać się im przyglądać.

To takie... nieprzyzwoite. Moje podniecenie narasta tak gwałtownie, że mam ochotę jęknąć.

– Lubisz na ostro? – dyszę. – Wcale mnie nie zaskoczyłeś.

Z jego krtani wymyka się samczy warkot. Bradley unosi biodra i zacieśnia uchwyt na moim karku. Wiem, że chciałby wepchnąć penisa prosto w moje usta.

Pochyliam lekko głowę i dmucham ostrożnie na główkę, na której perli się maleńka kropla. Chcę ją zlizać. I robię to.

– Czekał – nakazuje, ale go nie słucham.

– Nie. – Muskam czubkiem języka szczyt jego członka. – Przytrzymaj mi włosy. Będą przeszkadzać.

– Ja pierdołę. – Bradley szepcze całą wiązaną przekleństw.

Wypełnia mnie satysfakcja, bo wytrąciłam go z równowagi.

Mężczyznę, który wywołuje we mnie emocje podobne tych, które można odczuwać, spacerując po kraterze wulkanu, i to takiego, który szykuje się do erupcji.

– Mmm, smaczny. I taki gorący – oznajmiam kokieteryjnym tonem.

Wytatuowane palce Bradleya prawie miażdżą mi kark, gdy wsuwam jego penis głębiej między wargi i przyspieszam.

– Sav... – Odrywa mnie od siebie, by ponownie mnie pocałować. Boleśnie. Raniąco. Ganiąco.

Wyszczierzam zęby.

– Lubię cię w moich ustach.

Popycha mnie z powrotem w dół. Zaczynam go ssać. Niespiesznie, delektuję się każdym przesunięciem języka po wypukłych żyłkach.

– Wykończysz mnie, małeńka. Zabijesz – skarży się. Ma wręcz komicznie udręczony wyraz twarzy.

– Nie musisz się kontrolować – Biorę oddech. – Chcę, żebyś zerznął moje wargi tak, by osiągnąć najlepszy orgazm z dotychczasowych.

– Cicho! – żąda.

Wybucham śmiechem, który urywa się, gdy Brad sprawnym ruchem wpycha mi penisa do ust. Jego biodra zaczynają na mnie napierać.

– Zamknij się – dodaje.

Jego mroczna strona wyłania się na powierzchnię, maska opanowania opada.

– Proszę – mruczę, bo wiem, że zabawa w bycie uległą go rozpali.

Mnie też rozpala. Lubię jego władczość, choć nigdy się nie spodziewałam, że zaufam temu mężczyźnie na tyle, by mu na nią pozwolić.

Bradley wwierca we mnie spojrzenie.

– Wiesz w ogóle, na co się porywasz, piękna? Wiesz, co to będzie dla ciebie znaczyć? – Jego kciuk wciąż gładzi mój kark i szczyt kręgosłupa, ale tym razem jest to wyraz zaborczości.

Ostrzeżenie.

– Nie przestraszysz mnie, Bradley – zapewniam i na powrót liżę członek po całej długości, ale mężczyzna już nie ma ochoty się ociągać. Owija sobie moje włosy wokół nadgarstka i unosi mi głowę, niemal ją unieruchamiając.

– Szkoda, bo zdecydowanie powinnaś... kurwa... – Wbija się we mnie ponownie. Jego męskość niemal dotyka mojego gardła. – Powinnaś się bać. – Następnie wysuwa się, abym mogła zaczerpnąć tchu. Podgryza moje ucho.

– O tak, właśnie takiego cię pragnę. – Tylko tyle daję radę powiedzieć, a potem jego penis znów uderza o ściankę mojego gardła. Porusza się w mych ustach coraz szybciej.

– Takiego?

– Tak. Błagam.

Zauważam, jak klatka piersiowa Brada unosi się, gdy bierze ciężkie oddechy, po skroni zaś spływa mu kropelka potu. Wstrząsa mną dreszcz, jestem tak podniecona, że muszę pocierać o siebie uda, by poszukać ulgi. Sutki są nabrzmiałe i stęsknione za dotykiem.

Jestem bliska wskoczenia mu na kolana, by otrzeć się cipką o jego udo.

– Uważaj, jestem bardzo zaborczym facetem. Mogę uznać, że prosisz, bym zagarnął wszelkie prawa do ciebie – mamrocze. – A to będzie dla ciebie czymś bardzo, bardzo, bardzo złym. – Każde wypowiedziane słowo kończy się ostrym pchnięciem. Wciąż pieprzy moje wargi, sprawiając, że niemal się dławię. Potem podrywa się na siedzeniu i osiąga spełnienie.

Odsuwam się po chwili, trochę się przy tym trzęsę.

– Podobało mi się, jak dochodzisz w moich ustach – odzywam się cicho. – Może jeszcze to powtórzemy.

Bradley przesuwa opuszką wskazującego palca wzdłuż mojego dekoltu i między piersiami. Brodawki natychmiast zaczynają mnie mrowić.

– Na pewno – odpowiada głosem pełnym zadowolenia. Opuszcza głowę, by zostawić pojedynczy pocałunek na moim mostku, a następnie odsuwa się, uruchamia samochód i włącza się do ruchu.

To wszystko? Nie zamierza mnie dotknąć?

Rozbawienie zmiękczające jego rysy mówi mi, że nie.

Bo chce mnie doprowadzić do utraty cholernych zmysłów z powodu niezaspokożenia.

I ponieważ miałam czelność sądzić, że uda mi się go zdominować podczas nieplanowanego numerku.

Rozdział szesnasty

Wcześniej.

Rozglądam się po zatłoczonym barze, zewsząd atakują mnie kłęby papierosowego dymu. Miejsce, mimo nowoczesnego wystroju, ma w sobie coś z klimatu lat osiemdziesiątych.

Okręcam w palcach uroczą elektryczną świecę mrugającą na naszym stoliku i staram się przekonać samą siebie, że gdzieś głęboko we mnie kryje się kobieta z talentem do uwodzenia. Przebojowa i świadoma swojej atrakcyjności.

Tylko że z jakiegoś powodu ten wieczór mnie przytłacza. Tylko tak potrafię to określić. Mam mdłości, a praktyczna strona mojej osobowości – bądź też ta, która zawsze popada w paranoję na tłumnych imprezach zakrapianych alkoholem – każe mi się wycofać i iść do domu.

– Pij – nakazuje Alma, uderzając szklanką z moim drinkiem o blat. – Do dna.

Jasne, do dna. Jak soczek żurawinowy.

Nie, dziękuję. Chcę zachować kilka trzeźwych połączeń nerwowych w mózgu.

– Nie przepadam za alkoholem. Źle się po nim czuję – odpowiadam.

Alma pociąga kilka łyków swojej różowej i bardzo procentowej mieszanki.

Po czymś takim wszystkie moje szare komórki śpiewałyby donośnie ballady o miłości.

– Ale przez chwilę poczujesz się zajebiście – mówi przyjaciółka, nucąc pod nosem rockową melodię rozbrzmiewającą wokół.

– Alma, ja naprawdę...

– Nie bądź taka sztywna. To ci pomoże puścić hamulce. Poza tym widzę, gdzie patrzysz. – Rozciąga swoje błyszczące wargi w cwaniackim uśmiešku. – Sądziś, że taki facet lubi cnotki niewydymki?

Buntownicza część mnie ma ochotę się najeżyć, gdy słyszę ten przytyk, ale w efekcie tylko wzdycham i odwracam wzrok.

– Daj spokój.

Alma znów popycha wściekle błękitnego drinka w moją stronę.

– Możesz go mieć. O ile się odważysz i zaryzykujesz, ale te maślane oczka nie podziałają – mamrocze.

– Nie rozumiem.

Dzyń, dzyń. Kłamstwo. Doskonale rozumiem.

Mężczyzna, który tak przykuwa moje spojrzenie, i nie tylko moje, to ten z rodzaju niebezpiecznych. Taki, którego tworzysz w wyobraźni na hasło „zimny drań”. Taki, który paradoksalnie rozpala cię swym chłodem i sprawia, że chcesz poczuć lód, którym jest pokryty, na swej skórze.

A ja... Cóż, ja jestem ekstremalnie grzeczną dziewczynką. Wciąż boję się ciemności i zasypiam z małymi światełkami w kształcie bombek migoczącymi nad łóżkiem.

Brzmi jak... katastrofa, prawda?

– Taki mężczyzna nie zafunduje ci pierścionka zaręczynowego i czułych słówek. Założę się, że w łóżku jest jak wypuszczony z klatki lampart.

Mrugam szybko, bo wbrew sobie mam przed oczami wizję, w której Enzo Waren zerka na mnie zza krat wielkiej srebrnej klatki.

– Co?

Alma wybucha śmiechem, jakby potrafiła czytać mi w myślach.

– No wiesz, drapie, gryzie, dyma na dziko. Sprawia, że zobaczysz gwiazdy.

Kręcę głową i skupiam się na widoku za oknem.

– Nie jestem taka. To mi nie wystarczy.

Moja przyjaciółka przewraca oczami. Włożyła dziś soczewki, które sprawiają, że wokół jej źrenic jarzy się złota obwódka. Wygląda przez to

trochę jak wiedźma podczas rzucania zaklęcia. Zwłaszcza w tej czarnej koronkowej sukience.

– Właśnie o tym mówię – rzuca karcącym tonem i tym razem unosi drinka do moich ust.

Daję za wygraną i pociągam malutki łyżek. Czuję na języku słodycz, która mi odpowiada, a także pikantną nutę wódki, sprawiającą, że chcę wypluć alkohol nawet na swoje drogie botki. Zmuszam się, by przełknąć.

– Poza tym on chyba ma dziewczynę. – Wskazuję głową piękną blondynkę, która wygląda na jeszcze bardziej niewinną niż ja. I o wiele bardziej zakochaną. Wielkie oczy dziewczyny strzelają niczym pociski, gdy Enzo wykona jakikolwiek ruch. Nieznajoma siedzi nieopodal Warena i grupki jego przyjaciół. Okupują prawie całą długość baru i są tu najgłośniejsi.

I najbardziej apetyczni, jeśli mam być szczerą. Siedmiu facetów. Każdy wysoki, wysportowany, jak gdyby wszyscy uprawiali wszelkie znane światu dyscypliny sportu. Śmieją się, piją bardzo gorzkie alkohole i...

W ogóle nie zwracają uwagi na dryfujące wokół nich kobiety.

– To nie jest jego dziewczyna, ale kocha się w nim od dawna i wychodzi z siebie, żeby na nią spojrzeć – zdradza Alma szeptem, zupełnie jak gdyby ktoś mógł nas podsłuchiwać w tym hałasie. – Kolejny błąd, bo tacy faceci lubią pościg za ofiarą.

Pościg za ofiarą.

Pościg.

Wcale mi się nie podoba, jak to brzmi. I nie jestem pewna, czy chcę zostać schwyтана.

Okej, Enzo Waren podoba mi się od jakiegoś czasu. Nie szaleję za nim, jednak czuję pociąg, a nawet mały wyrzut adrenaliny, gdy na mnie patrzy. Jednak wciąż mam wątpliwości, czy to jest właśnie to. Nie chcę pozostać nudną dziewicą do czterdziestki, a jakiemuś fragmentowi mnie brakuje szaleństw i spontaniczności, jednak...

– Słuchaj... – zaczynam i od razu milknę, gdy Alma łypie na mnie wrogo.

– To ty słuchaj. Bądź niedostępna. Zaraz tu przyjdzie – ogłasza wyniośle.

Wiercę się niespokojnie.

– Gdzie przyjdzie? Do naszego stolika? – piszczę.

Przyjaciółka poprawia szereg bransoletek zawieszonych na nadgarstku.

– No jasne. Zaprosiłam go – wyznaje rozbawiona, najpewniej moją przerażoną miną. – Idzie, wypnij cycki.

Nie mam czego wypinać.

I muszę się skupić na oddychaniu, ponieważ moje płuca nagle jakby dziwnie się ścisnęły.

– Witam, panie. – Nieopodal mojego ucha rozbrzmiewa zachrypnięty głos. – Oto drinki na mój koszt. – Enzo siada obok mnie i ustawia na stoliku dwie szklaneczki z fioletową mieszanką.

Bajecznie. Fioletowych jeszcze nie próbowałam.

– Dziękuję – mruczę, obejmując szkło dłonią.

– Jeden z mocniejszych. Uważaj – ostrzega mężczyzna i mruga psotnie.

Mam ochotę się odsunąć, żeby zwiększyć dystans między nami, bo czuję, jak jego twarde, odziane w jeans udo ociera się o moje.

Alma pewnie udusiłaby mnie we śnie, gdybym teraz stchórzyła i uciekła.

Chciałam tego. Przerwania rutyny. Zaprzestania bycia... przewidywalną. Uwolnienia się od uczucia, że czas mi umyka, a ja nie robię nic ekscytującego, w przeciwieństwie do mojego starszego brata Marcusa i starszej siostry Kiry. Oni nie obawiają się niczego.

A ja wszystkiego. Co jest żałosne.

– Może tego właśnie mi trzeba – odpowiadam i z uśmiechem obejmuję drugą słomkę ustami.

Mocny? Jezu. To zbyt łagodne słowo. Fioletowy drink za moment wypali mi dziurę w gardle. Mimo to nie daję nic po sobie poznać.

– Więc jest tu gdzieś jakiś zjeb, który zechce obić mi mordę za rozmawianie z tobą? – pyta Enzo, przekrzywiając głowę.

Mam wielką ochotę zanurzyć palce w jego ciemnych włosach.

– Nie, jest do wzięcia – odpowiada natychmiast Alma.

Prawię się dławię na tę życzliwość.

– Do wzięcia? – powtarza mężczyzna, a w jego prawie czarnych tęczęwkach pojawia się zadowolenie.

Serce zaczyna mi walić. Gwałtownie odsuwam od siebie drinka, rozlewając przy tym odrobinę alkoholu na blat. I rękę Enzo.

Super, niezdaro.

– Proszę, zignoruj ją. To jedna z tych przyjaciółek, które zawsze sprawiają, że druga jest zażenowana w ich obecności – tłumaczę przymilnie, choć mam ochotę warknąć na kobietę naprzeciwko mnie.

Miałam być niedostępna, a ona podaje mnie na tacy.

– Nie masz się czego wstydzić, Savannah – mówi cicho Enzo. Wyciera swoje długie, opalone palce i... niech mnie, nawet ta czynność wydaje się hipnotyzująca.

– Wiesz, jak mam na imię – sapię.

Jego twarz nabiera wygłodniałego wyrazu.

– Wiem o tobie wiele innych rzeczy – zdradza.

Czuję trzepotanie skrzydeł motyla w żołądku. Bezwiednie pochylam się w stronę Enzo.

– Skąd?

Jego kciuk zawadza leniwie, jak gdyby od niechcienia, o moje przedramię. Gładzi skórę szorstką opuszką.

W moim żołądku nie ma już motyla. Jest za to jeden wielki prehistoryczny pterodaktyl.

– Może obserwowałem cię już od jakiegoś czasu – informuje.

Mam ochotę wygrzebać ze swojego drinka kostki lodu i się nimi obłożyć. Muszę się ochłodzić. I moja przyjaciółka chyba też, sądząc po tym, jak w milczeniu wachluje się serwetką.

– A obserwowałeś? – dociekam i okręcam sobie pukiel włosów wokół palca. Już jawnie flirtuję z Enzo.

– Zaplanowałem sobie cały ten wieczór – przerywa, a sekundę potem jego ciepły oddech uderza w mój policzek. – I noc.

– Coś mi się zdaje, że jesteś zbyt pewny siebie.

– Nic z tych rzeczy, ślicznotko. Niedługo sama się przekonasz.

Wydaje mi się, że słyszę w jego słowach erotyczny podtekst. Propozycję, a może nawet obietnicę... Czegoś brudnego.

Przypatruję się dyskretnie umięśnionej sylwetce mężczyzny w opiętej szarej koszulce i wytartych spodniach. I ustom, które w półmroku pomieszczenia wydają się jakieś mroczne, zwłaszcza gdy ich kąciki unoszą się w uśmiechu.

Pociągam kolejny łyk alkoholu i wgapiam się w swoje czerwone paznokcie. Powinnam była uszminkować sobie wargi na ten sam kolor.

– Smaczny i rzeczywiście cholernie mocny – chrypię, bawiąc się słomką.

– To moja tajna broń. Pomaga mi zdobyć wszystko, czego chcę – wyjawia Enzo.

Prycham.

– Upijasz kobiety, żeby je zdobyć?

– Nie cofnę się przed niczym, Savannah – dodaje. – Zapamiętaj to.

„Seksowny”, przekazuje mi bezgłośnie Alma i spogląda wymownie na drzwi.

Wstyd pali mnie od środka, kiedy zauważam, że Enzo usiłuje tłumić wybuch śmiechu.

– Przestań! – syczę i rzucam w nią wiśnią z mojego talerzyka. Tylko ona pozostała po wielkim kawałku ciasta, które wchłonęłam zaraz po przyjściu tutaj.

Przyjaciółka chichocze.

Aha, wyśmieniecie. Odszukuję wzrokiem jej fioletowego drinka. Szklanka jest pusta. Narąbała się.

– Twoja koleżanka chyba nas spławia – zauważa zalotnie Enzo. – Chcesz wyjść na zewnątrz?

Na zewnątrz. Jasne. To zaproszenie na seks bez zobowiązań.

Ignoruję protest dudniący w moich skroniach.

Nie. Nie. Nie. To zły pomysł.

Wstaję i podaję mężczyźnie dłoń.

– Tak.

To bardzo zły pomysł.

Najgorszy...

Mrugnięcie oka później jestem już zupełnie gdzie indziej. Bar. Alma. Enzo. Wszystko się rozmywa i znika, a ja obracam się w kółko w jakimś ciemnym zaułku.

Złowróżbnie znajomym zaułku. A potem jakaś wielka postać rzuca mnie na ścianę i do niej przypiera, odcinając mi drogę ucieczki.

– Nie walcz ze mną, Savannah. Zmuszasz mnie, żebym robił ci krzywdę! – krzyczy Ethan.

Ethan? Nie.

Próbuję się wyrwać, ale jestem zbyt słaba. Ethan wykręca mi ręce i chwyta w garść moje włosy. Tył mojej czaszki uderza o mur jakiegoś starego budynku.

Boli.

– Puść mnie... – błagam, lekceważąc mroczki pod powiekami i tępe łomotanie gdzieś w okolicach czoła.

– Daj spokój. Wiem, że skrycie chcesz, żebym cię wypieprzył.

Szamoczę się. Muszę się wydostać. Muszę uciec.

Lęk owija się wokół mnie, dusi dokładnie tak jak palce prawej dłoni Ethana miażdżące mi szyję.

– Ethan, przestań...

Jego pięść trafia w moją szczękę, uciszając mnie. Prawie mnie powala, ale adrenalina i strach krążące w moim krwiobiegu pomagają mi utrzymać się w pionie.

Spoglądam w niebo. Jest ciemne, bez gwiazd. Wokół jest tak cicho i spokojnie, panuje niczym niezmacona cisza.

Ethan rozdziera moją sukienkę, a jego mokre wargi naciskają na skórę dekoltu i osuwają się coraz niżej.

Mam mdłości.

Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. Że mężczyzna, którego znam od lat, który przyjaźni się z moją rodziną, zamierza mnie zgwałcić

Chce mi się rzygać z bezradności.

– Przestań wrzeszczeć, mała suko – mówi, a jego palce wciąż łapczywie wędrują po moim ciele. W końcu opadają na uda i rozsuwają je wbrew mojej woli.

Nie, proszę...

– Nie chcę. To boli... – łkam. Szamoczę się w jego uścisku. Próbuję go kopnąć, wyswobodzić nadgarstki, ale nic z tego.

Nie dam rady.

– Nie musi boleć. Przestań się opierać, a będzie ci dobrze. – Jego usta opadają na moją pierś i całują ją przez materiał podartej sukienki.

Wzdrygam się.

Boże, dlaczego?

– Nie rób tego.

– Zdradzić ci sekret? Twój opór jeszcze bardziej mnie podnieca.

Dźwięk darcia koronki sprawia, że żółć podchodzi mi do gardła. Nie mogę oddychać. Moją tchawicę skuwa żelazna obręcz.

– Nie. Nie, nie – powtarzam raz za razem. Łzy rozmazują mi obraz przed oczami.

Ethan unosi moje porwane majtki na znak triumfu i się uśmiecha, a następnie jego dłoń znów wraca między moje nogi.

– Podnieca mnie też świadomość, że się nie wymkniesz. – Usiłuje rozpiąć swój pasek jedną ręką, ale nie jest w stanie, więc napiera na mnie mocniej i uwalnia na chwilę moje przedramiona, by zająć się spodniami.

Nie myślę. To jest jak instynkt, coś na granicy świadomości. Chwytam niewielką metalową rurę wystającą ze śmietnika obok i uderzam nią Ethana w głowę.

Oszołomiony cofa się o kilka kroków i opada na kolana, łapiąc się za krwawiące miejsce.

Rura drży w mojej dłoni, a coś każe mi walić w skurwiela przede mną, aż ten nie będzie w stanie się ruszać. Okładam go jeszcze raz. Na oślep.

Jest mi wszystko jedno. Mogłabym go zabić.

Powinnam.

Nie. Nie mogę.

Puszczam metal, odbija się z brzdękiem od podłoża. Uciekam.

– Ty dziwko, lepiej uważaj, co teraz zrobisz! – Dobiega mnie zniekształcone charczenie. Przyspieszam.

Czuję się brudna, splamiona i poniżona. Mimo że udało mi się uciec, nie mogę pozbyć się wrażenia, że poległam.

Poległam.

Już kiedyś poległam.

Rozdział siedemnasty

Teraz.

Zwariował albo jest tego bliski. Tylko tak mogę wyjaśnić jego aktualne zachowanie. Nikt nie wrzuca swojej dziewczyny do auta jak worek kartofli i nie wywozi na pustkowie. To scena rodem z gangsterskiego filmu albo z thrillera. Nie wiem, co gorsze.

Czasami Bradley jest taki nieprzewidywalny i tajemniczy, że nie mam pojęcia, czego można się po nim spodziewać.

Niekiedy, ale tylko przez ułamki sekund, myślę, że może powinnam oczekiwać najgorszego.

Mijam wielkie nadłamane, wyschnięte drzewo, którego pień przypomina ostro zakończoną koronę. Obumarłe. Prawdopodobnie kiedyś trafił w nie piorun. Wizja płonącej korony, której liście jeden po drugim zmieniają się w popiół, przemawia do mojej wyobraźni. Groźna i piękna.

Jak pewien facet stapiający się z nocą.

– Bradley, co z tobą? – pytam już chyba po raz setny.

Mężczyzna obok mnie przemierza zarośla niczym maszyna, robot zaprogramowany na konkretny cel, którego nie powstrzyma żadna przeszkoda. Patrzy wyłącznie przed siebie i porusza się niemal bezszelestnie. Jego ruchy pełne są gracji krwiożerczego lwa udającego się na łowy.

– Chodź – mówi tylko i brnie dalej.

Otoczająca nas cisza, niezakłócona przez jakikolwiek szmer, napawa mnie trwogą.

– Możesz powiedzieć, gdzie idziemy?

Bradley oplata palcami mój nadgarstek i pociąga, bym przyspieszyła.

Mam złe przeczucia. A Brad od rana, od momentu, gdy obudziliśmy się razem w łóżku, ledwie na mnie patrzy i tylko rzuca półsłówkami.

– Niedługo się dowiesz.

– Dziwnie się zachowujesz. Niepokoisz mnie – wypowiadam swoje myśli.

Bradley w końcu wbija we mnie wzrok. Jego oblicze ma nieodgadniony wyraz.

– Podobno się mnie nie boisz – przypomina z irytacją.

Przechodzę nad wielkim kamieniem, który ledwo dostrzegam w tej ciemności. Gdyby nie poświata księżycy już dawno zaliczyłabym wywrotkę.

– To nie tak.

Bradley odwraca się błyskawicznie i obejmuje mnie w talii. Przechodzi mnie dreszcz i instynktownie próbuję się cofnąć, zanim dociera do mnie, co robię. Mężczyzna śmieje się, ale bez humoru, a ja przełykam ciężko ślinę.

– Wczoraj wieczorem chciałaś uprawiać ze mną seks w aucie, a teraz wzdrygasz się, gdy próbuję cię dotknąć – syczy. Gniew syczy się z jego głosu, ale w oczach dostrzegam...

Zraniłam go.

Niech to szlag. Mam ochotę krzyczeć tak długo, aż ochrypnę.

– To nie twoja wina, ja... – Milknę i rozglądam się po polanie otoczonej przez las.

Mój umysł znów pragnie płatać mi figle. Czuję się osaczona, a ten mrok i szelest liści potęgujący wrażenie, że w tym lesie życie wymarło, sprawia, że kielkuje we mnie lęk.

Dlaczego muszę być taka porąbana? I jak mam to wyjaśnić Bradleyowi?

Nie chcę opowiadać o Ethanie. O snach. I mojej paranoi.

Wtedy w samochodzie naprawdę mi się podobało i nie myślałam o niczym innym, tylko przeżywałam chwile uniesienia, jednak potem, kiedy tylko ułożyłam głowę na poduszce, mój umysł jak zwykle stał się polem bitwy tysięcy poplątanych myśli i obrazów, których nie umiem

poskładać. To jakby dostać po jednym puzzlu z kilku różnych układanek i zgadywać, co pokazuje całość.

– Co ty? No co? Powiedz, co to wywołuje? – Niecierpliwe pytanie Bradleya wyrywa mnie z zadumy.

Gapię się na księżyc, którego poświata oświetla jego sylwetkę, i próbuję zapanować nad głupim zdenerwowaniem.

Dość tego. Muszę wziąć się w garść. Nie mogę wciąż zachowywać się jak tchórz tylko dlatego, że kiedyś ktoś próbował mnie... zgwałcić. Ethan jest w areszcie i szybko z niego nie wyjdzie.

Tylko że... nie rozumiem, dlaczego moja podświadomość połączyła tamto wydarzenie ze spotkaniem sprzed lat. Enzo Waren był... facetem, z którym chciałam przeżyć swój pierwszy raz. Pamiętam go jak przez mgłę, ale doskonale wiem, że po tym, jak wyszłam z nim z tamtego baru, wykręciłam się od wspólnej nocy i wróciłam do domu.

Co mi umyka?

– Nie podoba mi się to. Znowu cię nosi, powinieneś się uspokoić – odzywam się, śledząc wzrokiem Bradleya.

Zaciska szczękę i ciągnie mnie dalej przez polanę porośniętą zbyt wysoką trawą.

– Prosiłem, żebyś się zamknęła. Próbuję ci pomóc.

Pomóc w czym?

– Co to za budynek? Wygląda na to, że chyba nikt tu nie mieszka od jakiegoś czasu – mamrocze, obserwując ewidentnie opuszczoną niewielką budowlę, do której najwyraźniej zmierzamy.

Wygląda jak te nawiedzone domy z horroru. Ściany są obdrapane, z niektórych sypie się tynk, szyby zaś są rozbite.

– A wydaje ci się znajomy? – docieka Bradley.

Zapieram się mimowolnie, gdy próbuje mnie wciągnąć do środka.

Nie chcę tam wchodzić. Ten dom... roztacza w powietrzu coś... złego.

– Nie. Nigdy wcześniej tu nie byłam – odrzekam. – Dlaczego pytasz?

Brad przyciąga mnie tak blisko, że aż zderzam się z jego torsem.

– A ty dlaczego kłamiesz?

Zaciskam palce na jego motocyklowej kurtce i się rozglądam. Spodziewam się, że za moment zaatakuje nas jakiś upiór.

– C-co? – jąkam się.

– Wchodź. – Popycha mnie w stronę drzwi. – Byłaś tu już wcześniej i dobrze o tym wiesz – dodaje.

– Nie, zapamiętałabym.

– Gówno prawda.

Od jego lodowatego głosu przechodzi mnie dreszcz.

– Bradley, przestań. Nie lubię, kiedy jesteś taki – mówię ledwie słyszalnie. – I nie podoba mi się tu, poza tym jest już późno i ciemno. Chcę wracać. – Gdy próbuję się wycofać, zderzam się z jego mięśniami. Zagradza mi wyjście z budynku i zmusza do kroczenia naprzód długim korytarzem. Potem włącza latarkę w swojej komórce.

– Wejź do tego pokoju. – Oświetla drzwi po lewej stronie.

Potrząsam głową. Serce galopuje mi pod żebrami.

Nagle znikąd pojawia się przerażenie i przewierca mnie niemal na wskroś.

– Nie.

– Dlaczego? – nalega Bradley i naciska klamkę.

– Chcę wracać.

– Dlaczego nie chcesz tam wejść, Savannah?

Milczę. Oddech więźnie w moich płucach. Zaczyna huczeć mi w uszach.

Bradley wkracza do pomieszczenia jako pierwszy, a potem znenacka chwyta mnie za dłoń i wciąga za sobą. Zatrząskuje drzwi.

– Nie powinniśmy tu być! – krzyczę. – Wypuść mnie.

– Nie – odmawia, krzyżując ramiona na torsie.

To się nie dzieje.

Zamieram i przyciskam dłoń do ust, by zdusić szloch rodzący się w moim gardle.

– Odsuń się od drzwi. Chcę stąd wyjść.

– Rozejrzyj się. Znasz ten pokój?

Mój wzrok skupiony jest na czubkach butów. Z każdym kolejnym oddechem, który udaje mi się zaczerpnąć, moja panika narasta.

Nie wiem, skąd się wzięła ani dlaczego tak bardzo mnie przytłacza, ale nie mogę jej znieść. Prawie uginają się podę mną kolana.

A najgorsze jest to, że nie muszę się rozglądać, bo choć nigdy tu nie byłam, wiem, jak kiedyś wyglądał cały ten pokój. Gdzie leżał każdy najdrobniejszy przedmiot.

– Dlaczego znowu mi to robisz?! – wrzeszczę i okładam Bradleya pięściami. – Dlaczego?

– Znasz pojęcie amnezja dysocjacyjna? – docieka, unosząc mój podbródek.

Odpycham mężczyznę rozdygotanymi rękami.

– Nie mam żadnej amnezji.

A mimo to coś drapie mnie wewnątrz umysłu. Jak gdyby na siłę chciało przedrzeć się do mojej świadomości.

Ciągnę coraz mocniej za swoje włosy, nie bacząc na ból, i obracam się wokół własnej osi.

– Pojawia się na skutek zbyt traumatycznych i drastycznych doświadczeń. Mózg wymazuje je z pamięci, wypiera, jeśli dana osoba nie jest w stanie ich znieść. To pozwala jej funkcjonować, jak gdyby nic się nie stało – wyjaśnia Bradley i próbuje się do mnie zbliżyć, jednak od razu odskakuję.

– Oszalałeś. Jesteś szalony. – Tylko że już sekundę później to ja zanoszę się obłąkańczym śmiechem.

Ten pokój... Nie mogę pozbyć się wrażenia, że coś na mnie czyha gdzieś w mroku tego pomieszczenia. Niewidzialne, ukryte.

Zło. Coś złego emanuje z tych ścian.

Czuję jego trującą obecność.

– Prosiłaś mnie, żebym pomógł ci to naprawić – szepcze Bradley. – Byłaś tu już wcześniej. Wiesz, że tak.

Moje spojrzenie ląduje na drzwiach, od których się odsunął i... zauważam ślady. Upiorne ślady. Zupełnie jakby ktoś drapał te drzwi, zdrapywał powierzchnię drewna... aż do krwi.

Bo nie mógł się stąd wydostać.

O Jezu.

– Niedobrze mi, muszę wyjść na powietrze – mówię.

W srebrnych tęczęwkach dostrzegam opanowanie. Są beznamiętne.

– Nie. Uspokój się i rozejrzyj – powtarza.

– Przestań.

Muszę stąd wyjść. Muszę wyjść.

Gdy zerkam na swoje dłonie, moje... Moje paznokcie... one... przez krótki moment są zdarte, opuszki poranione, a po palcach ciekną szkarłatne krople.

To obłąd. Nie.

– Patrz, Savannah. Patrz uważnie.

– Proszę... dość.

Na przeciwległej ścianie wisi okropny obraz wywołujący grozę. Przedstawia ducha z potworną twarzą.

Natychmiast opuszczam powieki i zakrywam je dłońmi.

– W nocy, kiedy z tobą spałem, miałaś koszmary. Znowu. Płakałaś i krzyczałaś. Co ci się śniło? – dopytuje Bradley podniesionym głosem.

– Nie wiem. Nie pamiętam.

– Bo nie chcesz – stwierdza. – Przez to nie pozwalasz mi się nawet dotknąć. Wzdrygasz się i patrzysz na mnie przerażonym wzrokiem, jakbym robił ci krzywdę samą swoją bliskością.

– Teraz robisz mi krzywdę. – Moje słowa zostają zdławione, brzmią, jakby strumień wody zalewał mi gardło.

Co jest nie tak z tym miejscem?

Co jest nie tak ze mną?

Bradley ujmuje moje policzki i nie pozwala mi dalej krążyć po pomieszczeniu.

– Skonfrontuj się z demonami. Nie przestaniesz się bać, jeśli nie spojrzysz na to, czego się boisz. Przypomnij sobie. Dlaczego boisz się dotyku? Dlaczego tak reagujesz? Jesteś zastraszona – stwierdza.

Nie mogę zaczerpnąć tchu.

– Nie. Nie.

Zaczynam się histerycznie drapać, bo coś swędzi mnie pod skórą, coś obrzydliwego... Strzelam głową na boki.

– Sprawię, że to minie. Pozwól mi – zaczyna łagodnie. – Pozwól mi się dotykać, całować. Wymazać to z ciebie. – Dystans między naszymi wargami zmniejsza się, teraz dzielą nas już tylko milimetry. Brad zamierza mnie pocałować.

– Nie dotykaj mnie. Nie tutaj.

– Dlaczego nie tutaj?

Nie wiem. Nie wiem.

Mój mózg się wyłącza, robię się odrętwiała. Bezaradność sprawia, że chcę zwinąć się w kłębek na podłodze i krzyczeć.

– Wypuść mnie, co ty robisz? – chrypię przez łyżę. – Boję się.

– Znasz mnie, musisz sobie to przypomnieć – nie odpuszcza. – On nadal trzyma cię w potrzasku.

On.

Oczy o najczarniejszej barwie.

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

Zło.

– Chcę stąd wyjść – szepczę. – To mnie boli.

Coraz częściej wstrząsają mną spazmy. Za moment dostanę konwulsji.

– Co cię boli? – pyta Bradley gdzieś za moimi plecami.

Przyciskam czoło do chropowatej, zimnej powierzchni drzwi. Układam dłoń na śladach po paznokciach.

– Wszystko. Wszystko mnie boli – odpowiadam, szarpiąc za klamkę, jednak nie potrafię sprawić, by drzwi się otworzyły. – Proszę. Nie chcę tu być.

Nie mogę stąd wyjść. Nie mogę się wydostać.

W krtani wzbiera mi długi, płochliwy wrzask.

Wytatuowane palce sięgają do klamki, przekręcają ją, a drzwi ustępują ze skrzypnięciem, które rani moje uszy.

Wybiegam na zewnątrz i uderzam kolanami o mokrą trawę.

Jakaś istota w głębi mnie, przebywająca ciągle na skraju szaleństwa, wypowiada jedno słowo.

Uciekaj.

Rozdział osiemnasty

Nadmiar odczuć dławi mnie od środka. Nagle staję się nadwrażliwa na każdy dźwięk i ruch, mam wrażenie, że mnie atakują.

Co mi się stało?

Co tam się stało?

Nie mogę tego udźwignąć. Wiem, że on tam był. Był tam, a ja...

O Boże, dlaczego?

Nie pomaga krzyk i płacz. Nic. Nie potrafię tego z siebie wydobyć.

– Savannah, zatrzymaj się. Już dobrze – woła za mną Bradley.

Ignoruję go i idę, a raczej brnę naprzód, co chwilę potykając się i opadając na kolana.

Muszę iść. Jak najdalej stąd.

– Nie jest dobrze. Przez ciebie. To wszystko twoja wina – oskarżam Brada między następnymi napadami płaczu i czkawki.

Dopada do mnie i przyciąga mnie do siebie. Jego serce bije przy moim uchu.

– Oddychaj spokojnie – poleca, głaszcząc mnie po włosach. – Wdech, wydech.

Żołądek wciąż mam zawiązany w węzeł, ale gdy strach mija, zalewa mnie fala złości. Wpatruję się nieobecny wzrokiem w twarz mężczyzny, który próbował wtrącić mnie do piekła, a potem zaczynam się szamotać niczym ryba wyrzucona na brzeg.

– Nie dotykaj mnie. – Grad ciosów spada na jego ciało. – Nie waż się mnie dotykać, ty sukinsynu! – Uderzam wszędzie, gdzie zdołam trafić.

Bradley nie reaguje, pozwala mi się wyładować i dalej mnie przytula. Ale jego opanowanie tylko podsycą mój gniew.

Nienawidzę go. Nienawidzę.

– Możesz się na mnie wściekać, jeśli to ci pomoże – mówi takim tonem, jakby śpiewał kołysankę roztrzęsionemu dziecku.

– Po co to robisz?

– Wiesz po co. Przypomniałaś sobie coś. – Spogląda mi w oczy. – Widziałem to.

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

Przestań.

– Nie.

Mężczyzna przede mną się krzywi. Na jego twarzy dostrzegam złość i jednocześnie rozczarowanie.

– Jak długo jeszcze zamierzasz przed tym uciekać, co? – pyta.

Odsuwam się od niego na czworakach. Jest ciemno, więc z trudem dostrzegam choćby zarysy rzeczy wokół. Syczę, gdy orientuję się, że podczas pobytu w tamtym pokoju rozciąłam sobie grzbiet dłoni.

– Nienawidzę cię, ty toksyczny dupku – wołam, szarpiąc za sukienkę, w którą się chwilowo zaplątałam. Dobrze, że nie widzę, w jakim stanie jest kwiecisty materiał. Musi być cały w zielonych plamach.

Podobnie zresztą jest z myślami w mojej głowie. Też wydają się masą plam. Też są pogniecione i w strzępach.

– Twój największy problem to nienawiść do samej siebie – zaczyna Bradley. – Dokładnie tej, która stąd wyszła.

Tej, która stąd wyszła.

Zakorzeniony we mnie instynkt zabrania mi choćby zerknąć na dom za mną. Tam coś było.

Ktoś.

– Nigdy tu nie byłam. Mylisz się.

Te słowa przenikają przeze mnie, jakby stanowiły zbroję. Tarczę.

Naprawdę nie pamiętam tego domu. Grzebiąc w pamięci, nie znajduję żadnego skrawka wspomnień, ale... czuję go... w sobie. Nie potrafię tego wyjaśnić, jednak wiem, że znam ten budynek.

– Gardzisz nią tak bardzo, że wolisz udawać, że nigdy jej nie było. Bo tamtą dziewczynę uważasz za słabą. Żalostną i splugawioną – ciągnie Brad bez litości. – Ale prawda jest taka, że to kobieta, która stoi teraz przede mną, jest słaba i żalostna. Tamta była silna. Przetrwała. – Słowa smagają mnie niczym pejcz.

Robi mi się zimno.

– Po prostu mnie zostaw – szepczę. Zaciskam palce na wilgotnych źdźbłach.

– Co tam czułaś? Nie stać cię na odrobinę szczerości?

Odwracam się i popycham Bradleya z całych sił.

– Odpierdol się, Bradley. Mówię poważnie.

– Wspominałaś, że cię boli. Co cię bolało?

Mam ochotę zawyć do księżycy z czystej niemocy.

Ból wciąż pulsuje w moim wnętrzu, ale jest odległy. Przypomina echo. Mimo to przez ułamki sekund był tak potężny, że czułam niemal fizycznie ostrze rozcinające moją skórę.

– Wszystko. Każdy kawałek mojego ciała. Od wewnątrz i na zewnątrz. Wszystko. Wszędzie. – Pocieram ścierpnięte barki. – Już? Zadowolony jesteś?

– Spójrz na mnie, Savannah.

– Nie chcę. Czuję się brudna. Mam to na skórze.

Odrącam jego rękę, gdy próbuje chwycić moją brodę. Potem orientuję się, że znów zaczęłam się gorączkowo drapać. Czuję pieczenie i wiem, że rano znajdę ślady zdartego naskórka.

Już kiedyś robiłam coś takiego, ale to było lata temu, potem przeszło. Nawet nie kojarzę, skąd wziął się wtedy ten dziwaczny nawyk.

– Wszystko w porządku – zapewnia, unieruchamiając moje nadgarstki.

– Nie jest w porządku. Wcale. – Zażenowana swoim zachowaniem spuszcza wzrok. – Przestań na mnie patrzeć. Nie chcę, żebyś mnie teraz

widział.

Jestem emocjonalnym wrakiem, a od momentu przekroczenia progu tego budynku czuję do siebie odrazę.

– Chodź, zabiorę cię do domu.

Prędko wstaję i cofam się chwiejnym krokiem.

– Nie, nie zbliżaj się do mnie. – Odwracam się i zaczynam maszerować przed siebie. Nie trwa to długo, bo zaraz ponownie się potykam.

Bradley owija ramię wokół mojego pasa, chroniąc mnie przed kolejnym upadkiem.

– Savannah... – Brzmi, jak gdyby mnie karcił, a ja mam tego dość.

Proszę bardzo. Ja też mogę być brutalnie szczerą. To nie ze mną jest coś nie tak, a z nim. Nie ma prawa traktować mnie w taki sposób.

– Torturujesz mnie. Do czego jeszcze się posuniesz?

– Pomagam ci, zbytnio się boisz, by dostrzec prawdę.

Śmieję się szyderczo.

– Prawdę o czym? Że jesteś pojebem? Masz problemy z agresją, całujesz kobiety na moich oczach, zamykasz mnie w pomieszczeniach i nie pozwalasz wyjść, napadasz, podduszasz, wszczynasz bójki. Co jeszcze zrobisz?

– Już wystarczy. Znowu masz atak paniki.

Nie, mam atak furii.

– A ty cierpisz na urojenia. Ze mną wszystko w porządku, a przynajmniej było tak, dopóki nie przyjechałeś do miasta – syczę. – Po co się tu zjawiałeś? Wyjedź stąd. Zniknij.

– Nawet jeśli zniknę, nic to nie zmieni. Oszukujesz samą siebie.

– Sprawiasz, że cierpię.

– Zmuszam cię do...

– Do rzeczy, których nie chcę robić – wtrącam głośniej, niż zamierałam. Powiew wiatru unosi moją sukienkę i targa włosy, sprawiając, że kręcone czerwone pukle chwilowo przysłaniają mi widok. Kiedy wreszcie schodzimy z tej przeklętej polany, zaczyna docierać do

mnie cykanie świerszczy i pohukiwanie sowy. Gdzieś w oddali niesie się skowyt wilka.

Dopada mnie mieszanka ulgi i zmęczenia. Jestem wyczerpana psychicznie i obawiam się, że moja psychika zaraz się złamie, a ja w wyniku tego zrobię coś głupiego.

– Zostałaś skrzywdzona, twój oprawca...

– To ty nim jesteś, nie widzisz tego? Dręczysz mnie. – Zatrzymuję się i zaglądam Bradowi w oczy. – Jesteś najgorszym, co mnie spotkało.

Tego nie należało mówić. Żałuję tych słów, jeszcze zanim skończę zdanie, a mężczyzna obok mnie zmienia się diametralnie, chowa się za maską. Odgradza murem, za który może nigdy więcej mnie nie wpuści. Mógłby nagle, w tym jednym momencie, uchodzić za najbardziej bezwzględного człowieka na tej planecie. Niewiedzącego, co to współczucie. Takiego, który z krzywdzenia innych uczynił swój codzienny rytuał.

Niech to szlag.

Poprawiam sweter, szarpiąc za rękawy.

Nie jest mi przykro. Wcale.

– Nie jestem. Choć nie wątpię, że chciałabyś, żeby tak było – mówi z drwiną. – I ja właściwie też.

To klęska. Właśnie nadszedł kataklizm i zmienił łączącą nas więź w nic niewarte zgliszczą.

Znowu zbiera mi się na płacz. Łzy zawisają na koniuszkach rzęs.

– Pojedziemy już? – pytam pojednawczo.

Bradley mruczy coś pod nosem, ale nie potrafię zgadnąć co. A potem eksploduje.

– Ja pierdołę! Jakie to wszystko porąbane! – klnie i wali pięściami w dach samochodu. Kopie opony.

Nie ingeruję. Po raz pierwszy, kiedy widzę, że jest na krawędzi utraty kontroli, nie mam na to ochoty. Co gorsza, teraz nic mnie to nie obchodzi. Nie wiem, czy zmusiłabym się do reakcji, nawet gdybym usłyszała chrzęst łamanych kości.

– Nigdy więcej mnie tam nie zabieraj – nakazuję.

Bradley otrząsa się w mig. Otwiera drzwi auta.

– Jak sobie chcesz – odpowiada, wsiadając.

Mrugam oszołomiona i wsuwam się na siedzenie pasażera.

– Jesteś na mnie zły? Znowu ci odpierdoliło. Przelałeś to na mnie i to ty jesteś na mnie wściekły? – nie dowierzam.

Bębni kciukami o kierownicę. Jego sygnet mieni się w mroku.

– Możemy nie rozmawiać?

Nim mam szansę choćby otworzyć usta, włącza radio.

Dźwięki skrzypiec i pianina wydobywające się z głośników powinny działać kojąco, ale jest zupełnie odwrotnie.

– Przed chwilą chciałeś rozmawiać. – Nie szczędzę sarkazmu.

– Jak zwykle przekręcasz fakty, malutka – zaczyna. – To tobie odpierdoliło w tym domu. Dlaczego akurat tam? Co wywołało taki wielki lęk?

– Zamknąłeś mnie tam wbrew mojej woli. – Nie wytrzymuję.

Kącik jego ust podnosi się, ale nie da się nazwać tego uśmiechem, kiedy za tym minimalnym gestem kryją się pokłady gniewu. Bradley dociska pedał gazu, a autem aż szarpie.

Wyśmienicie.

Ostentacyjnie odwracam głowę i od mężczyzny, i od licznika, który teraz prawdopodobnie wskazuje śmiertelnie niebezpieczną prędkość. Obserwuję drzewa za oknem.

Jest...

– I to nie był pierwszy raz, co? – odzywa się Brad zniecierpliwiona.

Cała sztywnieję. Spoglądam na jego profil, ale przez jakiś czas nie mogę się zmusić do mówienia. Jestem zbyt zamroczone. Wypowiedziane przez niego zdanie dźwięczy w mojej głowie – wciąż i wciąż od nowa. Mam wrażenie, że ktoś obłożył moje serce rozżarzonymi kamieniami.

I to nie był pierwszy raz, co?

Założę się, że zderzenie z pieprzonym meteorytem mniej by mnie poharatało.

– Był – mówię tylko, podciągając nogi do piersi.

Jakaś część mnie upiera się, że to kłamstwo. Pragnę przyznać się Bradleyowi do tego, jak bardzo czuję się w tym wszystko zagubiona, ale nie mam odwagi.

Nie mogę. Jeśli powiem to na głos, wszystko stanie się jeszcze bardziej realne, a ja tego nie chcę. Bo pragnę to wymazać. Zagłuszyć. Choć rozsądna część mnie wie, że to niemożliwe. Czy mi się to podoba, czy nie, jakaś część mnie została w tym domu.

I coś z jego wnętrza wyszło wtedy ze mną. Przyłgnęło do mnie i żadne oszustwa tego nie zmieniają. Jest już za późno.

Przypadkowo dotykam rozcięcia na dłoni i się krzywię.

Mężczyzna, zwany też dupkiem, reaguje natychmiast. Łapie mnie za przegub.

– Co ci jest? – W tonie jego głosu przebija nuta troski.

Oczywiście, że tak. Minutę temu potraktował mnie okrutnie, a teraz się o mnie martwi.

– Rozcięłam rękę. Zahaczyłam o gwóźdź przy tym okropnym obrazie – wyjaśniam.

Bradley unosi brew.

– Jakim obrazie?

– Na ścianie. Gigantyczna fotografia z duchem, przerażająca, niepokojąca – mamroczę. – Trzeba być popieprzonym, żeby wieszać sobie takie upiory.

Bradley się nie odzywa. Długo. Kątem oka zauważam tylko, że ciężko przęłyka ślinę, a jego cera robi się bledsza.

– Tam nic nie wisiało – oznajmia w końcu.

Prycham.

– Co?

– Nie było żadnego obrazu na tym gwoździu. Puste ściany.

Patrzę na niego i czekam, aż zawoła, że mnie nabiera, ale tym razem wygląda niezwykle poważnie. Wiercę się niespokojnie na siedzeniu.

– Oczywiście, że był. Widziałam.

Nie pojmuję, jak mógł go przegapić. Wspomnienie tego dzieła wciąż miga mi pod powiekami, a zaraz za nim przychodzą wizje porysowanych paznokciami drzwi.

– Może rzeczywiście go widziałaś – odzywa się Bradley, a jego szare oczy skupiają się na mojej twarzy. – Kiedyś. Zanim go zdjęto.

Wiem, co próbuje mi wmówić. I co próbował mi wmówić tam, w środku.

Przesuwam szereg bransoletek na nadgarstku i odszukuję uwypukloną, małą bliznę w kształcie szóstki. Gdyby na moim ciele znajdowała się tylko jedna o tak dziwnym kształcie, można by to uznać za przypadek.

Jednak jest nie tylko jedna. I chociaż próbuję sobie przypomnieć, jak powstała, nie jestem w stanie.

Bradley wyciąga rękę i splata swoje palce z moimi, muskając przy tym szramę.

Chociaż nie chcę tego zaakceptować, myślę tylko o tym, że on może wiedzieć, gdzie ją zrobiłam. I pozostałe też.

Rozdział dziewiętnasty

Nie jestem dobrą kucharką, a cukiernikiem to już fatalnym.

Widelki od miksera prawie zaatakowały mnie kilka minut temu niczym dwa nieco stępione miecze, ale ciasto wyszło.

Raczej.

Nabieram odrobinę na palec i próbuję.

Eee, będzie inaczej smakować po upieczeniu, prawda? Na pewno.

Stukam o coś łokciem, unosząc miskę. Lukrowe kwiatki spadają i zmieniają się w niekształtne okruszki.

Dobra, ozdoby też sobie darujemy.

– Wiem, że tam jesteś. Potrafię wyczuć, kiedy mnie obserwujesz – odzywam się, jednocześnie nie zaprzestaję nalewania kolejnej porcji ciasta do foremek.

Te muszą się udać.

Zerkam na kosz ze śmieciami, w którym zalega poprzednia tura nieco... zakalcowatych wypieków.

Tak, te będą fenomenalne. Na sto procent. No może ciut mniej niż sto.

– To instynkt ofiary ostrzegający przed tropiącym ją potworem – mruczy Bradley, wysuwając się z cienia.

Mam déjà vu. Już kiedyś odbywaliśmy taką rozmowę.

Rozciągam usta w uśmiechu.

– Pan dramatyczny... – wzdycham.

Mężczyzna zbliża się do mnie z niezrozumiałą ostrożnością. Początkowo winię za to okoliczności, w jakich rozstaliśmy się poprzedniego dnia, jednak gdy uświadamiam sobie, że jego wzrok błądzi

po blacie zastawionym mniej więcej setką małych wielokształtnych foremek i innych przedmiotów, dociera do mnie, że wygląda to trochę, jakbym próbowała rozpętać tu ciasteczkowe tornado.

– Co ty robisz? – pyta wreszcie.

Poklepuję dłonią książkę kucharką z deserami.

– Uczę się piec babeczki.

– Trochę... – przerywa. – Nabałaganiałś. – Macha dłonią w stronę małego armagedonu.

Jeżę się.

– Przyszedłeś, żeby mnie wkurzać?

– Przyszedłem przeprosić za bycie dupkiem.

Przystaję i układam ręce na biodrach w wyzywającej pozie.

– No to raczej będą długie przeprosiny – żartuję. – A co masz w ręce? – Mrużę oczy.

Bradley spogląda na kilka kartek, które trzyma w dłoni.

– To... nic. Zapomnij o tym... – Odchrząkuje.

Mogłabym założyć się o tysiąc dolców, że jest zakłopotany.

On zakłopotany. To prawie tak, jakby wprawić w zakłopotanie samego diabła.

– Najgorszy tekst, jakim mogłeś rzucić, jeśli nie chciałeś tego pokazywać. Obudziłeś tylko moją ciekawość – tłumaczę, tłumiac śmiech wzbierający w gardle.

Bradley przeciąga dłonią po twarzy. Jego wolna ręka opada na kant blatu, zawadza o czekoladowe groszki.

– Listy. Liściki właściwie – poprawia, krzywiąc się. – Zwykle gównno.

Aha.

– Tragicznie idą ci te przeprosiny – mówię z naganą w głosie.

Bradley dalej gapi się na groszki, jak gdyby były najbardziej fascynującym odkryciem w dziejach.

Korzystam z okazji, by lepiej się mu przyjrzeć. Jak to zwykle bywa, jest seksowną perfekcją. Przywodzi na myśl niedźwiedzia, który planuje

przegryźć ci tętnicę za wtargnięcie na jego teren. Jednak to nie psuje wrażeń. Wręcz przeciwnie. Sprawia, że chcesz podjąć ryzyko i poznać wszelkie sztuczki, jakimi można by go poskromić.

Oswoić.

I rozebrać ze zbyt dużej ilości ubrań.

Zamknij się. Nie fantazuj o rozbieraniu go. Ten facet ma radar wykrywający takie myśli.

– Napisałem je dla ciebie – przemawia niemal bezgłośnie. – Chyba robienie sobie kolejnych zdjęć i kupowanie bielizny tym razem by nie przeszło, więc... Kiedyś mój dziadek tak robił, gdy coś przeszkrobał.

Łał, to... urocze. I totalnie nie w jego stylu.

– Napisałeś dla mnie listy? – piszczę ze zbyt wielkim entuzjazmem. – A narysowałeś też jakieś serduszka?

Brad, zbity z tropu, rozdziawia usta.

– Oczywiście, że nie.

– Ozdobiłeś brokatem?

Znów zerka na czekoladowe groszki, jego wybawienie z opresji.

– Co?

Nie wytrzymuję i zaczynam chichotać.

– Drocę się z tobą – uspokajam go. – Daj mi je przeczytać. – Sięgam po lekko pomięte kartki, ale Bradley odskakuje i chowa je za plecami.

– Nie! – warczy.

Eee...

– Przecież są dla mnie.

– Jesteś zajęta. Pieczesz... coś, co miało być babeczkami. – Wskazuje podbródkiem misę z masą. – Nie chcę ci przeszkadzać.

Podejmuję kolejną próbę odebrania zapisków stanowiących część jego koślawych przeprosin. Zwykle Bradley nie czyni takich uczuciowych gestów, więc mowy nie ma, bym dała się teraz spławić.

Niestety dupek znów robi zwinny unik. Oczywiście, że tak. Najpewniej spędza po kilka godzin dziennie na siłowni, trenuje sztuki walki – albo

nawet wszystko naraz. Ja natomiast męczę się już przy trzecim przysiadzie.

– Daj mi je – żądam.

– Nie.

Zanurzam palce w słoiku z mąką, nabieram odrobinę i rzucam.

Biały pył tańczy w powietrzu i opada na szczękę, włosy i czarną kurtkę Bradleya.

– Bardzo dojrzałe, panno Malloy, naprawdę – prycha i usiłuje się otrzepać.

Nie daję mu szans na reakcję i przystępuję do kolejnego ataku. Nabieram na łyżeczkę odrobinę miodu i rozsmarowuję na jego policzku.

– Ojej, nie wiem, jak to się stało. – Zakrywam usta w kokieteryjnym geście. – Wytrę.

Bradley chwytą mnie w tali i sadza na brzegu jednej z szafek. Odbiera mi ściereczkę, którą już planowałam go wyczyścić.

– Zrób to wargami – nakazuje głosem wibrującym od pragnienia.

Każdy mięsień w moim ciele się spina.

Jedno zdanie. Tylko jedno. Wystarczą trzy słowa, a ja już jestem cholernie podniecona i gotowa spełnić jego polecenie.

Podnoszę głowę. Czubek mojego języka przesuwą się po skórze Bradleya i zbiera płynną słodycz.

– Mniem, słodki smak miodu pasuje do typowej dla ciebie ostrości, czającej się pod nim – szepczę tuż przy jego uchu.

Palce na moim pasie zaciskają się i przyciągają mnie bliżej.

– Jeszcze raz – chrypi.

Posłusznie smaruję miodem jego drugi policzek i ponownie zlizuję. Do ostatniej kropli. Nim zdołam się odsunąć, wargi Bradleya napierają na moje. Obdarowuje mnie zachłannym, szybkim pocałunkiem, od którego cała zaczynam drżeć.

– Ja też chcę spróbować – mówi prosto w moje usta. Następnie sięga po swoje już ulubione czekoladowe groszki i rozsypuje mi je na dekolcie. – Chcę spróbować tego. Dokładnie tutaj.

Czuję przyjemne łaskotanie nie tylko na skórze, ale także o wiele głębiej, gdy jego język łowi słodkie okruszki spomiędzy moich piersi. Następne czuję draśnięcie zębów.

– Gryzienie jest zabronione – rugam go, pociągając za włosy.

Bradley wyszczerza się radośnie. Zawadza kciukiem o miseczkę mojego stanika.

– A tutaj? – pyta i już ma obnażyć brodawkę, by i ją obsypać smakowitymi ozdobami do ciasta, a potem obdarzyć pieśczołkami.

Korzystając z jego nieuwagi, sięgam do kieszeni, gdzie wcześniej wetknął listy.

– Aha. Mam je. – Triumfuję, machając mu kartkami przed nosem. – Facetów tak łatwo podejść.

– Stąpasz po cienkim lodzie, kruszynko – ostrzega. – Lepiej tu wracaj. – Poklepuje blat, na którym jeszcze sekundę temu siedziałam.

Uczynienie tego, o co prosi, wydaje się niezwykle kuszące. Brad jest mistrzem w podsycaniu mojej namiętności przy pomocy wyłącznie dotyku, ale tym razem nie zamierzam mu ulegać.

– Zapomnij. Teraz ja mam dokładnie to, czego chcę, a ty masz... – Patrzę znacząco na jego krocze. – Dokuczliwą erekcję.

– Savannah...

– Możesz się nią zająć, kiedy będę czytać twoje miłosne wyznania. – Rozkładam pierwszą z trzech karteczek, ale zanim zdążę odczytać pierwsze zdanie, rozlega się głos wypełniony zagadkowymi emocjami.

– Masz rację, jestem popieprzony i nie zasługuję na ciebie – mówi Brad. Jeśli takie słowa zapisał w listach, to...

– To nie brzmi romantycznie.

Usiłuję obrócić wszystko w żart, ponieważ zarozumiały, pewny siebie i nieustraszony Bradley, z którym zwykle mam do czynienia, przeistacza się w tej chwili w poranionego, samotnego i wrażliwego człowieka.

I mimo że widywałam go już w takim stanie, to wciąż nie wiem, jak mu pomóc. Pozwala na to, bym dostrzegła jego mrok, ale uniemożliwia odnalezienie klucza, bym mogła go z niego wydostać. Bo prawda jest taka,

że nie chce, abym próbowała go ocalić. Pragnie, bym uwierzyła, że dla niego nie ma już ratunku.

On w to wierzy.

– Nie potrafię stworzyć zdrowej relacji, bo ciągle boję się, że cię skrzywdzę. I paradoksalnie robię to... byś odeszła, zanim stracę kontrolę nad tą pojebaną częścią mnie i nie powstrzymam destrukcji tkwiącej we mnie – ciągnie bez emocji.

Zanim się orientuję, znów jestem blisko niego. Zaplatam ramiona na jego szyi.

– To wszystko nieprawda – oponuję. – Próbujesz naprawić we mnie coś, co jest mocno potłuczone i zagubione, ale kto zrobi to samo dla ciebie?

– Nie porównuj się ze mną. Nie masz pojęcia, co czuję.

– To mi powiedz.

– Czasami chcę się tobą opiekować, a czasami sprawić, żebyś mnie znienawidziła – wyznaje, obrysowując opuszką kształt moich ust. – Ale to nieważne, bo niezależnie od tego, czy próbuję się tobą opiekować, czy cię odepchnąć, to i tak skończy się w ten sam sposób. Zniszczę cię.

Uśmiecham się pod jego palcami.

– Nie wierzę w to.

Jego oczy błyszczą wrogo. Chyba złości się, że nie traktuję poważnie jego grózb.

– Będę cię niszczył powoli. Zabijał każdą szansę, jaką mi dasz – podkreśla. – Bo nie potrafię inaczej.

Rozlega się głośne pikanie. Piekarnik.

– Cholera. Widzisz, co zrobiłeś? Przez twoje dramatyzowanie prawie spaliłam babeczki – burczę, sięgając po blaszkę z wypiekami. Wtedy coś miękkiego uderza mnie w skroń. Wbijam wzrok najpierw w Bradleya, a później w rękawicę ochronną.

No tak. Jeszcze ułamek sekundy i nieźle bym się poparzyła. Miło z jego strony, że zauważył ten szczegół, ale mógł mi podać rękawicę z nieco większą... kulturą.

– Co do nich dodałaś? – pyta, gdy moje piękne muffinki stoją już na blacie.

Wdycham aromatyczną woń.

– To, co dodaje się do babeczek. A co?

– Wyglądają, jakby wysrała je Godzilla.

Że co przepraszam?

– Jesteś wulgarny i wredny – oburzam się. – Nie liczy się wygląd, tylko smak. – Sięgam po jedną babeczkę i rozłamuję ją na pół, żeby trochę przestygła.

Brad natomiast nie zwleka, od razu odgryza kawałek.

Moim zdaniem są naprawdę ładne. Ładniejsze niż poprzednie, o których Bradley nie ma pojęcia. Może gdyby wiedział, doceniłby wielki postęp, jaki zrobiłam.

Może są nieco garbate i takie...

– Och, kurwa! W tym nadzieniu są kulki pieprzu! – wydziera się Brad, a potem biegnie w stronę kosza, by wypluć kęs.

– Niemożliwe. – Rozgarniam kremowe wnętrze w swojej babeczce i wtedy je widzę. Czarne i okrągłe ziarna. – Może zerknęłam na zły przepis.

A może pomyliłam pieprz z tymi durnymi czekoladowymi groszkami... To one miały tam trafić.

No cóż, więc jednak postęp w pieczeniu okazał się ciut... chujowy.

– Masz szczęście, że mimo wszystko seksownie wyglądasz w tym chaosie. I tak smakowicie, że chce się ciebie całą oblizać. – Wyszczera zęby w uśmiechu.

Obserwuję, jak sięga po długopis leżący w jednej z moich książek kucharskich i przygarnia do siebie listy.

– Co tam robisz?

Lepiej, żeby nie zamierzał tam teraz niczego kreślić, bo planuję je zatrzymać i poczytać do poduszki.

– Muszę coś dopisać do tych listów – mamrocze. Cienkopis porusza się w jego palcach, a potem to widzę.

Chcę Cię pod sobą. Na tym blacie. Ozdobioną smakołykami. Zdaną na moją łaskę.

Może i nie wychodzą mu najlepiej romantyczne deklaracje, ale te seksualne opanował znakomicie.

Rozdział dwudziesty

Trochę zbyt długo patrzę na Bradleya oszołomionym wzrokiem.

Nie sędę, bym w tej chwili prezentowała się nad wyraz atrakcyjnie. Kawalek papieru drży mi w ręce.

List jest skarbem. Cennym i zbereźnym, a zapisane w nim słowa sprawiają, że podniecenie wybucha we mnie, jeszcze zanim Bradley wykona jakikolwiek ruch.

Mam ochotę się na niego rzucić, choć przejmowanie inicjatywy nie jest w moim stylu. Poza tym jestem umorusana ciastem, czekoladą, lukrem i wieloma innymi składnikami, jednak dodaje mi to uroku.

Gdy Brad z intensywnością odwzajemnia moje spojrzenie, dochodzę do wniosku, że jednak rozsądniej byłoby uciekać. Inaczej będę musiała skonfrontować się z czyhającą w nim nieujarzmioną siłą, a jestem pewna, że żadnej kobiecie przede mną nie udało się jej okiełznać.

– Chcesz się niegrzecznie pobawić? – zaczyna, przyciskając mnie do blatu. – Wiesz, że cię zadowolę. Wielokrotnie.

Wzdycham głośno, słysząc tę wyuzdaną obietnicę.

Bradley sadza mnie na stole. Gdy opadam na plecy, jego usta zawisają tuż nad moimi.

Rozchyłam wargi, oczekując pocałunku, ale ten nie nadchodzi. Zamiast tego mężczyzna szybkim ruchem odwiązuje chustkę, która utrzymywała moje włosy.

– Zepsułeś mi fryzurę – zauważam rozdrażniona. – I co niby zamierzasz z tym zrobić?

Czarno-czerwona wstęga z kokardą dynda na jego palcu, a on przypatruje się jej, jak gdyby stanowiła jakiś cenny łup.

- Zwiążę cię – tłumaczy Bradley. – Trzymaj ramiona nad głową.
- Ale to jest kuchnia – protestuję.
- Trochę fantazji. – Wprawnie owija moje nadgarstki materiałem. – Będziesz moim deserem. Ręce w górę.

Chwytam się brzegów blatu. Nie wiem nawet, dlaczego wykonuję jego polecenie. Robię to, kierowana instynktem i... pożądaniem.

– Desery nie wykonują rozkazów – ripostuję. Nie jest mi zbyt wygodnie. Twardo. Przydałoby się parę poduszek.

Bradley sięga po miseczkę, w której znajduje się ciepła, roztopiona czekolada. Miała być polewą, ale teraz raczej się nie przyda.

– Mógłbym na ciebie patrzeć całą noc. Właściwie już to robiłem – wyznaje zmysłowym, niskim tonem. Potem zanurza palec w czekoladzie i go oblizuje.

Zmieniłam zdanie. Czekolada się przyda. Będzie świetnym rekwizytem podczas naszych grzesznych zabaw.

– Kiedy?

– Kiedy spałaś... – Urywa. – Nie rozpraszaaj mnie, bo cię ukarzę.

Pojedyncza kropla ciemnej słodyczy skapuje na moją dolną wargę. Od razu ją zlizuję.

Bradley gromi mnie wzrokiem.

– To była moja kropla. Ja miałem ją scałować z twoich ust.

Przeszywa mnie dreszcz rozkoszy.

– Nie powinno mi się to podobać. – Ale jednak podoba. – Może nawet nie będę protestować.

Na pewno nie będę.

– Zdejmiemy to – informuje i sięga do zapięcia mojej sukienki. – Chcę ci sprawić przyjemność. Masz jakieś specjalne życzenia? Pragnienia? Co mam z tobą zrobić? Na co mi pozwolisz? – Zamek zjeżdża coraz niżej i niżej i centymetr po centymetrze odsłania moją skórę. A Brad zostawia na niej pocałunki.

– Pokaż, co potrafisz, liczę, że nie potrzebujesz instrukcji – dyszę.

Srebrne tęczówki się rozpalają. Po chwili już płoną.

Sukienka ląduje na podłodze, a ja zostaję przed Bradleyem w samej bieliźnie.

– Lubisz mnie prowokować, co? – Uśmiecha się. – Piękna – dodaje. Dotyka fiszbiny mojego stanika, sunie palcami w górę, aż do ramiączka. Następnie... znika mi z pola widzenia.

Słyszę, że zamrażalnik się otwiera. Bradley pojawia się ze szklanką do połowy napełnioną wodą. Dostrzegam też dwie kostki lodu obijające się o siebie. Sekundę później mój biustonosz dołącza do sukienki leżącej na marmurowych kafelkach.

Między moimi piersiami zaczyna spływać struzka ciepłej czekolady, a Bradley wkłada sobie do ust kostkę lodu i sunie jej chłodną krawędzią po wyznaczonym słodkim szlaku.

– Zimne – skarżę się. – Powinieneś je jeszcze lepiej rozgrzać.

– Założę się, że jeszcze żaden skurwiel nie zdołał odkryć ognia, który w tobie drzemie, ale ja... – Opuszcza głowę. Tym razem czuję płynny deser na swoich obnażonych brodawkach.

Wiercę się. Drżę.

– Ty jesteś tym skurwielem, który go dostrzega? – droczę się.

– Masz takie piękne usta, stworzone do robienia grzesznych rzeczy.

– O Boże.

Gorąca czekolada miesza się z zimnym lodem, wywołując dziwaczne gilgotanie w moim wnętrzu. Zaciskam uda, czując między nimi narastające pulsowanie.

– Spokojnie. Dopiero zaczynam – zapowiada Brad. – Zanim skończę, doprowadzę cię do szaleństwa... Dokładnie tak, jak ty doprowadzasz mnie. – Bez ostrzeżenia wsuwa we mnie dwa palce, a ja mimowolnie podrywam biodra.

– Więcej.

Bradley kąsa mój sutek i jednocześnie dręczy mnie powolnym rytmem pieszczot.

– Taka jesteś zachłanna? – Drugie ugryzienie tym razem tuż nad pępkiem. Niemal bolesne.

Jego palce we mnie to najlepsza tortura. Z każdym kolejnym ruchem mam ochotę złapać jego rękę i samodzielnie zacząć ją ujeżdżać. Szybko i mocno.

– Bradley...

Nie mogę.

Nagle węzeł na nadgarstkach cholernie mnie wkurza, bo przeszkadza mi w zmuszeniu pewnego upartego faceta, aby przestał sobie ze mną pogrywać.

– Nie martw się. Zaspokoję wszystkie twoje potrzeby – mówi zuchwałym tonem. – Kurwa. Jesteś taka mokra. – Oblizuje się łakomie, jakby w zapowiedzi tego, co zamierza mi zrobić.

Zduszam jęk. Dudni mi w skroniach.

Palce Bradleya pieprzą mnie nieprzerwanie. Raz zwalniają, żeby zaraz potem obrać niemal bezlitosne tempo.

Ledwie powstrzymuję się przed krzykiem. Nie chcę, by ten drań pławił się w satysfakcji, że aż tak na mnie działa.

– Nie mogę. Chcę... chcę, żebyś we mnie wszedł.

Bradley potrząsa głową. Syci się moim widokiem, obsypując każdy nagi skrawek mojego ciała pocałunkami.

– Powoli. – Jego usta przylegają do wrażliwej skóry moich ud. – Najpierw muszę cię posmakować.

Podrywam się i wyginam plecy w łuk, gdy szczypie mnie zębami wysoko nad kolanem.

– Chyba już zaczynam tracić zmysły... – dyszę.

Oddech Brada też przyspieszył. Tętnica na jego szyi pulsuje dziko, zdradzając napięcie. Wydaje się podekscytowany tym, że zaraz ma zamiar mnie...

Kilkudniowy zarost na jego szczęce przesuwa się nad moją łechtaczką. Bradley dmucha na wrażliwy punkt, a następnie wysuwa język i mnie liże.

Pociągnięcia są długie i leniwe, a Brad wydaje przy tym prawie zwierzęce pomruki.

– Będę to robił bardzo często – zapewnia szeptem. – Uwielbiam czuć twoją wilgoć na języku.

– Proszę.

– Tak jest, malutka. Błagaj mnie. Lubię to.

Liże mnie i ssie moją cipkę, jednocześnie wbijając we mnie palce. Robi małe kółka językiem, a ja zaczynam reagować na jego poczynania. Kołyszę talią coraz szybciej i szybciej, dociskam się do jego twarzy.

Doznania są niesamowite. Wsiąkają we mnie. Zdobywają każdy zakamarek mojego ciała.

Dla niego. Na własność.

– Zaraz...

Orgazm się zbliża, po sobie następują fale potęgującej się przyjemności.

– Lubię też twój słodki smak na moich wargach, ale... – Bradley po raz ostatni całuje mój wznórek i się wycofuje.

– Nie! – Aż się zachłystuję z rozczarowania. – Co ty wyprawiasz?

Widzę mały, cwany uśmieszek w samych kącikach ust.

Zaraz czymś znokautuję Bradleya. Choćbym miała zrobić to samą trzepaczką do ciasta.

Na szczęście w tej właśnie chwili rozpina pasek swoich spodni.

– Chcę, żebyś zacisnęła się wokół mojego kutasa, kiedy będziesz dochodzić – tłumaczy.

Z krtani wyrywa mi się jęk.

Jego erekcja pociera moje łono. Raz, drugi, trzeci.

– Dojdę, jak tylko we mnie wejdiesz. Jestem zbyt blisko – ostrzegam.

– Bez obaw. Nie musisz się powstrzymywać. – Mruga zawadiacko. – Planuję dać ci więcej niż jeden orgazm.

– Ja...

Bradley wchodzi we mnie jednym szorstkim pchnięciem. Nakrywa mnie swoim ciałem, wciskając moje plecy w blat.

Unoszę związane nadgarstki i zarzucam mu ramiona na szyję.

– Ja pierdolę. Cudownie – sapie. – Jesteś cudowna. – Wysuwa się ze mnie, a następnie wsuwa z równą gwałtownością, a to sprawia, że od razu przesywa mnie orgazm.

– Bradley...

Każde włókno w moim ciele wydaje się w równym stopniu naelektryzowane, co omdlałe. Uśmiecham się jak głupia. To niesamowite uczucie. Nie uprawiałam seksu od...

Właściwie... nie pamiętam, kiedy ostatni raz go uprawiałam. Ani z kim.

– Grzeczna dziewczynka – szepcze Bradley do mojego ucha. – Jeszcze raz. – Ponownie zaczyna się we mnie poruszać. Na początku powoli, od nowa rozniecając wygasłą namiętność.

– Nie. Już nie mogę. Potrzebuję chwili, żeby...

– Nie. – Wpija się w moje usta. – Jesteś na mojej łasce, więc zrobisz to, co ci każę. Wiem, że tego chcesz. Pragniesz, żebym tobą zawładnął.

Przyspiesza. Jego penis rozciąga mnie, okraszając rozkosz odrobiną bólu.

Prawie nie daję rady znieść tej intensywności. Wbijam paznokcie w kark mężczyzny, unosząc się lekko, by wyjść naprzeciw jego pchnięciom.

Bradley wyznacza szlak pocałunków od mojego brzucha do piersi.

– Podoba mi się, kiedy jesteś taki władczy.

– To dobrze, bo nigdy nie będę uległy w łóżku.

Wdziera się we mnie raz za razem, a jego kciuk odnajduje moją łechtaczkę i zaczyna ją pieścić.

– Do mojej uległości lepiej też się nie przyzwyczajaj.

Na moje słowa coś się rozżarza w jego oczach. Jak gdyby uznał, że rzuciłam mu wyzwanie – a on zamierzał je przyjąć.

Oczywiście, że tak. To samiec alfa. Nauczył się skłaniać innych do posłuszeństwa i być liderem. Założę się, że do tej pory znajdował sposób na to, by podporządkować sobie każdego.

Bradley wplata palce w moje włosy i szarpie za nie, odchylając mi głowę.

– Pocałuj mnie – nakazuje. – Kurwa mać. – Krzywi się, zanim zdązę choćby dotknąć jego ust.

Marszczę brwi.

– Co?

– Nic. Podrapałaś mnie jak wściekła kotka. – Ogląda się przez ramię, jakby chciał ocenić szkody, ale kiedy ponownie na mnie zerka, widzę, że jest zachwycony swoimi pokiereszowanymi plecami.

Dziwak.

– Nosisz moje znaki. – Staram się brzmieć zwycięsko.

Przyłapuję się nawet na myśli, że żałuję, iż ranki są takie nietrwałe. Gdyby już na zawsze została mu blizna... Moje własne piętno, pamiątka po chwilach, gdy był mój – to byłoby niesamowite. I wkurwiałoby każdą jego kolejną kobietę – tak jak i mnie wkurwia świadomość, że nie jestem tą ostatnią.

– Ty zaraz będziesz nosić moje – oznajmia, a jego zęby zatapiają się w zagłębieniu mojej szyi.

Piszczę zaskoczona, a zarazem mam wrażenie, jak gdyby przez moje ciało przetoczył się grom.

Następnie wznawia rytm pchnięć. Jego członek w moim wnętrzu wydaje się jeszcze bardziej twardy.

– O Boże. Zrób to znowu, to było takie... – Urywam. Coś... coś się dzieje.

Obrazy przeskakują mi pod powiekami. Migają.

Szóstka. Szrama, ta na moim udzie. Kawałek szkła. Poszarpane ostrze. Ból. Słowa.

Czasami ból uwydatnia przyjemność. Masz taką gładką skórę. Jak aksamit. Szkoda, że tak bardzo się pokaleczyłaś.

Więcej bólu.

– Jakie? – Słyszę gdzieś z oddali. – Savannah?

Moje imię odbija się echem. Osacza mnie, ale nie to jest najgorsze, tylko głos, jakim zostało wypowiedziane. I nie jest to już głos Bradleya. Jest za to obcy i znajomy.

Jest jego głosem.

– Nie! – krzyczę.

Mam zamglony wzrok, więc ledwo zauważam, jak Bradley zamiera.

– Wszystko w porządku?

– Przestań. – Zaczynam się wyrywać i odpycham go jak oszalała. –
Przestań.

Bradley odsuwa się ode mnie, na jego twarzy malują się dezorientacja i przejęcie.

– Co się dzieje? – pyta.

Nie mam pojęcia, co się dzieje. Sekundę później zostaję porwana w mrok, który zalewa mój umysł kalejdoskopem obrazów.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Wcześniej.

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

Gdy tylko się budzę, słyszę męski głos. Wydaje się jakby rozlany w przestrzeni. Targający mną ból rozmywa wszystko. Z trudem przekręcam głowę, by się rozejrzeć, ale wydaje się ważyć tonę.

Gdzie ja jestem?

Półmrok. Obcy pokój. Więzy na moich kostkach. Muzyka. Woń stęchlizny.

Dlaczego jestem związana?

– Nie – szepczę.

– Spokojnie, kotku. Nie walcz ze mną.

Enzo. Jego twarz majaczy tuż nad moją, a potem czuję ukłucie na skórze. Igła w mojej żyłę.

– Co się dzieje? Co mi... podałeś?

– Chociaż w zasadzie możesz spróbować walczyć. – Przekrzywia głowę i się uśmiecha. – Twój opór sprawia, że jestem twardy jak nigdy, ale zawsze mi stawał, gdy byłeś w pobliżu.

Błysk światła gdzieś po prawej stronie. Mała lampka na podłodze rzuca poświatę na pomieszczenie. Leżę na jakimś materacu. Chłód pełźnie pod moją skórą. Jednak nie wywołuje go temperatura, tylko coś, co było w strzykawce.

Jestem odrętwiała, otepiała, niemal sparalizowana, ale jedno czuję.

Jego ręce na moim ciele. Wszędzie. Cały czas.

– Przestań – nakazuję.

– Krzycz jeszcze głośniej, może ktoś cię usłyszy – namawia. Jego usta przywierają do mojej szyi.

– Nie rób tego.

Szarpnięcie i dźwięk darcia materiału.

Boże, nie.

– Taka piękna sukienka. Spójrz, przez ciebie ją zniszczyłem. – Unosi oberwaną falbanę, na jego obliczu pojawia się gniew. Zaciska pięść na moim ubraniu i rozdziera je dalej, od góry do dołu.

– Nie rób tego.

– Już to mówiłaś – oznajmia, po czym wyciąga z kieszeni scyzoryk. – Nie wierć się teraz, nóż jest ostry jak brzytwa, źle by się to skończyło, gdybym niechcący drasnął cię w nieodpowiednim miejscu. – Zimne ostrze wsuwa się pod moją bieliznę i rozcina ją z łatwością.

Kiedy stanik wreszcie opada na podłogę, Enzo zatrzymuje się na chwilę i przypatruje mi się uważnie.

Podziwia swoje dzieło, jednak jego oczy są puste.

Potem dotyka moich majtek, a ja po raz kolejny próbuję zmusić się do walki, do sprzeciwu. Kiedy je rozcina, ledwie mogę zaczerpnąć oddech. Tnie je wielokrotnie na strzępy i przy tym nuci. Nuci melodię, która dodatkowo podsyca mój strach.

– Puszczaj mnie. Puść, ty pierdolony skurwielu! – krzyczę, ale mój głos to teraz raczej ochrypły skrzek.

Enzo przesuwa nos między moimi piersiami.

– Pachniesz zabójczo, Savannah. – Robi głęboki wdech. – Tak, zabójczo to idealne słowo – dodaje.

– Dlaczego... po co to robisz?

– Nauczę cię, jak łączyć rozkosz z bólem. Nic innego mnie tak nie podnieca. – Wbija czubek noża w moje podbrzusze. Nie kaleczy mnie, tylko się bawi. Wystukuje rytm.

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

Wstrząsa mną spazm. Z mojego gardła wymyka się kwilenie.

– Jesteś popieprzony.

Ostrze wrzyna się głębiej. O milimetr, by upuścić parę kropel krwi. Enzo przykrywa ranę ustami i je zlizuje.

– Właśnie. Każda kobieta, której opowiadam o swoich fantazjach. Każda, którą proszę, by udawała, że ją zmuszam, że nie jest chętna, reaguje dokładnie tak samo – mruczy. Jego ton obniża się o oktawę ze złości. – Była jedna, która chciała odegrać tę rolę, ale była w chuj nieautentyczna.

Nie mogę.

W moim żołądku wzbiera zółć. Chce mi się rzygać.

– Nie dotykaj mnie.

Nie słucha. Dotyka. Jego oczy podążają śladem jakże ohydnych dłoni. Są zachłanne, spragnione. Splamione złem. Czuję jego palce na moich sutkach, a potem usta. Widzę, jak błyszczą mu oczy.

– Więc nie podobało mi się. Nic nie może równać się z autentycznym lękiem. Jego zapach jest odurzający, a ty cała nim przesiąknięta – ciągnie swoją opowieść. – Dzięki mnie. – Jego ręce suną między moje uda.

Nie. Nie. Nie.

Wiem, co zamierza, ale nie potrafię się z tym pogodzić, nie mogę tego zaakceptować. Nie mogę, nie chcę tego w sobie.

– Pomo...cy. – Mój głos przechodzi w szloch. – Nie chcę.

Wolę umrzeć. Chcę umrzeć. Proszę... Tylko że nic takiego się nie dzieje. Leżę tam i bezsilnie gapię się w sufit, a jego palce pocierają moją lechtaczkę – hańbią mnie i brudzą.

Czuję ból. Taki wielki ból, ale nie fizyczny.

– Przykro mi, ale nie możesz krzyczeć zbyt głośno. To przez narkotyk, był też w drinku z klubu – oznajmia prawie współczującym tonem, ale sekundę później uśmiecha się z podekscytowaniem. – Jak się bawisz?

Jego palce zagłębiają się we mnie, a każde pchnięcie sprawia, że czuję coraz większą desperację, by to zatrzymać. Muszę, choćbym miała zniszczyć samą siebie.

– Proszę, nie rób tego – mówię, połykając łzy. – Zrobię, co będziesz chciał, tylko mnie wypuść.

Enzo sięga do swoich jeansów. Rozpina je i wyjmuję nabrzmiałego penisa.

– Masz rację. Zrobisz, co będę chciał. Nauczę cię tego. – Przesuwa ręką po wzwodzie. – Urocza bielizna. Na poważnie jesteś aż taką niewinną dziewczynką? Ale ktoś cię chyba już przede mną rznął, tak?

Milczę. Słowa więzną mi w gardle.

Nie chcę na to patrzeć, ale nie potrafię przestać. Oddech pali moje płuca, wszystko wiruje.

Wiem. Wiem, co zamierza mi zrobić. On mnie... On...

Enzo wolną ręką chwyta moją szyję. Jego uścisk natychmiast odcina mi dopływ tlenu.

– Nie mogę oddychać.

Czuję panikę i jednocześnie ulgę, gdy prawie miażdży moją tchawicę. Jeśli mnie udusi, to się skończy.

– Jeśli chcesz oddychać, to odpowiadaj na pytania – żąda. – Rozłożyłaś już przed kimś nogi. Tak czy nie?

– Nie.

– Wiesz, jeszcze nigdy nie byłem z dziewczyną. To ekscytujące. – Szarpie mnie za włosy i jednocześnie wchodzi we mnie jednym ostrym pchnięciem. – Zrobię z ciebie moją małą prywatną dziwkę.

Krzyczę. Tym razem najgłośniejszym, jak mogę. Krzyczę za każdym razem, gdy się we mnie wsuwa.

– Dość, dość – powtarzam. – Dość.

To się nie dzieje. Nie może się dzieć.

To nie jest prawda, muszę... muszę to przerwać. Muszę to z siebie wyrzucić, zmyć. Muszę się tego pozbyć. Zapomnieć.

– Będziesz posłuszna i uległa – szepcze. – Nauczysz się spełniać moje kaprysy, zanim o nich pomyślę. – Znowu sięga po sztylet, wbija go w skórę po wewnętrznej stronie mojego uda i wycina szóstkę.

– O Boże.

I wciąż nie przestaje wdzierać się do mojego łona. Rozciąga je gwałtownymi, brutalnymi ruchami, raniąc mnie od środka.

– Nie wzywaj Boga. Masz przed sobą samego diabła. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć – odlicza w kółko. – Sześć to moja ulubiona liczba. Tyle razy cię zerznę tej nocy.

– Proszę, przestań.

– Ja pierdolę. Nigdy nie byłem w bardziej ciasnej cipce – mówi, a w jego czarnych tęczęwkach zapala się coś chorego. – Będę ci to robił aż do krwi. Lubię jej smak i zapach. Sprawdźmy twoją. – Nacina mój nadgarstek, rysując ostrzem kolejną szpetną cyfrę.

– To boli!

– To tylko małe nacięcie. Ranka z niewielkim strumieniem. – Wpija się ustami w skaleczenie i wysysa krew. – Chcę, żebyś krzyczała głośniej. – Porusza się we mnie coraz bardziej agresywnie. Przytrzymuje moje biodro tak mocno, że natychmiast robią mi się siniaki.

– Błagam... – Cała dygoczę od dreszczy. – Niech to już się skończy.

Słyszę jego sapania i jęki, aż mam ochotę zatkać sobie uszy. Desperacko próbuję się odczołgać. Nie daję rady.

– Słyszałaś, że kobiety mają na ciele dwa razy tyle receptorów bólu co mężczyźni? – odzywa się, a potem wpycha mi język w usta. – Pyszna.

W którymś momencie zaczynam się rozpadać. Moje uczucia się rozpadają, moje ciało się rozpada. Tylko czekam. Przestaje mi zależeć na tym, by wydostać się z tego piekła, bo to piekło zostaje we mnie. Już na zawsze.

– Kiedyś... – zaczynam ledwie słyszalnie.

– Co kiedyś?

– Zabiję cię – obiecuję.

Enzo wybucha śmiechem, który przypomina trzaskanie ognia trawiącego wszystko na swojej drodze.

– Moja dziewczynka, właśnie dlatego cię pokochałem – rzuca z satysfakcją. – Od teraz należysz do mnie na wieki. – Wykonuje ostatnie pchnięcie i się zatrzymuje.

– Nigdy – syczę.

Jego obrzydliwa postać naznacza mnie aż do szpiku kości, ale wszystko zagłusza nienawiść. Jest teraz niczym żywy byt mruczący „zabij, zabij, zabij”.

Enzo unosi kącik ust, jakby usłyszał coś niezwykle zabawnego.

– W końcu sama to przyznasz. – Gładzi mój policzek. – Złamię cię. Wiele, wiele razy.

Nie musi. Już to zrobił. Skaził moje ciało i umysł. Sprawił, że zło zaczęło trawić moją psychikę, zmieniać ją w miejsce pełne ciemności.

Już na niczym mi nie zależy.

Oprócz śmierci.

*

– Skurwieli! Zatlukę cię. Wytlukę z ciebie ostatnie tchnienie – krzyczy jakiś głos napawający strachem. – Co im, kurwa, zrobiłeś?

Z trudem unoszę sklezione, opuchnięte powieki, chcę cokolwiek zobaczyć, ale wszystko jest plamą czerni.

Nie mam siły. Klatka piersiowa boli mnie, jak gdybym miała strzaskane kilka żeber, a w powietrzu czuję zapach krwi.

– Niczego, czego by nie chciały. One tylko udawały, że się opierają. To była zabawa – odpowiada ktoś. Nie, nie ktoś. Enzo.

Zło.

Docierają do mnie stłumione rytmiczne odgłosy kojarzące się z waleniem pięściami w worek treningowy.

Trach. Trach. Trach. I dziwne bulgotanie, dławienie się. Kaszel.

– Ty jebany zwyrodnialcu! – Słyszę znowu ten głos pełen furii. – Będziesz zdychał powoli i w katuszach.

Kolejna seria uderzeń. Cały grad ciosów.

Gdy w końcu udaje mi się cokolwiek zobaczyć, dociera do mnie, że widzę dwie sylwetki – jedną potężną, jakby niedźwiedzia grizzly, a drugą mikrą, jakby Calineczki. Ta większa kopie coś na podłodze.

Powieki mi opadają. Znowu zaczynam omdlewać. To dobrze, omdlenia są dobre, pomagają mi się stąd wydostać chociaż na trochę. Może za którymś razem zasnę i już się więcej nie obudzę.

To byłoby błogosławieństwo.

– *Przestań. Zabierz mnie stąd. Trzeba ją zabrać do szpitala...* – *łka dziewczyna.* – *Ja... nawet nie wiem, czy ona jeszcze żyje. O Jezu!*

Chyba płacze.

Ktoś mnie dotyka. Wzdrygam się. Nie chcę dotyku.

– *Żyje. I nie umrze – oświadcza mężczyzna z dziwną determinacją.* – *Słyszysz? Masz walczyć. Nie poddawaj się.*

Uzmysławiam sobie, że mówi do mnie.

– *Nie chcę – charczę. Struny głosowe mam pozdzierane od wzywania pomocy, a paznokcie zakrwawione od drapania w drzwi.*

Nie chcę żyć. Nie chcę oddychać.

Proszę, zabij mnie.

Po co chcę mnie ratować? Przecież ja i tak już nic nie mam. Wszystko mi odebrał.

Jego brudny dotyk siedzi pod moją skórą jak niemożliwe do wyrwania ciernie. Brudne. Takie brudne.

Chcę tu zostać i skonać w agonii. Bo jeśli przyjdzie mi jednak przeżyć i już zawsze – wciąż od nowa i od nowa – przypominać sobie będę ten koszmar, to w końcu sama odbiorę sobie życie.

– *Mam cię – szepcze mężczyzna, zagarniając mnie w ramiona.* – *Już dobrze, jesteś bezpieczna.*

Widzę szare tęczówki Bradleya Kincaida...

Rozdział dwudziesty drugi

Teraz.

O Boże.

Nieład w mojej głowie nie pozwala mi ułożyć żadnej sensownej myśli. Widzę tylko ich twarze. Enzo, Bradley. Bradley, Enzo. Cały czas.

I się rozpadam. Naprawdę, choć to rozpacz skryta pod skórą w miejscach, których nie dostrzeże ludzkie oko. I których nie wyleczą żadne leki.

A najtrudniej znieść to, że osoba, dla której chciałam być lepsza, doskonale wie, jak bardzo jestem wadliwa.

Jak mam to wszystko... Jak mam to wytrzymać?

– Nie. Nie ty – powtarzam roztrzęsionym głosem.

Patrzę na zagubioną twarz Bradleya dokładnie tak, jak patrzyłam kilka lat temu, przekonana, że niebawem zaczerpnę swój ostatni oddech. Właściwie teraz czuję się identycznie. Coś miażdży mnie od środka. Coraz mocniej i mocniej, aż w końcu zaczynam upadać.

Bradley chwyta mnie, chroniąc przed zderzeniem z marmurem.

– Savannah... – mruczy, zakładając mi włosy za uszy.

Pojawia się cały wachlarz różnorodnych uczuć. Wspomnienia i emocje. Emocje i wspomnienia. Jakbym wpadła w sidła. Jakbym znowu tam utknęła, skazana na wykonanie każdego popieprzonego kaprysu tego psychopaty.

– Nie było cię tam. Nie mogło cię tam być – mruczę do siebie. Sięgam ręką do gardła, chcąc rozwiązać węzeł pętli, która wciąż się zaciska, ale... niczego nie znajduję.

– Uspokój się.

Kręci mi się w głowie, huczy mi w skroniach. A moja skóra...

Nie. Nie. Nie.

Wyrywam się z objęć Bradleya, robię kilka chwiejnych kroków i rzucam się na nóż.

– Nie. Po prostu to powiedz. Powiedz, że to kłamstwo. Wszystko! – krzyczę. – To się nie wydarzyło. – Zaciskam palce na rękojeści i obserwuję, jak błysk światła z żarówek odbija się od ostrza.

Ładnie wygląda. Tak... kojąco.

– Savannah – szepcze Bradley, ale jest gdzieś daleko. Bardzo daleko. – Oddaj mi nóż.

Nie mogę.

Wzmacniam drżący uchwyt.

Wszystko ze mną w porządku. Nie odbija mi. Nie jestem szalona, chcę tylko, żeby to wstrętne uczucie zniknęło z mojej skóry.

– Powiedz. Proszę, po prostu to powiedz – powtarzam.

– Odłóż to, kochanie.

Nie. Nie mogę. Dlaczego on tego nie rozumie?

Spoglądam na swoje dłonie, nadgarstki i ramiona, próbując namierzyć źródło tego czegoś, co wsiąka w moje ciało.

Bradley robi krok w moim kierunku.

– Nie. Nie podchodź do mnie. – Odwracam nóż i ostry kraniec celuje w jego stronę. – Nie mogę tego znieść.

Nie mogę tego wytrzymać. To coś się we mnie rozprzestrzenia, ale nie potrafię tego znaleźć.

Gdzie to jest? Gdzie to jest?

– Tak mi przykro – odzywa się Bradley cicho. Unosi dłonie, jakby się poddawał. Jakby próbował zapewnić spłoszone, ranne zwierzę, że nie zamierza wyrządzić mu krzywdy.

– Nie. Nie waż się tego mówić. – Ocieram łzy wściekłym ruchem. – To się nie stało. Nigdy.

Nie rozumiem, dlaczego płaczę. Przecież nic mi nie jest.

– Skaleczysz się.

Rzucam czymś na oślep. Szklanka odbija się od ściany i rozbija w drobny mak.

– Nie chcę tego. – Rzucam kolejną, a później jeszcze jedną. – Nie chcę tego w sobie. – Zaczynam strącać wszystkie rzeczy z blatu na podłogę. Hałas zagłusza to, czego nie chcę słyszeć.

– Spójrz na mnie – prosi Bradley łagodnie, ale to tylko potęguje moją wściekłość.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Odpycham go, gdy znów próbuje do mnie podejść. – Dlaczego mnie zmusiłeś, żebym to sobie przypomniała?! Nie miałeś prawa.

– Żyłeś w jego klatce.

– Co ty o tym wiesz? Myślisz, że teraz jest mi lepiej? – Mocno przygryzam policzek, by zdławić szloch. – Czuję to wszędzie. Na mojej skórze. Też gdzieś w środku.

To pali. Mam wrażenie, jakby ktoś wszył mi odpaloną zapalniczkę w ciało. Płonie każdy nerw.

Przyciskam nóż do wnętrza mojej dłoni i robię nacięcie.

Bradley błyskawicznie chwyta mój nadgarstek.

– Przestań – nakazuje. Głos ma twardy, ale oczy są pełne obaw.

Wiem, co sobie myśli. Że to się w końcu stało. Że zwariowałam, ale mi naprawdę nic nie jest. Za chwilę nic mi nie będzie.

– Muszę się tego pozbyć – tłumaczę. – Muszę go z siebie zdrzeć. Nie rozumiesz tego.

– Nie.

Gniew sprawia, że puszcza we mnie jakaś tama. Zaczynam szarpać się z Bradem, by odebrać mu ostrze.

On nie chce mi pomóc. Pragnie, żebym się temu poddała. Pozwoliła temu czemuś od nowa się we mnie zagnieździć.

W którymś momencie nóż tnie ramię Bradleya. Rana ma kilka centymetrów.

Nie. Nie. Nie.

Wściekła i bezradna gapię się na sączące się z niej strumienie krwi.

– To twoja wina – oskarżam. Jakimś cudem znów mam ostrze w garści. Ostrze, którego czubek skierowany jest w pierś Brada. Tuż przy sercu.

– Skarbie, puść – przemawia spokojnie, oplatając moje palce swoimi.

Opuszczam rękę i osuwam się na kolana.

– Proszę, zabierz go ze mnie. – Mój głos przechodzi w żalosne kwilenie.
– Błagam, pomóż mi...

Bradley także opada na podłogę i bierze mnie w objęcia.

– Trzymam cię. Nie puszczę. Już dobrze. – Gładzi moje plecy tak ostrożnie, jak gdyby się bał, że mogę zaraz rozsypać się u jego stóp jak te wszystkie szklane odłamki. Wolną dłonią odsuwa nóż z dala ode mnie.

Potrząsam głową.

– Nie zabieraj mi go. Jest mi potrzebny.

Boże, co się ze mną dzieje? Zachowuję się jak histeryczka. Przecież...

Zostałam zgwałcona. Nie naprawię tego, tnąc się. Niczym tego nie naprawię.

Bradley kciukiem unosi moją brodę. Zmusza, bym patrzyła mu w oczy.

– W pewnym momencie musisz mieć pewność, że go pchniesz. Gdybyś była zmuszona się przede mną bronić, zrobiłabyś to? – pyta, nie przestając mnie kołysać. – Nie wahaj się, zbyt długie wahanie pozwoli mu wygrać.

– Co za różnica? Już wygrał.

– Nie. Nieprawda – zaprzecza Brad tak ostro, że aż podskakuję. – Jeśli kiedyś będziesz musiała to zrobić, po prostu to zrób. Nie myśl o tym, co później będzie z nim, a o tym, co stanie się z tobą, jeśli tego nie uczynisz.

Zanoszę się szyderczym śmiechem.

– A co za różnica? I tak już... nie ma czego ratować – odpowiadam. – Jestem brudna. Splamiona. Jestem niczym.

Usta Bradleya tłumia moje kolejne słowa. Całuje mnie, tym razem delikatnie. Jego język sunie po moim z niesamowitą czułością. Brad przesuwa dłoń na mój kark, owija palcami pasma włosów. Każdy ten gest, drobny ruch smakuje jakby tajemniczą tęsknotą. Jak gdyby Bradley czekał na właśnie ten pocałunek od wieków. Jakby był on prawdziwszy i ważniejszy niż pozostałe.

I może tak właśnie jest. Bradley czekał. Czekał, aż wygrzebię się z tych wszystkich kłamstw i iluzji, które stworzył mój mózg.

Amnezja dysocjacyjna. Wyparcie zbyt traumatycznych faktów, by ratować psychikę przed całkowitą destrukcją.

Rzeczywistość zastąpiłam wygodną ułudą. Wmówiłam sobie, że tamtego dnia po wyjściu z baru z Enzo wróciłam do domu. Pozostałe luki były nieważne. Ignorowałam je, bo...

Musiałam w to wierzyć... Żeby żyć.

– Nigdy więcej tego nie powiesz – odzywa się Bradley, wrywa mnie ze szponów demonów i obdarza ciepłem. Potem zasysa moją dolną wargę między zęby. Uśmiecha się odrobinę.

– Jak możesz to robić? – szepczę. – Jak możesz mnie całować? Dotykać?

– Robię to, bo cię pragnę. I nie potrafię cię powstrzymać – wyznaje. – Nawet jeśli wiem, że mogę cię tym skrzywdzić.

– Nie skrzywdziłeś mnie.

Z jakiegoś powodu nie wygląda na przekonanego.

– Wspomnienie wróciło, kiedy cię dotykałem. – Gładzi opuszkami moje udo.

Czuję ucisk w sercu, gdy dociera do mnie, że ma wyrzuty sumienia.

Zmuszam się do uśmiechu, ale łzy i tak uciekają kącikami oczu.

– To nie ma nic wspólnego z tobą. Twoja bliskość mnie uspokaja. Nawet teraz. – Przytulam policzek do jego torsu. – Możesz... mnie mocniej przytulić? – Głos mi się załamuje.

Bradley sięga po swoją kurtkę i okrywa nią moje nagie ciało.

– Nie płacz. – Całuje mnie w czubek nosa. – Ten skurwiel nie zasługuje na twoje łzy.

Gdy tylko słyszę te słowa, w wyobraźni znów pojawia się oblicze Enzo. Zwijam się w kłębek przy ciele Bradleya.

– Zabiłeś go?

– Nie. Chociaż niewiele brakowało – stwierdza. Nagle cały emanuje czystą nienawiścią. – Chcesz tego? Zabić go? Zemścić się? Poproś mnie tylko, a...

– Nie jesteś taki jak on – wtrącam.

Jakaś część mnie pragnie zemsty tak bardzo, że aż mnie to przeraża. Podoba mi się wizja połamanego i krwawiącego skurwiela skowyczącego z niemocy. Błagającego o litość.

Dokładnie tak jak ja dawno temu.

Ale nigdy nie zrzuciłabym takiego ciężaru na barki najwspanialszego faceta, jakiego poznałam.

– Nie jestem seksualnym dewiantem, ale reszta... Jestem znacznie gorszy – oznajmia.

Nie podoba mi się, że on naprawdę jest o tym przekonany, a ponieważ nie chcę znowu poruszać tego tematu, skupiam się na tym, co muszę wiedzieć.

– Co tam robiłeś? Jak to możliwe, że mnie znalazłeś?

Bradley przełyka ciężko ślinę.

– Druga dziewczyna, którą zamierzał...

– Tak, wiem. Pamiętam ją – przerywam, zanim powie to słowo, z którym nie jestem jeszcze gotowa się zmagać.

– To była moja młodsza siostra.

Z powodu szoku wstrzymuję oddech. Wbijam paznokcie w motocyklową kurtkę.

– O mój Boże. Bradley, tak mi przykro...

Nie mam pojęcia, co zrobić. Jak go pocieszyć, jeśli ten potwór zrobił jego siostrze to, co mnie.

– Cicho. Nie ma najmniejszego powodu, żeby tobie było przykro – mówi, jakby czytał mi w myślach. – Była w niego zapatrzona, zadurzona. Poszłaby z nim wszędzie. Na szczęście napisała do mnie, zanim zdążył ją skrzywdzić. Znalazłem cię, ale byłaś półprzytomna, a potem wszystko wymazałaś ze wspomnień.

Wtedy przypominam sobie tamtą rozmowę o jego wyroku.

Moja siostra zakochała się kiedyś w nieodpowiednim facecie. Na początku nie zwracał na nią uwagi, ale któregoś wieczoru to się zmieniło i od razu potraktował ją jak swoją własność. Tamtego nocy zabrał ją do siebie, ale... coś się wydarzyło. Coś ją wystraszyło i wycofała się, a jemu się to nie spodobało. Nie zamierzał jej wypuścić, dopóki nie dostanie tego, do czego w swoim chorym umyśle miał prawo...

Wpadłem tam w momencie, kiedy miał zamiar ją zgwałcić. I prawie go zatłukłem.

– To o nim mi wtedy opowiadałeś? To przez niego trafiłeś do więzienia. To niesprawiedliwe! – rzucam oburzona. – Uratowałeś mnie. Albo raczej to, co ze mnie zostało.

Duże, ciepłe dłonie unieruchamiają moją szyję. Gładzą miejsce, gdzie bije przyspieszony puls.

– Przestań. Nie rób sobie tego.

Patrzę na tatuaże na rękach Brada. Litery układające się w słowa pochodzące z jakiegoś obcego języka, oprócz nich są rysunki. Ciało Bradleya pokrywa wiele malunków przedstawiających bestie, pochodzące z mitów albo siejące grozę w naszym świecie, jak na przykład lew umazany krwią ofiary.

To piękne tatuaże, ale jednocześnie drastyczne w swoim przekazie, a najbardziej martwi mnie to, że Brad zrobił je wszystkie, bo się z nimi utożsamia.

– Nie chcę już rozmawiać. Nigdy więcej nie będziemy o tym mówić – odzywam się, starając się brzmieć bezkompromisowo.

– Spychanie tego z powrotem w ciemny kąt to nie jest rozwiązanie – stwierdza. – To, co ci się przytrafiło, w żaden sposób nie umniejsza twojej wartości.

Oczywiście, że umniejsza. Tylko że nie o to chodzi. Bradley mnie ocalił, a ja jestem mu za to wdzięczna, ale też staram się ze wszystkich sił nie dopuszczać do siebie myśli, że natrafił na mnie tylko dlatego, że Enzo uwięził również jego siostrę. Gdyby tak się nie stało, może nikt nigdy by mnie nie znalazł i dlatego... Boże, to straszne, ale czuję ulgę, cieszę się, że Enzo porwał jeszcze kogoś. Mimo że wiem, co by zrobił tej dziewczynie.

Jestem... jestem podła.

– Nie dotykaj mnie. Nie chcę być teraz dotykana! – krzyczę i próbuję się podnieść, odsunąć. – Czuję odrazę.

Bradley też wstaje. Nie pozwala mi odejść.

– Zmyję jego usta z twojego ciała, zastąpię jego dłonie własnymi. Pozwól mi... – prosi, nieświadomy moich rozterek. – Żałuję, że nie mogę ci pokazać, jak cię widzę. Jak bardzo jesteś idealna.

Cieszę się, że Enzo planował zgwałcić też twoją siostrę.

Dalej jestem idealna?

Usta Bradleya suną pieszczotliwie wzdłuż mojej skroni, potem po szczęce.

– Przestań. Nie rób tego. – Znowu go odpycham. – Nie chcę tego słuchać.

– Savannah...

– Powiedziałam nie. – Wybiegam z kuchni – Nie. Zostaw mnie. – Ból w stopach sugeruje, że nastąpiłam na jakieś fragmenty potłuczonych szklanek, ale lekceważę to.

Gardzę sobą. Zasługuję na cierpienie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Na oślepiec wspinam się po schodach, kilka razy upadam. Biegnę do swojej sypialni, byle znaleźć się z dala od jego oczu.

Czuję... zbyt wiele, muszę to wyciszyć i w pierwszym odruchu rzucam się w stronę szafki nocnej, w której mam fiolkę z lekami uspokajającymi. Zwykle zażywam je po sennych koszmarach.

Nie, rzeczywistych, jak się okazuje.

Dwie pastylki wypadają mi na dłoń, ale zanim daję radę włożyć je do ust, Bradley wytrąca mi je z ręki. Tabletki turlają się po podłodze. Gdy podejmuję kolejną próbę, Brad odbiera mi buteleczkę i wrzuca do swojej kieszeni. Następnie odwraca się w stronę wyjścia.

Sukinsyn nie rozumie, jak bardzo ich potrzebuję. Prawdopodobnie więcej niż dwóch. Więcej niż mieści całe pudełko.

– Chcesz, żebym sobie poszedł?

Zagrzebuję się pod kocem, gdy Bradley staje w progu mojej sypialni.

– Tak – odpowiadam.

Nie. Wcale nie. Potrzebuję go, ale czuję się fatalnie. Jestem rozbita i wycieńczona.

Bradley wchodzi w głąb mojego pokoju krokiem drapieżnika wkraczającego na terytorium, które zamierza zawłaszczyć. Włożył już spodnie, ale nie pofatygował się sięgnąć po koszulkę.

– Trudno, będziesz musiała jakoś znieść moją obecność, bo nie zostawię cię samej – mruczy. – Chcę ci coś dać. – Sięga do szyi i ściąga wisior zaczepiony na rzemieniu. – Niebezpieczny, bardzo ostry na krańcach, ale wykuty z kamienia, który przynosi szczęście – dodaje i wręcza mi go.

Obracam w palcach trójkątną zawieszkę przypominającą wielki ząb. Kamień jest niezwykle czarny, wyszlifowany, osadzony w złocie.

– Przynosi szczęście? – powtarzam. – Nie chcę ci psuć nastroju, ale raczej kiepska z ciebie dobra wróżka.

– Żadna niespodzianka. Od zawsze przynoszę raczej pecha. – Odbiera mi zabójczą błyskotkę i zawiązuje na moim karku. – A czasem jestem wręcz świetny w rujnowaniu dobrych rzeczy.

– Podczas napadów – odgaduję niepewnie. – To zaburzenie... skąd ono się wzięło?

Bradley przeczesuje swoje ciemne włosy i wzdycha.

– Po prostu jestem pojebem. Nie ma co szukać dla tego wyjaśnień, już ci to tłumaczyłem.

Ciągnę go za rękę i zmuszam, by usiadł przy mnie na łóżku.

– Chodziłam kiedyś na terapię. Poznałam tam dziewczynę, która miała podobne problemy z agresją. Wiem, że taka dolegliwość nie powstaje przypadkiem. Często jest następstwem traumy. – Przyciskam dłoń do jego torsu. – Więc jaka jest twoja historia?

Bradley przykrywa moje palce swoimi, ale po sekundzie zabiera moją rękę ze swojego ciała i odkłada na koc.

– Zostaw to.

Wściekłość od nowa zaczyna buzować w moich żyłach.

– Poważnie? Nie masz nawet jaj, żeby mi opowiedzieć o sobie, chociaż wiesz o najgorszej rzeczy, jaka mnie spotkała? – wytykam. – To jak mam ci ufać? Jak mam wierzyć, że to, co mnie spotkało, nie ma dla ciebie znaczenia, skoro to, co spotkało ciebie, tak bardzo cię definiuje?

Brad nic nie mówi i nawet na mnie nie patrzy, a ja czuję się jak idiotka.

Podciągam wyżej puchowe okrycie, wyklinając się za to, że jestem pod nim kompletnie naga, a ponieważ ogarnia mnie zbyt wielka nieśmiałość, by się przy Bradleyu teraz ubierać, to muszę taka pozostać. Zwłaszcza że najwyraźniej dałam się nabrać. Bradley wcale nie uważa, że... że wciąż mogę być cenna. Po prostu się nade mną lituje, ale tak naprawdę już mnie nie chce.

– To nie to samo. Jeśli ci powiem, nie zyskam twojego zaufania – odzywa się z wahaniem. – Stracę je.

Jasne. Nieważne. Wiem już wszystko.

– Nie zamierzam cię prosić, żebyś mi opowiedział, ale wiedz, że mnie rozczarowałeś – szepczę, skubiąc niteczki koca.

Czyli to jednak koniec. Kiedy Bradley wyjdzie z tego domu, już nie wróci. Nie warto.

Łzy znowu zaczynają szczypać mnie w oczy, a ja zastanawiam się, jak sprawić, żeby sobie poszedł, jednocześnie nie ujawniając, że złamał mi serce.

– Kiedy byłem dzieckiem, ojciec udusił moją matkę. Przy mnie.

Wciąż lekko szumi mi w uszach i jestem nieco roztargniona, więc w pierwszym momencie wydaje mi się, że się przesłyszałam, ale wyraz twarzy Brada jest taki...

– O Boże – szepczę wstrząśnięta. – Jak? Dlaczego?

– Bo mój ojciec też jest pojebem. To szaleniec. – Podnosi głos, ale zaraz znowu cichnie. – Pamiętam... – Urywa.

Napinam się jak struna.

– Co?

– Kiedy ją dusił, przykładął mój palec do miejsca, gdzie powinien być jej puls – chrypi i odwraca wzrok w stronę okna. Zanosi się na ulewę. – Aż go nie było.

Chłód pokrywa moje wnętrze. Wyobrażam sobie Bradleya jako małego, niewinnego chłopca, który musiał doświadczyć czegoś tak okrutnego. Jak się czuł, gdy rozpaczliwie chciał pomóc matce, a mógł tylko patrzeć, jak ojciec ją morduje?

– Bradley...

– Nieźle, co? – pyta z nutą cynizmu. – Płakałem, krzyczałem. Próbowałem go powstrzymać, ale nie dałem rady. Pozwoliłem mu ją zabić.

– To nie twoja wina.

Chwyta mnie za szczękę. Uścisk jest prawie bolesny.

– Pozwoliłem mu ją zabić... – Akcentuje słowo po słowie i przytrzymuje mnie jeszcze mocniej. – Kurwa mać. – Puszczą moją twarz, gdy dociera do niego, z jaką siłą mnie trzyma. Próbuje wstać, ale tym razem to ja mu nie pozwalam. Wskakuję na jego kolana i owijam nas ciepłym pluszem.

Żadnego dystansu.

Całuję go w kącik ust, a potem sunę nosem po jego szyi i mostku.

– Przestań to powtarzać. Byłeś tylko dzieckiem. Tobie też mógł zrobić krzywdę – mówię.

Bradley wciąż unika mojego spojrzenia.

– Jestem taki jak on – oznajmia posępnym tonem. – Dokładnie taki sam.

– Bzdura. Nie jesteś...

– Mój ojciec to psychol, który nie kontrolował wybuchów agresji i miał skłonności do przemocy. Nie brzmi znajomo? – Zanoszą się śmiechem. – Może mamy ten sam zębany gen – dodaje.

Próbuje udawać obojętnego, sprawiać wrażenie nietykalnego. Chyba od lat odgrywa tę rolę, ale ja i tak go widzę. Lepiej niż inni. Może przez to, czego sama doświadczyłam. Dostrzegam, jak nadal się tym katuje.

Wodzę opuszkami po zarysach jego tatuaży.

– On był sadystą. Zwykłym potworem – przekonuję. – Ty cierpisz przez to, co zrobił. Ty mnie uratowałeś. Ty o mnie walczyłeś. Ty nie pozwoliłeś mi się poddać.

Bradley zatrzymuje moje ręce błędzące po jego opalanej skórze, obejmuje mnie i sadza obok, a następnie podrywa się na nogi i podchodzi do okna.

Fatalna pogoda chyba przemawia do niego lepiej niż ja.

Obserwuję, jak bębni palcami o uda, wydaje się ożywiony jak narkoman po dawce kokainy.

– Moja matka też nie chciała dostrzec prawdziwego oblicza tego szaleńca – rzuca. – A ja jestem zbyt wielkim egoistą, by cię zostawić. Nie zrobię tego, dopóki mnie o to nie poprosisz.

Dociera do mnie, że Brad nie patrzy na deszcz dudniący o szyby ani na zachmurzone niebo zwiastujące wieczorną burzę. Nie, on patrzy na zdjęcie na ścianie. Mój portret, gdy byłam nastolatką. Jeszcze sprzed... Enzo. Na fotografii mam na sobie sukienkę w kolorowe romby i szczerzę zęby, pałaszując kawałek tortu urodzinowego.

Zabawne, jak bardzo teraz tamto życie wydaje się nie moje.

– Nigdy cię o to nie poproszę – obiecuję. – Co się z nim stało? Jest w więzieniu?

– W szpitalu psychiatrycznym. Pewnie nigdy stamtąd nie wyjdzie. I dobrze.

Owijam się kocem, związuję go z przodu jak sukienkę, by mi nie spadł, i podchodzę na tyle blisko mężczyzny, by móc wtulić się w jego plecy.

– Bradley?

– Tak?

– To nie ty. Wiem to – mówię mu do ucha. – Czuję to.

Obraca się, by wreszcie na mnie spojrzeć. Oczy nadal pozostają pociemniałe, jednak część pustoszącej go destrukcji zniknęła.

– To mnie przeraża.

Podejmuję kolejną próbę dotknięcia go i tym razem, gdy tylko unoszę dłoń, Bradley przekrzywia głowę, by naprzec na moją rękę. Szuka jej.

– Co?

Opuszcza powieki. Jego jabłko Adama wibruje, kiedy kilka razy rozchyła i zaciska z powrotem usta.

– Że w końcu... – wykrztusza niemal bezgłośnie. – Ja też zabiję kogoś, kogo kocham.

– Skarbie, nie...

– To mi się śni po nocach. I sprawia, że jeszcze bardziej mi odbija – ciągnie. – Zabijam... Moją młodszą siostrę. Braci. I...

– I...?

Czuję, jak przez jego ciało przechodzi dreszcz.

Szare oczy, mętne, o lekko poszerzonych tęczęwkach, patrzą w moje. Są nieobecne. Widzą jakąś straszną wizję.

– I ciebie – kończy.

Nie. Dobry Boże. Nie mogę pozwolić, by to sobie wyobrażał. By się tym torturował.

Co oni mu zrobili? Jego ojciec. Więzienie... Ludzie, z którymi musiał się tam zadawać tylko dlatego, że ochronił siostrę i nieznaną wówczas kobietę przed zwyrodnialcem. Łamali go tyle razy i na tyle sposobów, ale on przetrwał. Powinien być z siebie dumny, a tymczasem...

Ciągnę go za włosy i całuję.

– Ufam ci, Bradley. I nie boję się ciebie.

Powtarzam to wciąż i wciąż między pocałunkami, dopóki jego stwardniałe mięśnie nie zaczynają się rozluźniać.

Gdzieś w oddali rozlega się grzmot, ale łomotanie mojego serca skutecznie go zagłusza.

– Obiecuj mi coś.

– Co?

Teraz przysięgłabym mu wszystko.

– Nie zakochaj się we mnie.

Aha. Jednak nie wszystko.

Nie do końca wiem, jak mam zareagować na ten rozkaz. Intuicja podpowiada mi, że Bradley uważa, że na mnie nie zasługuje, i kieruje nim właśnie ta myśl, dlatego staram się nie czuć się urażona.

Samoobrona. Rzucam we wredną, seksowną twarz Bradleya jedną z miliona moich maskotek.

– Oczywiście, że się w tobie nie zakocham. – Postanawiam obrócić wszystko w żart. – W ogóle nie jesteś romantyczny.

Bradley marszczy brwi. To wyraz milczącej reprimendy. Schyla się, by podnieść miśka z podłogi i wtedy uzmysławiam sobie mój ogromny błąd.

Pod łóżkiem jeszcze są te jego nagie, prawie pornograficzne plakaty, którymi jakiś czas temu obwiesił moją sypialnię w ramach prezentu.

Nie wolno mu ich zobaczyć, bo do końca świata będzie się puszył jak paw, wmawiając mi, że oglądam go na zdjęciach pod osłoną nocy. Co w sumie nie jest dalekie od faktów, ale...

– Mówię poważnie, Savannah. – Jego głos brzmi oschle.

Zachowuje się jak totalny dupek. Teraz jeszcze obrzuca mnie spojrzeniem w stylu „nie chcę miłości”.

Zostaw to. On potrzebuje twojego wsparcia tak jak ty jego.

– Co jest najgorsze? Gdy przychodzi napad? – dociekam, świadoma, że Bradley chce już uciąć ten niekomfortowy temat.

Wypuszcza długi oddech i opada plecami na moje łóżko. Krzyżuje ramiona pod głową. Nie robi nic więcej, a i tak wygląda niczym król nieprzyzwoitości.

– To, że teraz, w tej chwili, gdy ta część mnie jest uśpiona, wcale tego nie chcę. Nie chcę żadnej z tych rzeczy.

– Wiem.

Bradley uśmiecha się, ale w jego oczach nie ma wesołości.

– Nie, nie rozumiesz. Nie chcę tego. Kłótni, rozwalania wszystkiego, co mi wpadnie w ręce, bójkę, przemocy, ale...

– Ale co? – Wymijam go i idę do garderoby, by narzucić coś na siebie. Naprawdę nie powinnam dłużej paradować zawinięta w koc niczym naleśnik, a może, gdy przestanę okazywać, jak bardzo przejmuję się tą rozmową, Bradleyowi będzie nieco łatwiej o tym mówić.

Tylko że gdy chodzi o niego, zupełnie nie umiem utrzymać na twarzy maski. Wszystko we mnie kipi z potrzeby, by dodać mu otuchy, by wyzwolić go z pętli makabrycznej przeszłości.

– Jest też taka chwila, w której mi się to podoba – zaczyna i muszę wstrzymać oddech, by rozróżnić jego niezwykle ciche słowa. – Przez krótki moment czerpię z tego przyjemność. I nienawidzę tego. Nienawidzę tego, kurwa, całym sobą – dodaje głośniejszym głosem. Zaciśka dłonie na mojej pościeli, ale się nie rusza. Czeka. Z łatwością odgaduję na co, bo on właściwie zawsze oczekuje tylko jednego. Potępienia i kary.

– To...

Jak ja mam na to odpowiedzieć? Podczas epizodów na sekundę, a może nawet kilka, rzeczywiście się w tym zatracam.

– Co? Wciąż się nie boisz? – pyta zadziornie.

Właśnie o to chodzi, że chyba powinnam. Przynajmniej trochę, ale... nie czuję lęku. Jestem zdeterminowana, żeby poprawić mu nastrój, dlatego też mówię bardzo głupią i bardzo szczerą rzecz:

– Myślę, że jednak nie zdołam się w tobie nie zakochać.

A potem robię jeszcze głupszą. Wyciągam spod łóżka rulonik jego fotografii. Ujawniam wstydlivy sekret.

– Sava...annah. – Jąka się w uroczy sposób, wpatrując się w plakaty. – Ty też jesteś wariatką. – Szare oczy iskrzą się ciepłym blaskiem, błyskawicznie przepędzającym ciemność, a potem w nagrodę dostaję powolny, łobuzerski pocałunek.

Rozdział dwudziesty czwarty

Otwieram wielkie drzwi, a kwiatowy zapach wydobywający się z wnętrza pomieszczenia od razu atakuje moje nozdrza. Przypomina wybitnie drogie perfumy na bazie jaśminu.

Beżowo-złote ściany dodają salonowi wyrafinowanego wyglądu, a intensywne oświetlenie w postaci dziesiątek lamp sprawia, że rozstawione tu kreacje niemal lśnią.

Wspaniale.

Tylko ponurak za mną psuje ogólny nastrój.

A także to dziwne wrażenie przylegające do mojego kręgosłupa czy rozpylone w powietrzu – jakby ktoś mnie śledził. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale za każdym razem, gdy zerkam na tłumy przechadzające się za oknem, tak właśnie czuję.

– To jest dziwne – odzywa się Bradley, a w jego głosie pobrzmiewa skrępowanie.

Na litość boską, zachowuje się co najmniej tak, jak gdybym wciągnęła go do podwodnej groty pełnej głodujących rekinów, a weszliśmy tylko obejrzeć kilka sukienek.

No dobra, sukni – ślubnych – ale to naprawdę nie jest jakiś utajniony zamach na jego niezależność.

– Dlaczego faceci tak świrują przez wszystko, co wiąże się ze ślubem? Czy ja cię proszę, żebyś biegł teraz do jubilera i kupował mi pierścionek zaręczynowy? – burczę, zerkając na niego.

Bradley stoi krok ode mnie i wędruje wzrokiem pomiędzy mną a osaczającymi go zewsząd białymi kreacjami. Robi podejrzliwą minę.

– Czy to aby na pewno nie jest podchwytliwe pytanie? – docieka.

Wymyka mi się chichot.

– Nie, nie jest. Po prostu chcę ją obejrzeć. – Dotykam palcami najbardziej zjawiskowego okazu w salonie. – To piękna suknia ślubna. Idealna.

Kreacja, którą zauważyłam na wystawie, nie wygląda jak klasyczny damski strój ślubny. Oczywiście jest długa, jej krańce ciągną się po ziemi, i rozłożyła, ale biały materiał obszyty jest koronką połyskującą na splotach. Wygląda to tak, jak gdyby złapano w nią gwiazdy, a one próbowały się przebić przez warstwę falban. Mogłabym ją włożyć, a potem dosiąść jakiegoś skrzydlatego jednorożca i ulecieć prosto do chmur. Już prawie dzielę się swoją absurdalną wizją z Bradem, ale on odzywa się pierwszy.

– To dziwne.

– Na miłość boską, Bradley, przestań.

Słowo, że jeśli jeszcze raz to powtórzy tym marudnym tonem, to wsadzę mu moją niebotycznie wysoką szpilkę w dupę.

– Będziesz chciała ją przymierzyć? A czy to nie przynosi czasem pecha? Mierzę go karcącym spojrzeniem.

– Za moment ja będę odpowiedzialna za twojego pecha. A konkretnie moje kolano będzie odpowiedzialne za twoje pechowo kopnięte jaja.

To go rozbawia.

– Witam państwa. Może w czymś pomogę? – pyta kobieta, niespodziewanie pojawiająca się przy naszym boku. Ma na sobie elegancką liliową garsonkę i sznur pereł.

No tak, weszliśmy do jednego z najdroższych sklepów, a ja się dziś nie wystroiłam. Mam na sobie rozciągnięty sweter i legginsy. Dziwne, że jeszcze mnie nie przepędziła, bo wcale nie wyglądam, jakbym pochodziła z wyższej klasy, która może sobie pozwolić na zakupy tutaj.

– Dziękuję. Tylko przechodziłam. Suknia z wystawy zwróciła moją uwagę. Wygląda magicznie.

Sprzedawczyni uśmiecha się uprzejmie.

– Dostarczono ją dosłownie kilka minut temu i spodziewamy się, że jeszcze dziś ktoś stanie się jej szczęśliwym posiadaczem. Budzi sensację.

– Tak, sensacje żołądkowe – wtrąca Bradley, nim zdołam otworzyć usta.

Trącam go łokciem w żebra.

– Niech go pani ignoruje. On tak głupio żartuje – warczę, ale zaraz wracam do pogodnego głosu.

Założę się, że suknia przyciąga tłumy kobiet, choć jestem pewna, że te przechwałki mają ukryty cel – kobieta chce mi przekazać, że taka kreacja sprzeda się migiem, więc jeśli ją chcę, muszę natychmiast sobie wyczarować złotą kartę kredytową.

– Każdy przyszedły pan młody denerwuje się takimi rzeczami, ale pana narzeczona to piękna kobieta...

Bradley blednie w ułamku sekundy.

– Aha. Widzisz? Myślą, że jesteśmy zaręczeni – rzuca oskarżycielsko w moją stronę. – I jak mam nie podejrzewać, że to jakaś ukryta sugestia?

Kobieta przy nas odrobinę się peszy.

– Przepraszam, myślałam... Zwykle stroje przychodzą oglądać pary. – Wygląda nerwowym ruchem swoją spódnice.

– Nic nie szkodzi – uspokajam ją, a potem zwracam się do dupka o imieniu na B. – Idź sobie. Możesz poczekać na zewnątrz.

Bradley wkłada ręce w kieszenie. Cały ubrany na czarno, z tymi swoimi tatuażami i upiornymi wisiorami na szyi, przypomina raczej gangstera, który mógłby tu zbłądzić wyłącznie w celach rabunkowych.

– Nigdzie nie idę. To po prostu jest...

– Jeśli powiesz „dziwne”, to przysięgam, rzucę czymś w ciebie – wtrącam.

W kąciку jego ust czai się uśmiezek, który próbuje powstrzymać.

– Okej. Wskakujesz do przebieralni?

– Nie. Nie muszę jej wkładać. Przecież nie jest mi potrzebna. Chciałam tylko ją zobaczyć – mruczę, ale i tak nie udaje mi się powstrzymać pełnego zawodu westchnienia.

Bradley przypatruje mi się intensywnie, a potem dotyka połyskującej białej koronki.

– Dlaczego? Czemu akurat ta?

Cholera.

Opuszczam brodę. Tym razem to ja czuję się zażenowana.

– Wygląda jak suknia ślubna mojej mamy. Kiedyś, jak byłam młodsza, myślałam, że pewnego dnia pójdę w niej do ślubu – wyznaję. – Potem okazało się, że Erick ją wyrzucił. Nietrudno zgadnąć, że nigdy nie był jakoś szaleńczo zakochany w mamie.

W wyobraźni miga mi wspomnienie matki w identycznej kreacji. Była wtedy taka szczęśliwa, że nawet gdy przyłapała mnie w nocy na przymierzaniu jej, nie zbeształa mnie, choć mało brakowało, bym ją podarła.

– Przykro mi. – Bradley przywraca mnie z powrotem do rzeczywistości. – Jeśli kojarzy ci się z czymś ważnym, tym bardziej powinnaś ją kupić. Przecież możesz. – Chwyta mnie w tali i gładzi dół pleców.

– Nie. Nie. To byłoby głupie – oponuję.

Prawda jest taka, że bardzo mnie kusi, żeby ją nabyć. Mimo że to niedorzeczne, na myśl, że będzie ją miał ktoś inny, czuję się... smutna.

Zwykle nie wspominam mamy, umarła już dawno temu, a ja jakoś sobie radzę, ale ta jedna chwila... tutaj, teraz... rani mnie, ale też goi coś we mnie. Może dlatego, że chciałabym uważać suknię za znak obecności matki.

– No to chociaż ją przymierz – namawia Bradley. – Poważnie, zrób to. To tylko kilka minut, a ja już nie czuję się tak, jakby szalony boa dusiciel oplatał mi się wokół szyi.

Uśmiecham się, wzruszona tym, jak łatwo mu przychodzi zrozumienie mnie i moich emocji. Z taką lekkością mnie rozbraja. Czy ktoś kiedyś dał mu instrukcję obsługi mojego serca?

– Co za ulga. – Cmokam go szybko w usta. – Dobra. Przymierzę ją. Czekał tu.

Bradley saltuje mi dowcipnie.

– Wedle rozkazu.

Odnajduję panią, która nas przywitała, a ona od razu ściąga suknię z manekina i zanosi ją do przebieralni. Nie chcę się ociągać i kazać Bradleyowi czekać, wiem, że nie jest to dla niego wymarzona rozrywka, więc staram się szybko włożyć to ślubne cudo, ale kilka razy mimowolnie przyłapuję się na tym, że głaszczę materiał i zbyt długo gapię się na swoje odbicie w lustrze.

Przypominam ją. Naprawdę. To znaczy mama nie miała czerwonych włosów, były rude jak Kiry, ale reszta... Łzy zawisają mi na końcówkach rzęs.

Jestem najmłodsza z rodzeństwa. Gdy ojciec wreszcie postanowił sformalizować ich związek i się oświadczył, a potem wzięli ślub tylko dlatego, że nagle stał się korzystny dla jego reputacji, miałam pięć lat. I dziesięć, kiedy odeszła. Tylko dziesięć.

Nie becz, mięczaku.

– Mam małe trudności ze zmieszczeniem w nią cycków – wołam, by skontrolować, czy Bradley nie postanowił już zwać.

– Bardzo chętnie ci pomogę – oferuje ze szczyptą kokieterii w głosie. Szarmancki jak zwykle.

– Wielkie dzięki. Dam sobie radę.

– A może powinnaś od razu włożyć do niej jakąś seksowną bieliznę? Zauważyłem, że w dziale obok jest jej pełno.

Zanoszę się śmiechem.

– Oczywiście, że to akurat zauważyłeś.

Gdybyśmy poszli oglądać fikuśne komplety, a nie stroje ślubne, Bradley na pewno byłby w swoim żywiole.

– Są też podwiązki. Przynieść ci jakieś?

– Nie.

– Założyłbym ci ją zębami. – Nie daje za wygraną. – To byłaby fajna zabawa. Potem moglibyśmy...

– Co i komu zakładałbyś zębami?

Jego wywód, pobudzający moje fantazje, przerywa jakaś kobieta. I na pewno nie jest to ekspedientka.

– Quinn, skąd ty się tu wzięłaś?

Kim, u diabła, jest Quinn?

Zapinam ostatnie guziczki sukni, by móc jak najprędzej wyjść z przebieralni.

– Lepsze pytanie brzmi, skąd ty się wzięłaś w salonie ze strojami ślubnymi – pyta nowo przybyła. – Żenisz się?

Słyszę w jej głowie ciepło i zarazem uszczypliwość mówiącą mi, że muszą się dobrze znać, skoro tak sobie żartują. Czy to znowu jakaś była dziewczyna?

– Co? Nie! – wypluwa natychmiast Bradley – Zwariowałaś?

Tak. Jego reakcja zdecydowanie nie poprawia mi nastroju. Wygląda na to, że wolałby leżeć pośród płonących węgli, niż stanąć na ślubnym kobiercu. A może... to przez tę paniusię? Może próbuje zasygnalizować, że wciąż jest wolny, dostępny i chętny na figle.

Wyskakuję z przebieralni i od razu przystępuję do ataku.

– Co ty robisz?

Bradley mruga, skanując wzrokiem moją sylwetkę.

– Łał, o kurwa. Wyglądasz niesamowicie. – Drapie się po kilkudniowym zaroście. – Nie spodziewałem się, że...

– To fenomenalnie, że się tego nie spodziewałeś – syczę, układając ręce na biodrach. – Nie chcesz mnie przedstawić?

Bradley znowu mruga. Wydaje się skonsternowany.

A mnie się zdaje, że zaraz się solidnie wkurwię.

Ta... piękna, niestety, kobieta wciąż poufale uwieszona jest na jego szyi i szczerzy do mnie swoje idealne uzębienie.

– Przedstawić? – powtarza Bradley, wciąż się na mnie gapiąc.

Jaja sobie robi?

– No wiesz, tej pani owiniętej wokół ciebie – warczę.

Zalewa mnie zazdrość i sprawia, że widzę na czerwono. I dopiero wtedy Bradley łaskawie przypomina sobie o swojej przyklepnej przyjaciółce.

– Ta kobieta owinięta wokół mnie to moja młodsza siostra – oznajmia. – Quinn, to Savannah, moja dziewczyna. I nie zamierzałem stwierdzić, że nie spodziewałem się, że będziesz wyglądać niesamowicie w tej sukni. Chciałem powiedzieć, że nie spodziewałem się, że widok kobiety w sukni ślubnej kiedykolwiek może wydawać mi się tak cholernie podniecający – dodaje wniebowzięty. W szarych tęczęwkach tli się pożądanie.

Tak, z pewnością jest podrajcowany. I z pewnością rozkoszuje się teraz moim idiotycznym pokazem zaborczości. Nic nie mówi, ale wiem, co chciałby dodać.

Brawo, Savannah, teraz już nie tylko on wie, że ma władzę nad twoimi uczuciami.

Mam ochotę zapaść się pod ziemię, ale Quinn wybawia mnie z niezręcznej sytuacji.

– Odłotowo. Bardzo miło mi cię poznać. – Wyciąga do mnie dłoń. – A ty nie bądź obrzydliwy. Nikt tu nie chce słuchać o rzeczach, które przyprawiają cię o erekcję.

Ja tam nie mam nic przeciwko słuchaniu o tym.

– Ciebie też miło poznać – odpowiadam i ściskam jej rękę.

A więc to ona. Jej postać nie zachowała się zbyt wyraźnie w moich wspomnieniach.

Damska kopia Bradleya patrzy na mnie z zaciekawioną, jakby jeszcze mnie nie skojarzyła z naszego wspólnego piekła, ale wiem, że niedługo sobie przypomni, skąd zna moją twarz. Nie chcę tej chwili.

– Kupimy ją? – odzywa się Bradley, wskazując suknię.

My. Kupimy.

Motyle trzepoczą mi w żołądku, a ja czuję się trochę za bardzo pijana z radości spowodowanej tym doborem słów. To nic takiego, wiem, ale... Teraz jeszcze bardziej chcę ją kupić. Z nim.

Szlag. Co ty wyprawiasz, Savannah? To nie jest żadne wielkie romantyczne wydarzenie.

Uświadamiam sobie, że znowu się zapędziłam i zmuszam się, by potrząsnąć głową.

– Nie. Jest śliczna i tak dalej, ale nie chcę, żeby przez lata wisiała w szafie i czekała na coś, co może się nie zdarzyć – mówię, siląc się na lekki ton. – Niech przyniesie szczęście jakiejś zakochanej parze.

Tak. To właściwy ruch. Właściwy.

Quinn spogląda na mnie i na brata. Ma zagadkowy wyraz twarzy.

– Szkoda. Bo wyglądasz w niej jak księżniczka – rzuca tylko.

– Powiedziała dziewczyna o królewskim imieniu.

– To się pisze inaczej.

– Wiem, ale brzmi tak samo.

Dziewczyna przerzuca swój niemal złoty warkocz na plecy.

– Ciągle to słyszę. – Udaje zrezygnowaną. – O, tam są nasi bracia. Zauważyli nas. Idą tu. Będzie super, kiedy ich poznasz. Nic nie wiedzieliśmy o tym, że Brad ma dziewczynę, z którą kupuje suknie ślubne – świergocze i puszcza do Bradleya zawadiacko oczko.

Aha. Ta mała uwielbia dopiekać swojemu bratu. Być może wszystkim braciom, których właśnie obserwuję przez sklepowe okno.

Trzech mężczyzn, wyglądających niemal jak klony Bradleya, stoi na chodniku kilka metrów od wejścia. Wszyscy patrzą na mnie.

Bo jestem w sukni ślubnej.

I w objęciach Bradleya.

– Kurwa – klnie Brad pod nosem, a ja i Quinn zaczynamy chichotać.

Rozdział dwudziesty piąty

Posiłek z rodzeństwem Bradleya to jedno z większych wyzwań, jakim musiałam sprostać. Jego siostra patrzyła na mnie, jakbym była objawieniem, odpowiedzią na jej modły, a jego bracia dziwili się za każdym razem, gdy Brad wykonał jakikolwiek czuły gest czy się uśmiechnął.

Kilka razy padło wypowiedziane zaszokowanym tonem zdanie: „Jest taki spokojny”, poza tym „pogodny, opanowany”.

Nie, według mnie nie bardzo. To znaczy nie wiem, jaki jest Bradley, skoro tak bardzo byli dziś zaskoczeni, ale on wcale nie jest opanowany, spokojny czy pogodny.

To cholerne tsunami. Nigdy nie wiadomo, kiedy się obudzi i pochłonie cię tak bardzo, że nie będziesz w stanie zaczerpnąć oddechu.

Oni jednak wydawali się traktować mnie jak wybawienie i patrzyli na swojego brata jak na obcą osobę.

Czy ich relacje w rzeczywistości były tak bardzo napięte?

Quinn cały czas trąkotała o występkach Bradleya, a jej bracia tręcili ją pod stołem, by zamilkła, jakby spodziewali się, że po jej rewelacjach zechcą znaleźć się z dala od Bradleya.

Niestety to on się ulotnił, a potem wrócił, dopił mojego drinka i bez słowa porwał mnie ze spotkania.

– Cholera. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo chciałem cię przelecieć w tej sukni ślubnej – mówi, gdy tylko zamykają się za nami drzwi mojego domu. Bezzwłocznie przypiera mnie do ściany tuż obok nich i...

Niech to, jego erekcja napiera na mnie. Ten facet potrafi napalić się w sekundę.

– Przestań – karczę go, ale zdradza mnie kokieteryjny uśmiech.

Jego ciepły oddech owiewa mi szyję, gdy przesuwając szorstkim zarostem po moim policzku.

– Mówię poważnie. Miałem tam wielki, uciążliwy problem w spodniach.

To by wyjaśniało jego ponury nastrój przez kilka ostatnich godzin i mamrotanie o odrobinie prywatności, kiedy jego rodzeństwo zaprosiło nas do restauracji.

– To przeleć mnie teraz – proponuję niby od niechcenia.

Na wargach pojawia się zakazany uśmiešek.

– Tylko jeśli będę mógł zdjąć z ciebie tę białą suknię – odpowiada.

Wzdycham i wymijam go.

– Nawet jeśli zgodziłabym się pobawić w ten absurd, to i tak nie mam tej sukni. Nie kupiłam jej przecież.

Może jednak powinnam była. Na kiedyś. Przecież nigdy nic nie wiadomo.

Jestem poważnie stuknięta, bo mam wielką ochotę obrócić się na pięcie i biec do tego salonu, zanim ktoś inny zagarnie suknię moich marzeń.

– Wiem, ale ja naprawiłem twój fatalny błąd.

Zamieram na schodach prowadzących na piętro.

– Co takiego?

Bradley podchodzi do mnie, a raczej zakrada się niczym wilk gotujący się do skoku na swoją zdobycz.

– Wróciłem do tego salonu i kupiłem ją, kiedy jadłaś lunch z moim rodzeństwem. – Wyszczera się, przystając o stopień niżej ode mnie. Chwyta mnie pod brodę i całuje krótko w kącik ust.

Na mieście pozbył się swojej kurtki, teraz ma na sobie jedynie ciemnoszary podkoszulek, pod którym odznaczają się wszystkie jego apetyczne mięśnie.

– Chyba... nie mówisz poważnie – zająkuję się.

Jego kciuk wędruje po mojej szyi, zatrzymuje się w miejscu dziko bijącego pulsu. Zatacza tam leniwą ósemkę.

– Śmiertelnie poważnie. Jest w twojej sypialni. Idziesz?

– Ja...

Bradley kupił mi suknię ślubną? To znaczy jasne, kierowała nim jego wyuzdana fantazja seksualna, ale wiem, że zrobił coś tak zwariowanego dlatego, że ta kreacja była dla mnie ważna. Seks w niej to wisienka na torcie.

W przypadku pana Kincaida bardzo smakowita i soczysta.

– Albo nie. Zaczekaj. – Chwyta mnie w pasie. – Powinienem cię tam zanieść – oznajmia, a następnie porywa w ramiona i wspina się na piętro.

Piszczę, a później zanoszę się chichotem.

– Kompletnie oszalałeś, Kincaid. – Zaplatam mu ręce na karku.

– Jeśli mówisz tak już teraz, to ciekawe, co powiesz po tym...

– Po czym...? – Gdy Bradley naciska kłamkę, zerkam w stronę własnej sypialni. – O... ja pier... Kurczę.

Moim oczom ukazuje się scena rodem z komedii romantycznych, które tak uwielbiam.

Na podłodze leżą płatki róż. Biały puszysty dywan, który zwykle ozdabia mój pokój, jest aktualnie skąpany w wonnym szkarłacie, a pod sufitem i na firanach widnieją płataniny małych elektrycznych lampek w kształcie świec.

– Podoba ci się?

Mam ochotę się uszczypnąć, bo, serio, prędeż uwierzyłabym we wróżki, trolle i takie tam niż w to, że ten mężczyzna twardszy od skały zdobędzie się na taki gest.

Ja nawet nie wiem, czy on w ogóle chadzał kiedykolwiek na randki.

– Dlaczego to wszystko zrobiłeś? Przecież...

Przecież to nie ty. Nagie zdjęcia? Jasne. Sprośne zabawki? Oczywiście. Szybki seks nawet w miejscu publicznym? Jak najbardziej. Ale to... To jak

niema deklaracja przywiązania.

– To nasza noc... przedślubna – droczy się.

– My nawet nie jesteśmy zaręczeni.

Uderzenie serca później lecę w dół. Uderzam plecami o materac.

– Znowu ta dziwna ukryta sugestia – mówi, unosząc brew. Do jego tonu wraca udawana czujność.

Co, do diabła? Nabija się ze mnie?

– Masz paranoję. – Opieram się na łokciach, by na niego spojrzeć. – Ale ponieważ jestem zauroczona faktem, że mimo dopadającej cię w tym sklepie paniki wróciłeś tam i sam kupiłeś mi tę suknię, z przyjemnością odegram z tobą to przedstawienie.

Oczy mu błyszczą. Odsuwa się w bok, bym mogła dostrzec fotel za jego plecami, na którego oparciu spoczywa kreacja.

– Nie panikowałem. To było... – Zastanawia się przez moment. –
Badanie gruntu.

Badanie gruntu w jakim celu?

Jeszcze raz rozglądam się po pomieszczeniu, chłonąc widok zapierający dech w piersiach. Mam wrażenie, że przeoczyłam jakiś podstęp. Ukryty motyw tych wszystkich słodkich rzeczy. Dlaczego on to zrobił? Czy... w ten sposób próbuje mi coś przekazać?

– Jasne, prawie zwiąłeś przede mną na inny kontynent. W wyobraźni widziałam cię już pływającego na lodowej krze gdzieś na Grenlandii. –
Próbuję innej taktyki. – A potem robisz coś takiego i...

I chcę myśleć, że mnie kochasz.

– Przebierzesz się w tę suknię czy mam ci pomóc?

A jednak chodzi tylko o urozmaicenie zabaw łóżkowych. Jasne, faceci zawsze bardziej się starają, kiedy w nagrodę czeka ich fajne dymanie.

Przywołuję na twarz sztuczny uśmiech i sięgam po kreację.

– Za minutę wracam. – Znikam w łazience w momencie, gdy Bradley rozchyła usta, by powiedzieć coś jeszcze. Trzaskam drzwiami trochę zbyt mocno.

Z ociąganiem zaczynam się przebierać.

Kilka minut temu byłam pełna entuzjazmu na myśl o zabawie w noc przedślubną, a teraz wkurzam się, że to fikcja.

Unoszę skraj sukni. Sukni, którą powinien zdejmować ze mnie mąż.

Przestań, co cię opętało?

– Jesteś piękna – rzuca Bradley, gdy tylko wstępuję ponownie do sypialni. Trzyma w dłoni małą świeczkę kształtem przypominającą kwiat. Jej płomień kołysze się leciutko.

– Świeczka?

– Dla nastroju. Mam też ją. – Zza pleców wyciąga jeszcze jedną, tym razem w postaci białej róży. – I jego. – Kiwa głową w stronę poduszek.

Zerkam tam i widzę jakiś niewielki przedmiot przyczepiony do szelek z miękkiego materiału.

– Co to jest?

– Wibrujący motylek – wyjaśnia, ewidentnie rozbawiony moim zagubieniem. – Z jego pomocą doprowadzę cię tej nocy do szaleństwa.

Pragnienie rozprzestrzenia się po moim ciele z prędkością pocisku. Miękną mi kolana, ale staram się pozostać niewzruszona. Podchodzę bliżej Bradleya i pochylam głowę, by powąchać różę. W końcu mu ją odbieram.

– Jesteś zbyt pewny siebie. – Odstawiam świeczkę na półkę. Cały czas czuję na sobie jego łakomy wzrok. Jest prawie tak, jak gdyby już mnie dotykał.

Podchodzi do mnie, obejmuje od tyłu, odgarnia włosy na bok i całuje w kark.

– Znam twoje ciało i wiem, jak dać ci rozkosz – szepcze, odwracając mnie ku sobie. – A ty? Jesteś pewna, że tego chcesz? Ostatnio...

– Proszę, nie mówmy o tym. Nie teraz – wtrącam. – Pragnę cię. Mówiłeś, że go ze mnie wymażesz. Pieszczotami, pocałunkami, dotykiem. Zrób to.

Coś się dzieje, kiedy Bradley na sekundę przymyka powieki, a potem znów je uchyla. Jego postawa i spojrzenie łagodnieją.

Zwykle czuję, że odgradza się ode mnie całymi oceanami mroku. Pilnuje, bym nie przekroczyła bezpiecznych dla jego serca granic. Zdaję sobie sprawę z tego, że do tej pory, jeśli tylko by tego chciał, mógłby się wycofać. Porzucić to, co mamy, nie odnosząc przy tym żadnych szkód, ale teraz... Widzę, jak toczy wewnętrzną bitwę o to, by dać mi więcej.

– Chcesz, żebym kochał się z tobą delikatnie i powoli? – pyta w końcu. Jego głos drży niemal niezauważalnie, ale mnie udaje się to usłyszeć.

Zamiast odpowiedzieć, kładę się stercie poduszek.

– Chcę ciebie. Wibrator też może dołączyć – mruczę z uśmiechem.

Bradley nie czeka na kolejne zaproszenie. Opada na mnie, jego cudowny ciężar wbija mnie w materac. Brad atakuje moje usta.

– Od momentu, kiedy się w tobie zanurzyłem, mogę myśleć tylko o tym, jaka byłaś dla mnie ciasna, wilgotna i niecierpliwa – mówi i uruchamia zabawkę. Wibracje motylka sprawiają, że czuję wilgoć gromadzącą się na mojej białej bieliźnie.

Bradley nie próbuje mnie rozebrać. Nie szuka guziczków, zamków ani sznurków gorsetu. Po prostu podciąga biały, połyskujący materiał i wsuwa mi rękę między uda. Tę z zabawką.

Zszokowana zasysam powietrze.

– O Boże.

– Zaciskałaś się na moim kutasie, na moich palcach i na języku, a ja chciałem zadowalać cię wciąż i wciąż od nowa. – Wibrator pieści moją skórę po wewnętrznej stronie ud, kreśli wzory, ale nie przesuwają się wyżej. – Powiedz, że chcesz, żebym pocierał zabawką twoją łechtaczkę i rznął cię językiem w środku – żąda zmysłowo.

Ta wizja nawiedza moją wyobraźnię i natychmiast przesywa mnie dreszcz rozkoszy.

– Chcę.

Bradley uśmiecha się złowieszczo. Przytyka czubek wibratora do mojej cipki, ale prawie od razu go odsuwa.

– Czego chcesz? – nalega.

Pożądanie miesza się we mnie z frustracją.

Bradley powtarza ruch – dotyka mnie i zaraz cofa rękę. Wibrator drga w zmiennym tempie, raz zwalnia, raz przyspiesza.

– Nie mogę, to takie... – Rozkosz rozlewająca się w moim podbrzuszu graniczy z torturą. – Nie rób tak... – proszę, gdy znowu zaczyna masować skórę moich ud tak bardzo blisko łona.

– Będę zmieniał wibracje, dopóki mnie nie poprosisz. Powiedz to – nakazuje, wciskając raz po raz guziczek na pilocie.

Wiję się pod nim, ale moje próby zaznania ulgi zdają się na nic.

– Chcę, żebyś włożył we mnie język – mruczę nieśmiało.

Zażenowanie szybko studzi płonąca we mnie namiętność. Chowam twarz w dłoniach.

– Nie zasłaniaj oczu. Popatrz na mnie. – Bradley odsuwa moje palce. – Czego się wstydzisz?

Odpycham go od siebie, a przynajmniej się staram.

– Nie. Chyba jednak nie mam nastroju – oznajmiam targana gniewem. – Oo! – Motylek ustawiony na najwyższe obroty dotyka mojej łechtaczki.

Z gardła wymyka się zachwycony jęk i wyginam plecy w łuk.

– Na pewno mam przestać? – pyta Bradley. W jego wzroku migają psotne iskierki.

Unoszę głowę i zaciskam zęby z boku jego szyi. Wrywa się, grozi mi palcem i osuwa się, aż jego usta zatrzymują się kilka centymetrów od mojej cipki. Oblizuje się i mruczy, robiąc z tego bardzo seksowny pokaz.

– Przestań gadać albo ja też kupię ci prezent w sex shopie.

Nagle zainteresowany zadziera głowę.

– Jaki?

– Knebel.

– Chcesz się rządzić w łóżku? Grozisz mi cholernym kagańcem, malutka? – Uśmiecha się, jakby znał mój największy sekret. – Pamiętaj, że wtedy nie będę mógł ci zrobić tego. – Nurkuje między moimi udami i od razu nadziewa mnie na swój język.

Krzyczę, wbijając paznokcie w jego głowę. Gładzę Brada po włosach.

– O Boże, tak!

Wibrator w jego ręce naciska perfekcyjnie na mój najwrażliwszy punkt, sprawiając, że cała ociekam wilgocią. Porusza się w górę i w dół w tym samym rytmie, w którym Bradley zanurza we mnie język.

– Kurwa – odzywa się schrypniętym głosem. – Taka słodka i gorąca. – Ponownie przywiera do mnie ustami i zaczyna ssać moje wejście. Mocno, bezlitośnie. Wibrator osiągający najwyższe drgania uderza w moją kobiecość. Wszystko we mnie zaciska się i zaraz rozluźnia. Wzniecona namiętność niemal paruje w przestrzeni między nami. Czuć ją w oddechu Brada, prymitywnych odgłosach pragnienia. Kiedy delikatnie kąsa moją cipkę, nie wytrzymuję.

– Już prawie. – Przyjemność porywa mnie do krainy czystej ekstazy. – Bradley.

– Moja – szepcze, a wtedy jego język zamienia się miejscami z naprężonym członkiem. – Na zawsze – dodaje i zanurza się, wykonując szybkie pchnięcie.

Rozdział dwudziesty szósty

Nie jestem pewna, co zakłóca mój sen, ale czuję, że wyschnięte gardło domaga się wody, więc wygrzebuję się z łóżka, a dokładnie spod niemal stukilogramowego ciała, i schodzę na parter. Jednak gdy stąпам po stopniach, niepokój zaczyna dźgać moją skórę.

Coś jest nie tak...

Wchodzę do kuchni, zastając w niej jedynie cichą, nietkniętą pustkę. Nalewam odrobinę wody z dzbanka i zmuszam się do racjonalnego zachowania.

Chyba jednak to ze mną jest coś nie w porządku. Nedorzeczne.

Nikogo tu nie ma, ale uczucie, że jestem obserwowana, powraca ze zdwojoną siłą. Niemal czuję oddech zła gdzieś z tyłu. I wtedy widzę coś kątem oka. Bezszelestny ruch w mroku.

– Kim...? – Słowa urywają się, kiedy znikąd na moim gardle pojawia się zimne ostrze. Szklanka z wodą wysuwa się z palców i upada z hukiem na marmur.

Wszystko dzieje się niemal w zwolnionym tempie. Tak to widzę i czuję. Szkło rozbija się na setki ostrych okruszków, woda na marmurze przypomina przezroczystego, przebiegłego węża, który przybył tu wraz z intruzami.

– Zawołaj go – nakazuje cicho postać za moimi plecami. – Wołaj albo ja to zrobię, a później zarżnę cię na jego oczach i przestrelę mu łeb.

Strach zgniata mnie od środka. Nie mogę nawet przełknąć śliny, bo nóż na moim gardle mógłby jednym cięciem przedziurawić mi aortę.

Mężczyzna za mną potrząsa moim ciałem, pospieszając mnie.

Nie chcę wołać Bradleya, nie chcę go narażać, ale jeśli zastaną go pogrążonego we śnie, będzie jeszcze bardziej bezbronny.

– Bradley... – chrypię z trudem.

Błyskawicznie rozlega się szuranie ciężkich kroków. Jego sylwetkę zalewa poświata księżyca.

– Sav...

– Nie... – Ostrzeżenie „nie wchodź” zamienia się w krzyk, gdy dwie inne postacie skąpane w czerni wyłaniają się zza Bradleya, a jedna z nich uderza go łomem w głowę.

Brad upada w akompaniamencie mojego krzyku. Zamroczony próbuje podeprzeć się na ręce i podnieść, ale drugi napastnik również zaczyna okładać go metalowym drągiem. Wali go raz po raz, wszędzie.

– Nie... – łkam i próbuję się wyrwać. – Przestańcie! – Szamoczę się w uścisku mężczyzny. Już nie dbam o ostrze, które może mi poharatać krtań. Chcę tylko mu pomóc. Muszę go bronić. Rzucam się, sycząc w furii, ale wtedy nieznamy uzbrojony w nóż wykręca mi głowę tak bardzo, że czuję w ścięgnach przeszywający, rwący ból.

Uśmiecha się i mówi:

– Jedna minuta i skręcę ci kark.

Poddaję się, koncentrując wzrok na Bradleyu leżącym na podłodze.

– Co tam, skurwielu? – woła do niego jeden z otaczających go mężczyzn. – Dzisiaj nie jesteś już taki twardy jak ostatnio. – Zbir kopie Brada w żebra tak długo, aż ten zaczyna się krztusić.

Czuję mdłości wzbierające w żołądku.

Kim oni są? Czego chcą? Czy to włamywacze? Chodzi o rabunek?

– Przestańcie... – szlocham. – Proszę, błagam. Przestańcie...

Nie potrafię przestać tego powtarzać, choć oni zachowują się tak, jakby mnie nie słyszeli.

– Następnym razem lepiej pomyśl, z kim zadzierasza – mruczy ten najwyższy i zanosi się skrzeczącym śmiechem.

Następnym razem? Oni... znają Bradleya? Dlatego nie włożyli masek? Ich twarze i tak giną w cieniach nocy, ale najwyraźniej chcieli zostać

rozpoznani, a skoro ja ich nie znam...

– Dlaczego...?

– Dlaczego? – któryś wchodzi mi w słowo. – To sprawa osobista.

Wyrównanie rachunków. Zapłata.

Jaka zapłata, na miłość boską? Przecież Bradley... On... Ledwie jest w stanie się poruszyć i choć nie widzę dobrze jego twarzy, wiem, że jest zakrwawiona.

– Jak się teraz czujesz, jebany śmieciu? – pyta aroganckim tonem ten, który dzierży w ręku łom. – Trzeba było się nie wpierdalać w nie swoje sprawy. – Podrzuca ciężki metal i przechadza się po kuchni. W końcu zbliża się do mnie.

– Trzeba było stanąć po właściwej stronie – mówi. – A ty wystawiłeś kumpla. Sprzedałeś go psom. – Pstryka palcami, a wtedy ten, który został przy Bradleyu, wraca do katowania go. Ciężkie buty walą w brzuch Brada, w nogi, klatkę piersiową.

– Dość, zabijecie go! – wrzeszcze.

Odgłos tych uderzeń sprawia, że zaczyna kręcić mi się w głowie. Nie zapomnę ich do końca życia.

Mężczyzna, który przystanął przy mnie, przekrzywia głowę. Światło księżycy wpadające przez okno pomaga mi dostrzec jasnozielone oczy.

– Nie martw się, złotko. Jeszcze trochę pożyje. – Nawija sobie na palec kosmyk moich włosów. – Za tę zdradę będzie zdychał w męczarniach – dodaje i pochyla się, jakby chciał mnie powąchać.

– Nie. – Odskakuję w tył i uderzam w trzeciego intruza.

Czubek noża zagłębia się w moją skórę, upuszczając kilka kropli krwi. Czuję ciepłą strużkę spływającą po dekolcie.

– Nie próbuj się wyrywać, chyba że chcesz, żebym jeszcze bardziej cię oszpecił.

Jego groźba jest równoznaczna z potrąceniem przez pieprzoną ciężarówkę, bo...

Jeszcze bardziej? Powiedział to tak, jak gdyby wiedział o bliznach na mojej skórze.

Nie, niemożliwe. Jestem dla nich zupełnie obca.

Mężczyzna o zielonych tęczówkach wraca, by przykucnąć przy Bradleyu.

– Ej, otwórz oczy. – Klepie go w policzek. – Poznajesz mnie? – I wymierza kolejny cios pięścią w jego szczękę.

Nie mogę. Nie mogę tego znieść, nie mogę na to patrzeć.

– O Boże. Dlaczego wy to robicie? To jakaś pomyłka. Zostawcie go... – Płaczę. Łzy napływają tak szybko, że aż czuję pieczenie pod powiekami.

Jednak nie przestają go bić.

– Odpowiadaj! – żąda zielonooki. – Poznajesz mnie?

Bradley podpira się na rękach i chyba uśmiecha.

– Ty i twój braciszek zwyrodnialec wyróżniacie się w tłumie – mruczy, a potem znów wstrząsa nim napad kaszlu.

Łom przygniata plecy Brada i przyciska go do marmurowej podłogi.

– Nie mów, kurwa, ani słowa o moim bracie, bo odetnę ci język – syczy napastnik.

– Świetnie, że przyprowadziłeś ze sobą kumpli. W końcu musisz się za kimsz chować, bo sam jesteś małym, słabym, żalosnym tchórzem! – Bradley spluwa. Z kącików jego ust kapie szkarłatna ciecz. Plami płytki.

Nie. Nie. Nie.

– Ścierwo! – krzyczy zielonooki, zaciskając pięści. – Myślałeś, że cię nie znajdę po wyjściu z więzienia?

– Przeciwnie, liczyłem, że przyjdiesz i sam dasz mi okazję, żebym mógł cię wykończyć. Tak jak powinienem był wykończyć jego.

Kolejne uderzenie w tył głowy. Więcej krwi. Cała kałuża.

– Bradley. – Wyrywam się, przy okazji strącając coś z blatu kuchennego. Prawie udaje mi się wyswobodzić, ale napastnik za mną szybko mnie unieruchamia, wykręcając mi nadgarstki.

Szare oczy, dziwnie błyszczące, spoglądają na mnie.

– Wszystko w porządku, kochanie – zapewnia Brad cichym głosem.

Serce zaciska mi się w piersi, a niepokój o jego życie rozrywa wnętrzności.

Nie jest dobrze. Oni... Ci ludzie nie wyjdą stąd, dopóki...

– Kochanie? To ta suka, prawda? – szydzi nieznajomy.

– Ta sama, co? – Drwiący śmiech rozbrzmiewa przy mojej skroni. – Ładniutka.

Panika oplata się wokół mojego kręgosłupa i zaczynam się trząść.

Ta sama? Nie mam pojęcia, kim oni są, ale wiedzą, kim jestem ja.

– Ona nie ma z tym wszystkim nic wspólnego – odpowiada Bradley i słyszę w jego głosie wściekłość. – Chcesz się zemścić za to, że prawie zatłukłem na śmierć twojego brata? Dawaj. Ulżyj sobie, ale jej daj spokój.

Zielonooki bandzior potrząsa głową i cmoka.

– Nie. Ta suka też dostanie za swoje.

Marszczę brwi. Zaciskam palce tak bardzo, że paznokcie wrzynają mi się we wnętrze dłoni. Serce dudni jak oszalałe.

Oszalałe. Może właśnie o to chodzi. Może to po prostu banda niepoczytalnych, agresywnych typów. Cierpią na urojenia, sądzą, że jakoś im zawiniliśmy i przyszli wymierzyć nam karę.

– I właśnie dlatego jeszcze trochę pożyjesz – przemawia ten trzeci. Najbardziej milczący do tej pory.

Zielonooki skurwiel z łomem pociąga za złoty łańcuch zawieszony na jego szyi. Gruba błyskotka skrzy się, w jakiś sposób dokarmiając poczucie grozy drzemiące we mnie.

– Wszyscy tu tylko czekamy, aż zaczniesz błagać o litość i krzyczeć – mamrocze.

– Słyszałeś kiedyś trzask łamania własnych kości? – ciągnie ten za mną.

Bradley unosi się na łokciach i zwilża językiem usta.

– Pierdol się – rzuca.

Kolejna salwa skrzeczącego śmiechu.

– Jeszcze tej nocy padniesz przede mną na kolana – stwierdza napastnik. – Ale wiesz co? To wcale nie będzie dla mnie największą atrakcją. Ona nią

będzie. – Wskazuje na mnie pełnym triumfu gestem.

Oblicze Bradleya, które do tej chwili pozostawało niewzruszone, teraz emanuje furją.

– Tknij ją tylko, a spuszczę z ciebie krew, skurwielu – obiecuje.

– Czego od nas chcecie? – odzywam się.

– My? Chcemy jedynie sprawiedliwości i dobrej zabawy. – Znudzony facet wzrusza ramionami.

Koncentruję swoją uwagę na Bradleyu, który ponawia próbę wstania. Krzywi się i sapie.

Boże, pewnie zebra ma potrzaskane na kawałki.

– Nie próbuj się podnosić. Wolałbyś pewnie pozostać przytomny, żeby wiedzieć, czy nie skrzywdzimy twojej suki – szepcze zielonooki i klepie Brada w bark.

Bradley warczy z głębi gardła. Odgłos napawający strachem roznosi się po pomieszczeniu.

– Wypuść ją. Zrób ze mną, co chcesz, ale ją wypuść! – krzyczy mój ukochany. – Miej, kurwa, jaja. To żaden pokaz siły krzywdzić bezbronne kobiety.

Mężczyzna odwraca się w moją stronę.

Co takiego zamierza mi zrobić?

– Zapytajmy ją o zdanie – mówi. – Savannah, prawda? – Wypowiada moje imię złowróźnie zadowolonym tonem. Ogląda mnie niczym drogi eksponat.

Na podniebieniu czuję gorzki posmak niemocy.

– Nie mów do niej – rozkazuje Brad.

Jego troska o moje bezpieczeństwo zdaje się rozweselać napastnika.

– Sprawa wygląda tak: możesz stąd wyjść, a my po prostu poderżniemy mu gardło – zaczyna beznamiętnym tonem – albo zostać i kupić mu jeszcze kilka dodatkowych godzin.

Kilka godzin życia. Te trzy słowa obijają się wciąż i wciąż od nowa w moim umyśle.

Kilka godzin życia, a co potem?

Panika wpełza mi do żołądka i sprawia, że mam ochotę zwymiotować.

– Nie, nie, nie... – łkam.

Masa emocji wręcz mnie dusi.

I już nieważne, co zrobią ze mną, bo o wiele bardziej martwię się o życie kogoś, kogo kocham. Nie umiałabym stąd wyjść i go opuścić. Zostawić samego. Nawet jeśli pozostanie tu oznacza, że ja także umrę.

Bo oni planują go zabić.

– Ona chyba nie chce iść – osądza intruz, który najwyraźniej jest szefem szajki. – Nie żebym jej pozwolił. Zaplanowałem to inaczej. Zgadniesz jak? Powinieneś. – Mrugnięcie i pojawia się obrzydliwa iskra w zielonych ślepiach.

– Ty chory skurwielu – dyszy Brad.

– Czyli jednak coś ci świta, co dla niej zaplanowałem?

Nie podoba mi się przecucie zagnieżdżające się we mnie. Gdzieś głęboko wyczuwam, co może oznaczać ta insynuacja. Bo już kiedyś mi to zrobiono, a znaki, które przegapiłam tamtym razem, teraz atakują mnie ponownie.

To ten sam rodzaj zła, ten sam odór brzydoty wszędzie się rozprzestrzeniający.

– Co zaplanowałeś? – pytam drżącym głosem.

– Pojedziemy gdzieś – stwierdza szef i macha w kierunku wyjścia.

– Dokąd?

– Ruszaj się. – Trzymający mnie zbir popycha mnie do drzwi. Dwójka pozostałych podnosi szamoczącego się Bradleya.

– Prawie zapomniałem ci podziękować – mówi boss, poprawiając swoją kurtkę.

– Za co?

Na ustach zielonookiego zauważam kolejny uśmiezek przyprawiający mnie o ciarki. Zerka na mnie.

– Za to, że odnalazłeś dla mnie tę dziwkę. Wyświadczyłeś mi cholerną przysługę. Sam szukałbym jej o wiele dłużej.

Zatrzymuję się sparaliżowana.

To nie jest żadna pomyłka.

Oni... szukali nas.

Szukali mnie. Właśnie mnie. A powody, dla których do tego doszło, mimo że teraz pozostają niewiadomą, wkrótce mogą wywołać niszczycielskie trzęsienie ziemi w moim małym świecie...

Rozdział dwudziesty siódmy

Zdawać by się mogło, że podczas porwania i stanu ewidentnego zagrożenia życia mój umysł powinien pracować na najwyższych obrotach. Jednak niestety zakotwicza się w odrętwieniu.

Ledwo to do mnie dociera. Podróż samochodem. Nóż na moim gardle. Mrok nocy. Jakieś opuszczone budynki, przypominające ruiny na zupełnym pustkowiu.

Tylko gdy chwytam spojrzenie Bradleya, wybucha we mnie adrenalina. Czuję czystą, wcześniej mi obcą żądzę mordy.

Ze względu na doświadczenia sprzed lat nie przyswajam zbyt dobrze poczucia bezradności i kiedy ciągną nas korytarzem, który zdaje się labiryntem bez wyjścia, chcę się po prostu poddać.

Prawda jest taka, że poddałabym się od razu, gdyby tylko Brada tu nie było, a mimo to wolałabym znosić to wszystko bez niego. I wiem, że on wybrałby tak samo.

– Krwawisz – przemawiam cicho.

Drzwi do celi zostają zatrzaśnięte. Stoimy wewnątrz jakiegoś obskurnego, chłodnego i małego pomieszczenia, przypominającego trochę dawne lochy. Ściany są niemal czarne, pobrudzone wieloma krwawymi zaciekami, w podłodze znajduje się odpływ, a w kątach wiszą splątane grube, ciężkie łańcuchy. Także splamione krwią.

Co to za miejsce?

Za kratami w sąsiedniej celi znajdują się stoliki – niemal takie jak te w gabinetach chirurgów, a na nich... narzędzia. Skalpele, nożyce, noże i wiele, wiele innych.

Żółć podchodzi mi do gardła, bo to oczywiste, że nikogo się tam potajemnie nie leczy, a raczej przeciwnie. Kroi.

Katuja.

– Nic mi nie jest. Nie martw się – mówi uspokajającym tonem Bradley, odwracając moją uwagę od drastycznych odkryć.

– Kim oni są? – pytam, lecz Bradley milczy. – No kim? Opowiedz. Co się dzieje?

Słyszę kroki gdzieś na korytarzu pogrążonym w mroku. Jedynym źródłem światła jest aktualnie migająca jarzeniówka.

– Odpowiedz swojej suce. – Zielonooki mężczyzna zatrzymuje się przy drzwiach naszej celi. – A może chcesz, żebym to ja jej wytłumaczył?

Bradley wpatruje się we mnie z obawą.

– To... – Nie kończy. Odwraca głowę.

Zauważam, że z jego ucha sączy się krew i już prawie myślę sobie, że pieprzę ich tożsamość, skoro Brad może mieć poważne obrażenia wewnętrzne, ale wtedy słyszę słowa, które wywołują kolejną falę lęku.

– Co z tobą, Bradley? – drwi tamten. – Nie chcesz nas przedstawić czy boisz się, że się nas wystraszy, kiedy zrozumie, co się dzieje? I że to wszystko przez nią.

– Przeze mnie? – powtarzam.

Zdezorientowana i zmartwiona czekam na wyjaśnienia, a Bradley przykładą dłonie do skroni i się pochyla, jakby godził się z porażką.

– To Enrique... Brat Enzo – wydusza prawie bezgłośnie. – Reszta to jego kumple.

Brat Enzo? Brat bestii, która zainfekowała mnie złem aż do samego dna mojej duszy?

– Brat... – szepczę i wędruję wzrokiem od twarzy Bradleya do uśmiechniętej gęby brata mojego oprawcy.

– To zaszczyt poznać źdźbę, z powodu której mój brat odsiaduje wyrok za niewinność – rzuca, krzyżując ramiona.

Gniew zaczyna wrzeć w moich żyłach, zagłusza pozostałe emocje.

– Za niewinność? – syczę. – Twój brat to pieprzony psychopata.

– Ostrożnie. Pamiętaj, że jesteś teraz na mojej łasce i każde twoje słowo pociągnie za sobą konsekwencje. Dla ciebie. – Oblizuje wargę, w której lśni srebrny kolczyk. – I dla niego. Wykurwiście bawi mnie fakt, że najwyraźniej bardziej martwisz się o niego niż o siebie. – Sięga przez kraty, by musnąć mój policzek.

– Nie dotykaj jej – warczy Bradley. Opiera się plecami o mur. Wciąż spowija go czysta furia, choć jest wyczerpany.

– Wiesz co? – zaczyna Enrique. – Powinnaś czuć się odpowiedzialna za wszystko, co z nim zrobię. Jest tu teraz z tobą tylko dlatego, że wtedy postanowił zgrywać jebanego bohatera i cię stamtąd zabrał.

– Uratował mnie.

– Cóż, mam złe wieści. – Kolejny plugawy uśmiezek. – Tym razem cię nie uratuje.

Nagle wszystko do mnie dociera. I łamie mnie od środka.

Wiem, co oni knują. Co mi zrobią. Dokończą dzieło Enzo i zdewastują to, co ze mnie zostało.

Niespodziewany hałas sprawia, że podskakuję. Patrzę w bok i zauważam, że Bradley jakimś cudem rzucił się na drzwi celi.

– Powiniennem był go po prostu zabić. Żałuję, że tego nie zrobiłem, ale ma to swoje dobre strony. Chcesz wiedzieć jakie? – pyta tego drania.

– Nie pogrywaj sobie ze mną. – Enrique zgrzyta zębami. – Wyszedłeś z więzienia, a on tam został. Przez ciebie. Sprzedałeś go. Wiesz, na co go skazałeś?

Na poranione, opuchnięte wargi Bradleya wypływa zwycięski uśmiech.

– Jak najbardziej. Jebią go w dupę, dopilnowałem, żeby zrobiło mu to paru gości jeszcze w mojej obecności – ogłasza, nie kryjąc satysfakcji. – Świetne widowisko.

Enrique uderza pięścią w metalowe kraty oddzielające nas od niego.

– Widowisko? – powtarza i sięga do kieszeni po klucz do celi. – Chcesz widowiska? Oboje dostaniecie coś, na co z przyjemnością będziecie mogli popatrzeć.

Każdy mięsień w moim ciele się spina, a włoski na rękach stają dęba.

Enrique staje przed Bradleyem w wyzywającej pozie, a tuż za nim pojawiają się jego dwa służalcze psy. Cios, który pada, jest błyskawiczny. Enrique uderza kolanem w brzuch Bradleya, a następnie łokciem trafia w potylicę, sprawiając, że Brad zgina się wpół.

Moja logika się wyłącza. Rzucam się na brata Enzo, starając się go powstrzymać.

– Przestań – krzyczę.

Ułamek sekundy później coś przelatuje mi przed oczami i czuję potworny ból policzka. Tracę równowagę, a obraz robi się lekko rozmazany.

Też oberwałam z pięści. I gdyby nie złapał mnie jeden z pozostałych zbirów, bym się przewróciła.

– Stój tam i patrz – nakazuje Enrique i tak przekrzywia głowę, że aż strzela mu w karku. – To dopiero rozgrzewka – dodaje i znowu uderza.

Szarpię się z sukinsynem trzymającym moje nadgarstki, ale bez efektu.

– Proszę. Nie...

Bradley podnosi na mnie rozbiegany wzrok.

– Savannah... – Śledzi oczami ślady po uderzeniu. I choć mam wrażenie, że zaraz pęknie mi szczęka, zachowuję neutralny wyraz twarzy.

– Wszystko w porządku – zapewniam.

– Rozpierzdołę cię tak, że będziesz czołgał się u moich stóp i błagał, żebym wreszcie zakończył twoje nędzne życie – ciągnie Enrique.

– Nie rób tego – błagam. – Powiedz, co mamy zrobić. Czego chcesz?

– Trzeba było się nie wtrącać. Dymasz ją, choć nie należy do ciebie. Odebrałeś ją właścicielowi – mówi i odwraca się do mnie. – Powiedz mu, Savannah... Powiedz, że wcale nie chciałaś, żeby się w to wpierdalał, bo należałaś do Enzo.

– Nie musisz... – próbuje protestować Bradley.

Enrique sięga pod kurtkę i wyciąga ostrze.

– Powiedz mu albo go trochę podźgam swoim ulubionym nożem – ciągnie.

Bradley potrząsa głową, ale go ignoruję.

– Już dobrze. – Rozchyłam usta, próbując odnaleźć własny głos. – Należałam do Enzo.

Te słowa wżerają się we mnie jak kwas. Towarzyszy mi akompaniament w postaci śmiechu Enrique i przekleństw Brada.

– Przestań... – nakazuje Bradley. – Przestań.

Nie mogę w to uwierzyć. Ledwo trzyma się na nogach, jest zakrwawiony, prawdopodobnie ma roztrzaskaną więcej niż jedną kość, ale i tak patrzy na mnie z rozczarowaniem.

– To ty przestań. Proszę, po prostu przestań już! – Zanoszę się płaczem. – Nie chcę tu stać i patrzeć, jak cię krzywdzą. Powoli mordują.

Zaczyna mną telepać. Spazmy sprawiają, że osuwam się na kolana.

Już nie mogę.

Bradley wciąż ich prowokuje, a oni walą w niego jak w worek treningowy. Czy nie rozumie, co sobie robi?

Co robi mnie, kiedy mogę jedynie stać i gardzić sobą, bo jestem kompletnie bezużyteczna...

Enrique kiwa głową z aprobatą.

– Powiedz mu, że tak naprawdę chciałaś, żeby Enzo cię zerznął – kontynuuje, okręcając trzonek noża w palcach. – Mów.

Przełykam ślinę. Przez moment czuję się tak, jakbym miała tchawicę zapchaną kamieniami.

Pod moimi powiekami pojawia się twarz Enzo wykrzywiona w grymasie okrutnego zadowolenia.

– Chciałam... Chciałam, żeby Enzo mnie zerznął – chrypię.

Bradley podrywa się i chwyta Enrique za kołnierz, a następnie popycha na ścianę.

– Zabiję cię za to, ty popierdoleńcu! – wrzeszczy, ale zaraz zostaje obezwładniony i zmuszony do klęknienia.

Szarpię się za włosy, balansując na granicy hysterii.

– Zamknij się... – błagam go przez łyzy. – Nic już nie mów.

Wiem, że Bradley ma silne instynkty opiekuńcze i nie jest facetem, który będzie skamlał o litość, nawet gdyby włożyli mu głowę pod gilotynę, ale ja... nie mogę zrobić dla niego niczego więcej.

– Słyszałeś? – mruczy Enrique, jednocześnie klaszcząc w ręce. – Ona łapie lepiej od ciebie, jak należy się bawić w tej grze. Lubię cię, Savannah. Może, dam ci wyjście z tej sytuacji – zwraca się do mnie.

Nie daję się na to nabrać. Nadzieja w tej sytuacji byłaby głupotą. Enrique ma wszelkie możliwe asy w rękawie i jeśli coś mi oferuje, to tylko dlatego, by zapędzić mnie w zasadzkę.

– Jakie wyjście? – pytam.

Mężczyzna stawia krok w moją stronę. Przesuwa czubkiem noża wzdłuż ramiączka mojej piżamy.

– Nie zatłuczemy cię na śmierć, jeśli twoja dziewczyna zaoferuje nam coś w zamian – ogłasza.

Cofam się tak bardzo, że aż trafiam plecami na ścianę.

– Co? – szepczę.

Nie mów tego. Nie mów tego.

– Siebie.

O Boże.

Zakrywam usta dłonią, by stłumić łkanie.

– Nie, kurwa. – Bradley znów zaczyna szamotać się z dwójką zbirów. Dyszy, a jego walka przypomina bój agresywnego tygrysa próbującego staranować klatkę odbierającą mu wolność.

– Co?

Enrique pochyla się jak do pocałunku.

– Możesz go uratować, jeśli mi obciągniesz, a potem dasz się przelecieć – tłumaczy. – Inaczej on umrze.

Oszołomienie sprawia, że przez sekundę widzę wyłącznie czarne plamy.

Sądziłam, że piekło, które zafundował mi Enzo, było najgorszą rzeczą, jaka mogła mnie spotkać, ale to... to jest gorsze. Wybór, którego mam dokonać...

Jak to zrobić?

Zniecierpliwiony Enrique wyciąga papierosa i odpala go.

– Nie słuchaj go – charczy Bradley.

Jest z nim źle.

– To pierwsza runda, masz godzinę i wrócimy, żeby go zatłuc, jeśli się nie zdecydujesz – ciągnie mężczyzna beznamiętnym tonem.

Godzinę. Sześćdziesiąt minut.

Gwałt czy śmierć ukochanej osoby?

– Savannah, spójrz na mnie. – Gdzieś rozbrzmiewa głos Bradleya. – Patrz na mnie.

Nie patrzę. Nie potrafię.

Dzwoni mi w uszach.

Śmierć czy gwałt?

Coraz głośniej i głośniej.

– Ja...

– Chętna? – docieka Enrique.

Nie mogę oddychać.

– Będzie dobrze, musisz mi zaufać – powtarza wciąż i wciąż Bradley. – Nikt cię nie dotknie.

Brat Enzo zaciąga się papierosem.

– To takie szlachetne, że chcesz za nią zdechnąć – mówi, dmuchając dymem papierosowym prosto w moje usta. – Pozwolisz mu?

Właśnie o to chodzi. Bradley jest gotów dla mnie umrzeć. On nawet nie bierze pod uwagę drugiej opcji.

I już wiem, że to zrobię. Nieważne, co będzie potem. Nieważne, jak bardzo mnie to uszkodzi.

– Jesteś potworem – syczę w kierunku zielonookiego.

– Ja? – W odpowiedzi dotyka mojego zranionego policzka. – Pamiętaj, że on jest tu przez ciebie. – Odwraca się, by odejść. Jego kumple idą za nim.

Kiedy tylko zamykają się za nimi drzwi celi, dopadam do Bradleya i wtulam się w niego.

– Przepraszam – mruczę w jego tors.

Gdyby nigdy mnie nie spotkał... Może nigdy by się tu nie znalazł.

Ta wiedza kruszy mnie od środka.

Godzina. Sześćdziesiąt minut.

Gwałt czy śmierć ukochanej osoby?

Rozdział dwudziesty ósmy

Co mam teraz zrobić? Co zrobić?

Dla Bradleya zeszyłabym prosto do czeluści piekielnych, ale czy to może się na coś zdać? Czy to jedynie przedłużenie męki?

Stoję na zimnym betonie, skowyt śmierci zdaje się odbijać od ścian. Co oni tu robili?

Co zrobią z nami?

Cela jest stara i biorąc pod uwagę to, że raczej schodziliśmy pod ziemię, być może faktycznie kiedyś były tu lochy przeznaczone dla najgorszych skazańców.

Dziwny swąd spalenizny napawa mnie grozą, bo wyobraźnia podsuwa wizję podpalonego, węglącego się powoli ciała.

Czy to zwiastun naszej przyszłości?

Przestań...

– Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam. – Moje usta mimowolnie wypowiadają to słowo niczym mantrę. Są jak zaklęcie, które mogłoby jakoś naprawić tę tragiczną sytuację.

Nie mogę. Nie daję rady tego udźwignąć.

Kręci mi się w głowie, a serce z każdym kolejnym uderzeniem jest coraz bliższe, by eksplodować w piersi. Czuję się przytłoczona tym, co ma nadejść. Nieuchronność tego doprowadza mnie do obłądu.

Bradley unosi moją brodę.

– Przestań to powtarzać – nakazuje wściekle. – Za co mnie, do kurwy nędzy, przepraszasz? Byłaś ofiarą. Ty i moja siostra.

– Ocaliłeś mnie i to dlatego oni mszczą się na tobie...

Bradley zaprzecza ruchem głowy. Wygląda koszmarnie. Jego lewe oko jest zapuchnięte, podobnie jak szczeka i policzek. Usta ma porozcinane. Skórę zdartą. Na nagiej piersi tworzą się już sińce.

– Jest coś, o czym nie wiesz. Muszę... – Milknie i wwierca we mnie wzrok. – Muszę ci to wyznać.

– Nie. Nic nie mów. To nie jest teraz ważne – protestuję rozdygotana. – Krwawisz. – Obserwuję, jak krew spływająca z jego ran moczy mi palce.

Przez chwilę wydaje mi się, że nigdy nie uda mi się zmyć tej przerażającej czerwieni ze skóry.

– To nic – odpowiada.

– Jak możesz tak mówić? Krwawisz. – Delikatnie badam opuszkami jego ciało. – Tak bardzo cię pobili. Twoje żebra...

– Nic mi nie jest. Musisz mnie wysłuchać. – Przykrywa moją dłoń swoją. – Proszę – nalega.

Ma pozdzierane kostki. Pochylam się, by pocałować każdą z nich. Tak bardzo staram się nie płakać, że aż pali mnie w płucach.

– Dobrze – ustępuję.

Mimo zgody Bradley długo się nie odzywa. Zapatruje się w przestrzeń, jakby się wahał.

– Tamtej nocy, gdy Enzo cię odurzył i porwał... Byłem w tym samym lokalu co ty – wyznaje w końcu.

Marszczę brwi zaskoczona. Tego się nie spodziewałam.

– Byłeś?

Potakuje. Ścisną moją rękę wciąż gładzącą jego tors.

Coś jest nie tak.

– Tak. Przyszedłem... – Jego grdyka wibruje, gdy przełyka ślinę. – Z nim i z resztą paczki. Znaliśmy się. Trzymaliśmy się razem.

Cała się naprężam. Patrzę na nasze splecione palce.

To jest takie...

– Przyjaźniłeś się z nim? – pytam z drobnym zająknięciem.

To w zasadzie nie powinno aż tak mną wstrząsać. Bradley nie powiedział przecież, że pomagał mu pastwić się nad kobietami i spełniać jego poronione kaprysy. Mimo to czuję się zawiedziona.

– Tak, ale nie wiedziałem... Przysięgam, nigdy bym nie pomyślał, że jest taki popierdolony. Że robi takie rzeczy – dodaje szybko.

Wzdycham i przesuwam wargami po jego ramieniu.

– W porządku, Bradley, to bez znaczenia.

On zaciska szczękę.

Nie muszę być Nostradamusem, żeby wiedzieć, że nie podoba mu się moja reakcja. Brad wiecznie domaga się krytyki i gniewu.

– To nie jest bez znaczenia. To ja przedstawiłem mu moją siostrę. Ja wprowadziłem go w życie Quinn.

A więc to go męczy.

– I obwiniasz się o to – zgaduję. – To bez sensu.

Bradley cofa się, a potem osuwa po ścianie, by usiąść. Powoli robię to samo.

– Nie rozumiesz tego. Byłem tam. W tym barze, z którego cię zabrał. Widziałem, jak się tobą zainteresował. Jak z tobą rozmawiał, a później wyszedł – kontynuuje rozsierdzony. – Mogłem go zatrzymać.

Zagapiam się na migającą żarówkę. W rytmie, w jakim się rozjaśnia i gaśnie, jest coś uspokajającego.

Rozmowa o tym w ogóle mi nie pomaga. Nie potrzebuję tego teraz, bo mój umysł znowu zaczyna chaotycznie krążyć wokół tamtej nocy. A to, co dzieje się w tym momencie, intuicyjnie nakazuje mi wypatrywać na zaciemnionym korytarzu jego postaci. Nasłuchiwać kroków Enzo i tego popieprzonego odliczania do sześciu.

– Wysłałam z nim z własnej woli, a ty nie miałeś powodu do interwencji – szepczę, wciąż koncentrując się na niepokojącej ciszy otaczającej nas.

– Czasami opowiadał nam o tym, jak lubi się zabawiać z kobietami...

Natychmiast się odwracam.

Co?

– Mówił ci... o gwałtach?

– Nie. Kurwa, oczywiście, że nie – odpowiada, pocierając skronie. – Ale czasami mówił rzeczy, które powinny obudzić moją czujność.

Zostaw to. Rozdrapywanie tego niczego nie naprawi.

– Co konkretnie?

– Że lubi... zmuszać kobiety do uległości w łóżku. Że podnieca go zadawanie bólu, obezwładnianie kobiet. – Bradley zabiera dłoń z mojej ręki, jakby celowo chciał uniknąć mego dotyku. – Raz powiedział, że lubi, jak stawiają opór.

Znowu zaczyna mnie mdlić.

– To... Boże...

Czy to znaczy, że on robił to częściej? Ilu kobietom?

Czuję się tak, jakby ktoś dźgał mnie szpikulcem od wewnątrz.

Brad opiera czoło o kolana i skulony zaczyna szarpać się za włosy.

– Tak mi przykro, Savannah – szepcze.

– Nie. Bradley, ja... nie mam pojęcia, nie wiem, co mam myśleć, co ci powiedzieć, ale wiem, że ludzie robią różne rzeczy w łóżku. Czasami są to totalnie porąbane rzeczy. Nawet pozorują gwałty. Takie fantazje to wcale nie rzadkość i... – Przerывam, by zaczerpnąć tchu. – To w ogóle nie musiało świadczyć o tym, że on zamierza mnie zgwałcić. Kogokolwiek.

– I nie masz do mnie pretensji? Ani trochę? Nie uważasz, że mógłbym temu zapobiec, gdybym trochę uważniej słuchał? Uważniej patrzył? – wylicza. – Bądź szczerą.

Wiem, że nie ucieknę przed jego przeszywającym spojrzeniem, poza tym nie chcę go dziś oszukiwać.

– Tak. Pomyślałam tak w pierwszej chwili. Opowiadał wam o popieprzonych rzeczach, które go kręcą. Czemu nie zareagowaliście? Jakkolwiek? Ale...

– Ale co? – Sunie paznokciami po zimnym betonie na podłodze.

Zwilżam spierzchnięte wargi językiem.

– Ale jednocześnie wiem, że obwinianie cię byłoby nierozsądne. – Muskam kciukiem jego dłoń. – Uratowałeś mnie i tylko to się dla mnie liczy.

Kącik ust Brada unosi się na ułamek sekundy.

Oglądanie jego przystojnej twarzy, tak teraz zmasakrowanej, jest dla mnie druzgocące. Ale ten uśmiech nagle wydaje mi się najpiękniejszą rzeczą na świecie. I zrobię wszystko, żeby nie był ostatni.

Nawet jeśli to zabierze moje uśmiechy.

– To dla ciebie wstąpiłem do klubu twojego brata – rzuca niespodziewanie. – Chciałem cię odnaleźć, wiedzieć, że nic ci nie jest.

Kiełkuje we mnie ogromna czułość.

– Bierzesz na siebie odpowiedzialność za to wszystko. – Coś do mnie dociera. – Czy to stanowi podstawę twoich uczuć do mnie?

Mina Bradleya sugeruje, że postradałam rozum.

– Co? Oczywiście, że nie.

Grając na zwłokę, pocieram nieco zziębnięte ramiona. Mam na sobie tylko koszulkę i spodenki od piżamy, które są cienkie, ale niedobory w odzieniu to chwilowo mój najmniejszy kłopot.

Charakter Bradleya i jego skłonności do obarczania się winą za całe zło, spotęgowane pewnie też przez jego chorobę, każą mi wątpić w jego słowa. Nasze spotkanie nie było przypadkiem. Kwestią przeznaczenia. On mnie odszukał, a potem...

A co, jeśli on zdaje sobie sprawę, że jego uczucia względem mnie wywołane są wyrzutami sumienia?

– Żałujesz, że poznałeś Enzo z Quinn? – pytam, choć tak naprawdę chcę wiedzieć, czy uczucia mężczyzny, w którym się zakochałam, to fikcja.

– Gdybym ich ze sobą nie poznał, on nigdy by jej nie tknął. Nie musiałyby przez to przechodzić.

– Gdybyś ich ze sobą nie poznał, on nie zabrałby wtedy Quinn do domu.

– O tym mówię.

Nie rozumiem, a ja nie jestem przekonana, czy uzmysławianie mu, do czego dążę, jest dobrym rozwiązaniem. Może mnie znienawidzić za moje

sugestie. Może uznać, że jestem zepsutą egoistką.

I może będzie miał rację, bo to, co za chwilę powiem, jest okropne, ale być może pozwoli mu wyzwolić się z więzów poczucia winy.

– A pomyślałaś o tym, że gdyby on tamtego dnia nie zabrał do domu twojej siostry, ty nie zjawiłbyś się tam i mnie nie znalazł? – zaczynam cicho. – Mówiłaś, że Quinn do ciebie napisała. Wezwała cię. Prawda jest taka, że gdyby nie to, że Enzo postanowił skrzywdzić też ją, może nikt by mnie nigdy nie znalazł. Ty byś mnie nie znalazł.

Źrenice Bradleya poszerzają się lekko.

– Savannah...

– To ja powinnam czuć się winna – wtrącam. – Bo jakaś część mnie cieszy się, że Quinn tam ze mną była. To... To straszne. – Zaciskam powieki, by ukryć łzy.

– Kochanie, nie...

– To nie twoja wina, Bradley – powtarzam, przysuwając się do niego. – Kto wie, może żyję dziś tylko dzięki Quinn i tobie.

Usta Brada przylegają do boku mojej szyi i już tam zostają. Ciepły oddech sprawia, że skóra pokrywa się gęsią skórką.

– Masz rację. – Całuje mnie w trzepoczący puls. – Niczego już nie żałuję.

A ja wciąż tak, ponieważ przez to, co się wydarzyło...

– Oni chcą cię zabić.

Czara bezsilności i rozpacz zostaje przelana, a ja wybucham płaczem. Płacę tak długo, aż dostaję drgawek.

– Nie myśl o tym – mówi mi do ucha Bradley. Trzyma mnie mocno, mimo że łatwiej byłoby pewnie utulić kogoś podłączonego do elektrowstrząsów.

– Nie myśleć? Oni zaraz tu wrócą i...

Układa palec na moich wargach, tłumiąc moje następne słowa.

– I cokolwiek się stanie... Cokolwiek będą próbowali mi zrobić, pozwolisz im na to – wtrąca tonem podszytym bezwzględnością. – Rozumiesz?

– Nie. Nie, nigdy. Jak możesz mnie o to prosić?
– Muszą skupić się na mnie. Tylko na mnie. Wtedy cię nie skrzywdzą.
– Ale ciebie zabijają. Nie dociera to do ciebie? Będą cię torturować, dopóki... dopóki nie przestaniesz oddychać, a ja... – Prawie dostaje ataku szału, zanim udaje mi się wydusić kolejne słowa. – Ja nie mogę na to pozwolić.

Błysk furii w szarych tęczęwkach.

– Wolisz zrobić to, o czym mówił? – syczy, a oddech, który jeszcze minutę temu przyjemnie łaskotał mnie w kark, teraz wręcz parzy. – Pozwolisz mu się zgwałcić?

Znowu się wzdrygam. Moje spojrzenie pada na sąsiednią celę. Tę zapełnioną po brzegi śmiercionośnymi narzędziami. I już to widzę. Obraz za obrazem.

Bradley rozcinany skalpelami.

Bity i kopany.

Bradley dżgany nożami i innymi ostrymi narzędziami.

Bradley, do którego mierzą z pistoletu.

A później pojawiają się dźwięki.

Jego krzyki.

Jego słabnący oddech.

Jego łamane kości.

I w końcu wystrzał z pistoletu.

– Ja... nie będę umiała ze sobą żyć, jeśli cię zabijają. Nie przeżyję tego, Bradley – mamroczę, kołysząc się w przód i w tył niczym wariatka, którą właśnie jestem przez zapętłające się w mojej wyobraźni wizje.

– A kolejny gwałt przeżyjesz? – ironizuje.

Wiem, dlaczego atakuje mnie tak ostro. Żeby mnie zranić i wystraszyć. Żebym się wycofała, ale nie rozumie, że to niemożliwe.

– Jeśli to ma być cena za twoje życie. Jeśli to... pozwoli mi cię... zatrzymać – mówię, a potem zaglądam mu w oczy, które teraz być może rzeczywiście nienawidzą mnie za moją decyzję, i dodaję: – Kocham cię.

I do tego wszystko się sprowadza. Będę mogła nadal go kochać, nawet jeśli pozostanę rozdarta na milion niemożliwych do złożenia fragmentów.

Ale nie będę mogła go nadal kochać, jeśli tu zginie.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Nie wiem, jak dużo czasu mija. Wciąż siedzę zziębnięta w celi, oczekując na wyrok ogłoszony przez kata.

Choć pragnę zwinąć się w kłębek na kolanach Bradleya, bo tylko tam znajduję resztki otuchy, wiem, że nie mogę tego zrobić. Gdybym teraz ujawniła, jak mocno się rozpadam, on by się za to obarczył winą, a mam świadomość, że i tak zjada go bezradność.

Dlatego udaję, że jestem silna i znieczulona. Że nie boję się tego, co nadejdzie, i że nie dam się temu pokonać.

Tak długo, jak będę przy nim, żadne czyny, do jakich zostanę nakłoniona, nie staną się moją porażką.

A jednak wszystko tutaj zdaje się ze mnie kpić. Na czele z literami wyrytymi na ścianach sąsiedniej celi. Ktoś wydrążył tam słowo „śmierć”. W wielu, wielu językach.

Czy to był jeden z dawnych sposobów, by powoli wpędzić człowieka w szpony szaleństwa?

– Tik-tak. Tik-tak. Słyszycie to? Zegar tyka – odzywa się zadowolony głos. – Nadszedł czas decyzji.

Bradley od razu podrywa się na nogi, jak gdyby przez wyrzut adrenaliny zapomniał o wszystkich swoich urazach.

– Nie dotkniesz jej. – Zaciska dłonie w pięści, gotów rozerwać Enrique na strzępy.

Ten natomiast wchodzi do celi krokiem mówiącym, że to on jest tutaj królem, a reszta przetrwa tylko dzięki podporządkowaniu się jego władzy. Za nim kroczy tych samych dwóch dupków.

– Savannah? Twoja decyzja? – ponagła.

Wnętrznosci płaczą mi się w supły ze zdenerwowania.

– Zgadzam się. Zrób to – odpowiadam mimo zaciśniętej tchawicy. –
Zrób ze mną, co chcesz.

Bradley łapie mnie za nadgarstek i odciąga w tył.

– Nie, nie, nie... – powtarza przez cały czas. Jego oczy płoną.

– Bradley... – zaczynam, ale zaraz milknę. Nie ma takich słów, które mogłyby go teraz uspokoić. Będzie tam stał. Na drugim krańcu pomieszczenia zalanego krwią, obezwładniony i zmuszony do patrzenia, jak...

– Nie rób tego, kochanie. – Głos ma zachrypnięty. – Błagam, nie rób tego.

– Podziwiam twoją odwagę – wtrąca Enrique. – A może tak naprawdę skrycie pragniesz, żebym cię zerznął? – Rozpina czarną kurtkę, a potem rzuca ją gdzieś w kąt.

Mam świadomość, że liczy na to, że będę płakać i błagać o litość. Już to przerabiałam, wiem dokładnie, co podnieca takie potwory jak on i jego brat. Nie zamierzam dawać mu tej satysfakcji i wcielić się w rolę ofiary, której tak pragnie.

– Może odrobinę – mruczę, wbijając w niego wzrok. – Mam nadzieję, że nie jesteś w tym chujowy.

Rozbrzmiewa śmiech jego porąbanych kumpli.

Enrique wydaje się na wpół rozbawiony, na wpół wkurwiony moim komentarzem.

– No proszę. Jesteś twardsza, niż wyglądasz. – Uśmiecha się.

Zdmuchuję potargane kosmyki z czoła i zmuszam się do przybrania obojętnej postawy.

– Na co czekasz? – prowokuję. – Potrzebujesz instrukcji, pojebie?

Enrique przyciąga mnie do siebie jednym ruchem. Jego ręce owijają się wokół mojej talii, a tors przyciska do klatki piersiowej. Pochyla głowę i bierze głośny wdech, zaciągając się moim zapachem, ale bardziej dla widowiska i rozwścieczenia Bradleya niż z jakichkolwiek innych pobudek.

Kiedy na niego spoglądam, naprawdę dostrzegam potwora skrytego pod jego skórą. Widzę, jak się przeciąga, wybudzony z drzemki i zagłodzony. Spragniony chorych wrażeń.

Bradley rzuca się w naszą stronę, ale szybko zostaje przytrzymany.

– Nie! – krzyczy.

Enrique uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Pocałuj mnie – nakazuje.

– Nie. Nie. Nie. – Bradley szamocze się tak mocno, że niemal wyrywa się dwóm napastnikom, ale tamci zaraz zaczynają na nowo okładać go pięściami.

– Nie rób tego – odzywam się do Enrique. – Obiecałeś, że zostawicie go w spokoju.

Zielonooki mężczyzna wykonuje gest dłonią, a jego kumple od razu się zatrzymują. Idealnie wytresowani poddani.

– Przytrzymajcie go. Nie chcę, żeby nam przeszkadzał – ogłasza. Jego głos ocieka obrzydliwym zachwytem. – Stary, ciesz się widokiem. Powiem ci, że nieźle całuje. Nie mogę się doczekać, aż wsadzę w nią kutasa i wypieprzę tak, że aż zaczną krzyczeć.

Napinam mięśnie, a mój oddech staje się o wiele za płytki. Strach krążący w moich żyłach wypływa teraz na powierzchnię.

– Ty skurwielu – syczy gdzieś z oddali Bradley.

Odwracam się do niego plecami. Nie mogę go widzieć. Inaczej nie dam rady tego zrobić.

– Savannah, skarbie... – zaczyna śpiewnie Enrique – włóż moją dłoń między swoje uda i poproś, żebym posuwał cię palcami.

Chwytam potwora za rękę. Na boku nadgarstka ma wytatuowany napis, który ciągnie się aż do łokcia. Przez pochyłą czcionkę i słabe oświetlenie nie potrafię go odczytać.

Przełykam gulę w gardle, a przynajmniej próbuję, bo to dziwne, przerażające uczucie nie mija. To samo musi czuć człowiek tonący w głębinach, do którego właśnie dociera, że już nigdy nie zaczerpnie kolejnego oddechu.

W końcu wsuwam jego ohydną łapę między swoje nogi i powtarzam to, czego chciał.

– Proszę, żebyś...

Resztę moich słów zagłusza wściekły ryk Bradleya i odgłosy jego szamotania się.

– Z przyjemnością – oznajmia Enrique. – Podoba mi się, Brad. Jest taka miękka w środku i ciasna – dodaje, gdy jego kciuk przesuwa się po mojej łechtaczce, a inny palec wsuwa do środka. – Ale przecież ty to wiesz.

Nie patrzę na jego twarz, na jego triumf. Ignoruję ból wywołany dotykiem, ponieważ z oczywistych względów nie jestem wilgotna, a moje ciało stawia opór niechcianemu natarciu.

– Co dalej? – pytam.

Enrique przechyla głowę i wyjmuję rękę ze spodenek mojej pizamy. Potem wkłada palce, które przed sekundą mnie penetrowały, do swoich ust i oblizuje.

– Nie możesz się doczekać, aż weźmiesz między wargi mojego fiuta, co? – Wybuchu nieco szalonym śmiechem. – Klęknij.

Opadam na kolana. Nawet się już nie waham. Kiedy zderzają się one z chłodnym, brudnym podłożem, coś ze mnie ulatuje. Zupełnie, jak gdyby każda emocja po kolei stawała się we mnie tłem, a ja sama przekształcała się w pustą, beznamietną skorupę. W przeciwieństwie do Bradleya, który z każdą mijającą sekundą robi się coraz bardziej zaślepiiony i niebezpieczny z powodu targającego nim gniewu.

– Nie, kurwa mać. Nie. Savannah, nie waż się... – zabrania. – Jeśli jej to zrobisz, przysięgam, że obedrę cię ze skóry – zwraca się do Enrique.

Ten jedynie patrzy na mnie z góry.

– Wyjmij go ze spodni – wydaje następne polecenie.

Robię to. Mechanicznie rozpinam jego rozporek i guzik ciemnych spodni, a potem sięgam po twardy członek.

– Nie mogę... – szepcze Bradley gorączkowo. Ledwo już rozpoznaję jego głos.

Enrique wplata palce jednej ręki w moje włosy i zaczyna je gładzić. Z jakiegoś powodu jego delikatność tylko potęguje moją awersję.

Nie chcę, by udawał, że to jest jakaś czuła scenka odgrywana przez kochanków, bo w moim umyśle zabiłam go już tysiące razy.

– Podoba ci się? Przyznaj to – żąda, lekko przy tym dysząc. Kiedy głaszczesz moją głowę, jego bransoletki dzwonią przy moim uchu.

– Podoba mi się – powtarzam i zagapiam się na plamę zaschniętej krwi na ścianie. Kojarzy mi się trochę z demonicznym stworzeniem wlepiającym we mnie ślepią, które ożyło w przestrzeni i zawisło nade mną niczym widmo. Zwiastun zagłady szydzący z mojej klęski.

Coś zaciska się na mojej dłoni, tej, w której trzymam naprężony penis, i wtedy dociera do mnie, że to ręka Enrique. Zacieśnia uchwyt, a ja zastanawiam się, jakim cudem mogłam nie rozpoznać tego brudnego i złego dotyku już tam, w domu. Przecież już go zaznałam.

Enrique i Enzo to ta sama bestia żyjąca w dwóch ciałach.

– Byłaby z niej idealnie wytresowana suka, nie sądzisz? Jest taka posłuszna – obwieszcza sukinsyn. – Teraz go popieść. Najpierw dłonią, a potem tymi słodkimi wargami.

Przez chwilę robi mi się tak bardzo niedobrze, że nie jestem pewna, czy zwymiotuję, czy zemdleję, ale potem ratują mnie wspomnienia. Te o Bradleyu. O nas.

Kiedy zmuszam się, by przesuwając palcami po członku Enrique, w mojej wyobraźni migają wszystkie te wspólne chwile, z powodu których jestem zdeterminowana, by to przetrwać.

Gdy się poznaliśmy.

Gdy pierwszy raz mnie pocałował.

Gdy mnie pocieszał i tulił w momentach, w których wydawało mi się, że powoli staję się obłąkana przez nawiedzające mnie koszmary.

Gdy okleił moją sypialnię tymi durnymi zdjęciami.

Gdy wtedy w barze opanował się mimo swojej dolegliwości, kiedy prawie wdał się w bójkę z nieznajomym facetem i przyznał, że to ja go uspokajam.

I kiedy kupił mi suknię ślubną.

Czuję nacisk na tył głowy i wiem, czego oczekuje Enrique. Moich ust.

Pochylam się, całkowicie pozbawiona jakiegokolwiek oporu, ale wtedy słyszę trzask, który od razu wyrywa mnie z otępienia.

Okręcam się i widzę scenę rodem z horroru. Bradley już dłużej nie jest obehwałniany. O nie. On... Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale jeden z bandziorów Enrique już leży rozciągnięty na plecach i otumaniony od ciosu. Klunie, trzyma się za skronie, wije po podłodze i na niej kuli.

– Dość – rzuca upiornie cicho Brad i zaczyna walczyć z drugim facetem.

Skołowana oglądam starcie. Widzę, z jaką wprawą Brad wyprowadza ciosy. Są precyzyjne i wyćwiczone oraz napompowane czystym gniewem – ścierające jego rywali w proch. Wali jednego w szczękę, a drugiego kopie kolanem w brzuch. Gdy już mi się wydaje, że ten, którego zostawił z tyłu, założy mu duszącą dźwignię, Bradley odrzuca głowę i słyszę łomot, sprawiający, że coś chrupie temu drugiemu w szczęce. Następny jest łokieć wbity w żebra i...

O Boże... Uciekam wzrokiem akurat w chwili, gdy Bradley łapie nadgarstek podnoszącego się faceta i wygina pod takim kątem, że dociera do mnie trzask łamanej kości.

– Spójrz tylko. Kompletnie oszalał – przemawia Enrique i zanosí się śmiechem. – Co za widok. – Zaczyna bić brawo i pogwizdywać, jak gdyby go dopingował.

Zerkam na mężczyznę podejrzliwie, obawiając się, że w każdej chwili może sięgnąć po broń i skrzywdzić Bradleya, ale on na razie naprawdę rozkoszuje się tym...

Brad wygląda, jakby nie czuł już bólu, jakby zmienił się w niezniszczalnego robota zaprogramowanego na zabijanie. Wciąż krwawi i jest poobijany, ale najwyraźniej agresja i czysta potrzeba przemocy znieczuliły go dostatecznie, by miał to gdzieś. Rzuca jednego z rywali na ścianę i przypiera go do muru, a potem zaczyna dusić. Widzę, jak jego palce zaciskają się coraz mocniej i mocniej, gotowe zmiażdżyć mu krtań i odebrać życie. Drugi zbir znów usiłuje się podnieść, unosi się najpierw na klęczki, później opada na czworaka, ale wtedy z góry spada kolejne

kopnięcie Bradleya i posyła go z powrotem na beton. Zaraz kopie drugi raz, wciskając jego kręgosłup w twardą powierzchnię. Testuje wytrzymałość jego żeber, które po sekundzie pękają niczym zapalki.

– Bradley... – wyrywa mi się.

Brad się obraca, jego zamglony wzrok mnie odszukuje.

– Zaimponowałeś mi. Trzy sekundy temu byłeś półżywy, a teraz powaliłeś dwóch moich ludzi. – Enrique się uśmiecha, a później, nim zdąży mrugnąć, przysuwa nóż do mojego gardła. – A co teraz będzie?

Ostrze napiera na skórę z taką siłą, że brakuje zaledwie znikomego nacisku, by otworzyć świeże zacięcie. Jednak nim cokolwiek zdoła się wydarzyć, rozlegają się wystrzały. Wiele wystrzałów z różnych rodzajów broni.

Na obliczu Bradleya pojawia się morderczy wyraz.

– Teraz zginiesz. I cała reszta twoich sługusów też – obwieszcza.

Enrique sięga wolną ręką do kieszeni i wyciąga komórkę.

– Co jest? – rzuca do telefonu.

– To moi znajomi. Zaraz ich poznasz – służy odpowiedzią Bradley.

Marszczę brwi zdumiona.

– Jak? Skąd wiedzieli? – pytam.

– Mamy szyfry na wypadek takich sytuacji, zdołałem powiadomić Marcusa esemesem, zanim nas zabrali. Już kiedy ocknąłem się w sypialni, wiedziałem, że coś nie gra.

Dlaczego wcześniej mi nie powiedział?

– Z czego się cieszysz, pojebie? – syczy Enrique. – Przeoczyłeś to ostrze przy tętnicy twojej dziwki? Jeden zły ruch i ona wyląduje w worku na zwłoki. – Przesuwa nóż w bok, otwierając niewielką ranę. To ostrzeżenie rozjuszonego drapieżnika doprowadzonego do ostateczności.

W oddali nadal niosą się odgłosy strzelaniny. Ktoś krzyczy, słyszę, jak ciężkie buty uderzają o beton, gdy ktoś biegnie korytarzem. Przez kraty celi zauważam mężczyzn. Po chwili pada trafiony kulami w plecy. Migająca jarzeniówka sprawia, że jego rozwarte oczy o tępym teraz wyrazie napawają mnie grozą.

– Savannah. – Zwraca moją uwagę Bradley.

– Tak?

– Ufasz mi?

– Zawsze.

Szare spojrzenie kieruje się na moją szyję.

– To pokaż mu, jaki dałem ci prezent – poleca.

Naszyjnik. Moja piekielnie ostra zawieszka. Chce, żebym jej użyła.

Wszystko skręca mi się w podbrzuszu. Kiedy zaciskam palce na błyskotce, czuję mrowienie w całym ramieniu. Wstrząsa mną dreszcz, ale się nie wycofuję. Zrywam rzemyk i płynnym ruchem wbijam ostrze w udo Enrique, a potem pociągam z całych sił, w wyniku czego powstaje długa, szarpana rana.

Z jego gardła wymyka się dźwięk przypominający skowyt. Mężczyzna spogląda rozkojarzony na swoją nogę i ten właśnie moment przewagi wykorzystuje Bradley.

Łapie go za szyję i... skręca mu kark. Tak naturalnie, jak gdyby parał się tym codziennie.

Odskakuję, gdy martwe ciało Enrique pada u moich stóp.

Koncentruję się na Bradleyu. Nienawidzę tego, że musiał odebrać komuś życie, by mnie bronić. Nawet jeśli mam wrażenie, że trochę mu się to podobało. Wszystko we mnie rwie się, by go przytulić, ale wtedy dostrzegam coś niepokojącego na korytarzu – mojego brata wymieniającego ciosy z jakimś nieznanym facetem. I jeszcze kogoś, zakradającego się z przeciwnej strony, by z ukrycia wycelować pistolet w jego głowę.

– Marcus... – krzyczę, a przynajmniej próbuję, bo mój głos pozostaje tylko zdławionym szeptem.

Bradley pochyla się i coś chwyta. W jego dłoni przez ułamek sekundy mieni się nóż, który upuścił wcześniej Enrique. Robi zamach i rzuca nim prosto w krtań faceta mierzącego do mojego brata.

Mężczyzna wydaje bulgoczący odgłos, owija palce wokół trzonka, jak gdyby miał zamiar go wyszarpać, ale potem pada na podłogę. Kolejna

śmierć.

– Dzięki, stary – przemawia Marcus. – Wyglądasz, jakbyś oberwał z działa czołgu. – Dzwoni kluczami, otwierając nam drzwi tej okropnej celi. Potem porywa mnie w objęcia.

– Jesteś cała? – pyta i ogląda uważnie.

– Tak.

– Już cię zabieram do domu. Wyprowadź ją na zewnątrz. – Kiwa głową do Bradleya.

Brad łapie moją dłoń i pociąga, ale zamiast pozwolić mu się prowadzić, po prostu rzucam się na niego. Obejmuję go ramionami i wtulam nos w jego klatkę piersiową. Znajomy aromat mięty i czegoś pikantnego pieści moje zmysły i powoli mnie uspokaja.

– Już po wszystkim – szepcze Bradley do mojego ucha.

– Po prostu mnie przytul. Potrzebuję tego.

– Tak mi przykro, malutka. – Chrypi i całuje mnie w skroń. – On cię zmusił...

– Przestań. Przetrwałam to tylko dla ciebie – przerywam i też go całuję. W kącik poranionych ust.

– Nie powiedziałem ci... – Ujmuje moje policzki i wwierca we mnie intensywny wzrok. – Ja też cię kocham, Savannah...

Serce wywija radosne salto, a ja uśmiecham się, mimo że byłam pewna, że nie zdobędę się na to jeszcze przez długi czas.

– Nie musisz tego mówić. Niech moje uczucia nie wywołują w tobie presji. Chciałam tylko, żebyś wiedział.

– Ja też chcę, żebyś to wiedziała. Moja miłość do ciebie... to było wszystko, co się dzisiaj liczyło w tym piekle – oznajmia z nutą czułości. – To powinno cię przerazić, bo już nigdy nie pozwolę ci odejść. Miałaś szansę, ale ją odrzuciłaś. Już za późno. Nigdzie cię nie wypuszczę – obiecuje i przylega wargami do moich.

Niesamowite, ten mężczyzna uważa, że dałam się schwytać w sidła. Że zwabił mnie w nie podstępem, ale to nieprawda. Weszłam w nie świadomie, a on nie jest żadną pułapką, tylko moją bezpieczną przystanią.

Rozdział trzydziesty

Do listy powodów, dlaczego tak bardzo nie znoszę tłumów, dziś mogę wielkimi literami dopisać jeszcze jeden.

Chciałam zrobić dobry uczynek, dlatego wybrałam się po tort, by dostarczyć odpowiednią liczbę kalorii mojemu wiecznie głodnemu facetowi, niestety gdy tylko opuściłam długą jak pociąg kolejkę i wyszłam ze sklepu, staranował mnie jakiś mężczyzna, wytrącając mi przy tym pudełko z tortem z rąk.

Świetna przygoda, zwłaszcza że musiałam wrócić do sklepu, stanąć w jeszcze dłuższej kolejce i pogodzić się z tym, że pani przede mną kupiła ostatni tort, a mnie zostały „wesołe muffinki”. Tak właśnie nazwała je sprzedawczyni.

A zatem doskonale, że przynajmniej te cholerne ciastka są wesołe. Oby facet okupujący mój salon przejął od nich trochę endorfin i przestał zrządzać, jak to bardzo nie lubi beczynności.

– Co ty tam robisz? – Dobiega mnie zachrypnięty głos.

Uśmiecham się, wyobrażając sobie, jak piekielnie seksowny Bradley leży na łóżku z gburowatą miną.

Biedaczek nie znosi beczynności.

– Piekę ciasteczka – odpowiadam, przekładając słodkości na paterę.

Rozlega się trzask w tle, chyba coś zleciało ze stolika. Potem słyszę wściekłe syknięcie.

Aha, znowu uraził swoje popękane żebra. Nie rozumiem tego faceta, wolałyby chyba zostać pokąsany przez piranie, niż leżeć beczynnie w łóżku przez kilka dni. W zasadzie to wciąż powinien być w szpitalu, ale zmył się stamtąd po kilku godzinach.

– Znowu? – odpowiada. – Proszę... nie, zlituj się, nie dość się nacierpiałem w ostatnich dniach?

– To wredne.

– Ostatnie twoje wypieki były doprawione pieprzem – przypomina. – Co wrzuciłaś tam tym razem przez pomyłkę? Papryczkę chili zamiast cukru?

Posyłam piorunujące spojrzenie w stronę drzwi.

– Sądziłam, że jesteś wielbicielem pikantnych przysmaków – mruczę, układając na tacy ostatnią babeczkę w kształcie gwiazdy. – I kupiłam je w cukierni. Spróbuj. – Podchodzę do niego, przysiadam na brzegu łóżka i podsuwam mu smakołyki pod nos.

Bradley częstuje się muffinką. Wybiera tę oblaną różowym lukrem i wyszczerza się rozbawiony.

– Połóż się przy mnie – nakłania, poklepując materac. – To pomoże mi w rekonwalescencji.

– Wątpię.

Odgryza kawałek ciasteczka i opada na poduszki. Jego opalona, pokryta tuszem skóra kontrastuje z bielą pościeli. Nad krawędzią kołdry prezentują się apetyczne mięśnie brzucha.

– Nudzę się. Jesteś kiepską pielęgniarką. Powinnaś zapewnić mi rozrywkę – rzuca. Gdy chce ponownie ugryźć babeczkę, wyprzedzam go i sama zatapiam zęby w czekoladowym biszkopiku.

– Mam wyskoczyć dla ciebie z tortu i zatańczyć przy rurze?

To zwraca jego uwagę. Oczy połyskują w oczekiwaniu na niegrzeczne harce. Wyciąga rękę, kciuk przesuwają się po kąciku moich ust i zabiera z nich słodki okruszek.

– Byłoby miło – mówi, oblizując palec.

Coś takiego nie powinno mnie rozpalać, ale i tak czuję ciepłe mrowienie w podbrzuszu. Pod wpływem impulsu odłamuję szczyptę ciastka i kruszę je po trochu na jego wyrzeźbiony tors.

Mniam.

– Możemy też wykorzystać ten czas na rozmowy i lepiej się poznać – sugeruję, dbając o to, by brzmieć niewinnie.

Bradley zerka w dół na swoje oprószone smakołykami ciało, a na jego twarzy pojawia się przebiegły wyraz.

– Jest kilka innych sfer, w jakich wolałbym cię lepiej poznać – szepcze kusząco. – Poza tym można uprawiać seks i prowadzić głębokie rozmowy.

Potrząsam głową.

– Ty w ogóle nie możesz uprawiać teraz seksu. Twoje żebra muszą się zrosnąć i...

– Jedyne, co uniemożliwia uprawianie seksu, to impotencja, a ja...

Wpycham mu między wargi nadgryzioną babeczkę, tym samym kneblując następne słowa.

– To nie jest głęboka rozmowa.

Przełyka wypiek i wzrusza szerokim ramieniem, które, swoją drogą, powinno znajdować się na temblaku.

– Nie czuję się zmotywowany – mamrocze. Jego dłoń głaszcze mój warkocz, a chwilę później zaczyna go rozplątywać, aż w końcu włosy opadają mi na plecy.

Tak naprawdę uwielbiam to, że Bradley nie potrafi przestać mnie dotykać, gdy tylko jestem w pobliżu. To daje mi drobną, ale cenną przewagę w tej relacji, biorąc pod uwagę fakt, że ten mężczyzna ma całkowitą władzę nad moimi uczuciami... i libido.

– Dobra, pozwól, że zdejmę szlafrok.

Brad marszczy czoło, gdy wstaję i zaczynam wolno rozwiązywać węzeł pluszowego okrycia.

Nigdy nie byłem szczególnie dobra w uwodzeniu, ale staram się zrobić z tego małe przedstawienie i chyba nieźle mi idzie, bo gdy tylko materiał upada na podłogę, źrenice Bradley się rozszerzają.

– O kurwa... – dyszy.

Stoję przed nim w stroju niegrzecznej pielęgniarce. Biały uniform jest wycięty na tyle, by bez problemu można było dostrzec czekającą pod nim czerwoną bieliznę z przeźroczystej koronki.

Niespodzianka.

– Hm, zobaczmy... – szepczę, chwytam ze skraj kołdry i odsuwam ją na bok. – Tak, na pewno nie jesteś impotentem. Ze sprzętem chyba faktycznie wszystko dobrze. – Przesuwam paznokciami tuż przy krawędzi bokserek Bradleya.

Jego oczy zachłannie przykleiły się do mojego ciała.

– Powinnaś mnie lepiej zbadać – chrypi. – Chyba... chyba jednak coś mi dolega.

Uśmiecham się.

– Naprawdę? Co takiego?

– Nie mam pojęcia, ale przez pewną małą, seksowną pielęgniarkę czuję się, jakbym przedawkował viagrę.

Spuszczam wzrok, udając nieśmiałość, a sekundę później siadam na nim okrakiem. Czuję jego erekcję między udami, więc wykonuję kilka falistych ruchów biodrami, przesuając się po całej długości jego wzwołu.

– Wyjmę niezbędne narzędzia – oznajmiam cicho i wkładam rękę do kieszeni fartuszka, by zaprezentować pokryte futerkiem kajdanki.

Palce Bradleya zaciskają się na mojej talii, a z jego gardła wymyka się niemal zwierzęcy pomruk.

– Idealnie się zaopatrzyłaś – chwali. – Skujesz mnie? Mam być więźniem zdanym na twoją łaskę? – Zabiera mi kajdanki i sam zakłada je sobie na nadgarstki, a potem unosi nad głowę.

Mogłam się tego spodziewać. Jest wręcz zachwycony tą zabawą.

Pochyliłam się, by cmoknąć go w usta. Smakują czekoladą i czymś pikantnym, typowym dla tego mężczyzny.

– Masz zostać w łóżku, dopóki nie poczujesz się lepiej. Jeśli tylko siłą cię w nim zatrzymam... niech i tak będzie.

– Pocałuj mnie jeszcze raz – rozkazuje.

Robię to, czego żąda, jednak odsuwam się, kiedy próbuje pogłębić pocałunek.

Tym razem to ja ustalam zasady.

– Jeśli to zrobimy, to będzie miły, powolny i delikatny seks – tłumaczę.

Na jego obliczu rozciąga się grymas.

– Delikatny seks? – powtarza zbity z tropu.

Nie mogę się powstrzymać i zaczynam chichotać jak opętana.

– Co? Nie podołasz?

Brad naprawdę się nad tym zastanawia i wydaje się niepewny.

I znowu jestem kompletnie rozbrojona. Przecież to facet, który jest do szpiku kości naszpikowany arogancją i testosteronem. Stanowi odzwierciedlenie każdego grzechu, jakiego tylko zdołały dopuścić się kobiety od zarania dziejów.

– Nigdy wcześniej... To znaczy, po co miałbym uprawiać delikatny seks? – docieka. Jego opuszki kreślą wzory na mojej skórze tuż nad kolanem.

– Oczywiście, że tak – drocę się. – Cóż, dziś nie masz wyboru, ja rządę.

Bradley przesuwa ręce do guzików fartuszka i zaczyna je rozpinać jeden po drugim. Robi to imponująco sprawnie mimo unieruchamiających go metalowych obręczy.

– To mnie nawet podnieca – informuje głosem niższym o oktawę. – Jaki jest twój niecny plan, psotnico?

I tu zaczyna się poważny problem, ponieważ nie mam pojęcia, co robić i jak nagle ewoluować z wycofanej kobiety, niedoświadczonej w sprawach erotycznych, w rasową kokietkę.

– Tak właściwie to nie mam żadnego – przyznaję. – Nie chcę cię bardziej uszkodzić. – Odpycham jego dłonie z powrotem nad głowę.

Patrzę na Bradleya i nagle nachodzi mnie ochota, by zrobić nam zdjęcie. Przechylam się nad stolikiem, sięgam po telefon i cykam z góry dwie fotografie. Uwieczniam niezwykle moment jego uległości, który raczej już się nie powtórzy. I do tego te absurdalne futerkowe kajdanki, które, choć to niedorzeczne, dodają mu tylko uroku.

– Wykorzystaj mnie. Możesz mnie zmusić do wszystkiego – namawia jak sam diabeł. – Na przykład możesz zbliżyć swoją cipkę do moich ust i kazać mi posuwać cię językiem, aż...

Piszczę i przyciskam rękę do jego sprośnych ust.

– Przestań. Jesteś nieznośny.

Jego zduszony śmiech wywołuje łaskotki we wnętrzu dłoni.

– Po prostu uwielbiam cię wylizywać. Przecież też to lubisz – mamrocze zuchwale. – Ja pierdolę – dodaje na wydechu, gdy zsuwam się w dół i zaciskam palce na jego członku. Natychmiast zamiera.

Obwodzę go kciukiem od korony przez całą pulsującą długość.

– Tak, lepiej bądź grzecznym chłopcem – żądam z zadziorną nutą. – Poproś, żebym to ja cię polizała.

Brad porusza się pode mną niespokojnie.

– Proszę, kurwa. Proszę, weź mnie między te swoje idealne wargi – zaczyna. – A potem...

Rozchylam usta i zasysam delikatnie samą końcówkę, sprawiając, że Bradley ponownie przerywa i pod nosem puszcza całą wiązanek bluzgów.

– A potem...? – ponaglam.

– A potem mnie ujeżdżaj.

Biorę penisa nieco głębiej i okrążam językiem. Raz, drugi, trzeci. W górę i w dół, aż w końcu opanowanie Bradleya zawisa na cienkiej niteczce, a on sam zaczyna wypychać biodra, by naprzec na moje usta.

– Mmm, masz rację, lubię to robić – mówię z uśmiechem.

Ramiona Brada opadają, by wplątać się w moje włosy.

– Lubisz to robić dla mnie. Tylko dla mnie – syczy. – Przez następne sto lat nie tkniesz innego faceta. Żaden nie będzie cię miał. Ani twoich ust, ani dłoni, ani słodkiej cipki. – Zaciska ręce na moich lokach i sam wypycha mi penisa między wargi.

Znów liżę go raz, wzdłuż trzonu, i zaraz się wycofuję.

– To prawie jak oświadczyły – nabijam się. – Takie zupełnie w twoim stylu.

Bradley jęczy sfrustrowany, kiedy ponownie zasysam jedynie końcówkę i pochylam głowę w bardzo powolnym tempie.

– Przyspiesz, kochanie.

Słyszając jego słowa, celowo liżę i ssę go w jeszcze bardziej leniwym rytmie. Biało-czerwony czepek zsuwa mi się z głowy, a bielizna przesiąka wilgocią, gdy jego członek uderza raz po raz w moje podniebienie.

– Nie – zaprzeczam. – Miało być delikatnie, powoli i miło.

– Zaraz dostanę pierdolca! – narzeka. – Chcę skończyć w tobie. – Zatacza kółeczko na mojej brodawce, wciąż uwięzionej w biustonoszu. Napręża mięśnie nadgarstków, jakby miał zamiar zerwać łańcuchy przy kajdankach. Te aż trzeszczą pod naporem siły jego mięśni.

Jasne, nie są to obręcze, które zatrzymałyby ciężarówkę, a różnica między nią a Bradem jest raczej niewielka.

W tle słyszę brzęczenie dzwoniącej komórki i dźwięki jakiegoś filmu akcji, ale nic nie jest aktualnie w stanie mnie rozproszyć.

– Zwykle to ty się ze mną droczysz i doprowadzasz do szaleństwa, jak ci się podoba zamiana ról? – pytam i odpinam haftki biustonosza.

Bradley szczypie mnie mocno w uwypuklone sutki.

Wypuszczam z jękiem jego członek i przesuwam się, by nakierować go na moje wejście.

– Bardzo – odpowiada Brad i nim sama zdążę się na niego osunąć, wyrzuca biodra w górę, nadziewając mnie na swoją sztywną męskość.

– Nie... – protestuję słabo. – O Boże.

Powtarza ten manewr, wdzierając się do mojego śliskiego wnętrza raz po raz.

– Tak? – przekomarza się.

Przyjemność poraża wszystkie zakończenia nerwowe. Włosy lepią mi się do skroni, a oddech staje się płytki. Odgłosy naszych ocierających się o siebie ciał są najbardziej erotycznym dźwiękiem, jaki było mi dane usłyszeć.

– Delikatnie. – Napieram palcami na jego tors, na którym perlą się pierwsze kropelki potu. – Nie ruszaj się albo przestanę. – Przyciskam usta do jego wytatuowanych mięśni i zaczynam unosić się i opadać w leniwym tempie.

– Wiesz, że się za to na tobie zemszczę, prawda, kiciu?

Oblizuję słonawą skórę i spoglądam na niego spod rzęs, niewinna niczym aniołek.

– Nie mogę się tego doczekać.

Bradley uśmiecha się i potrząsa głową.

Tak naprawdę wiem, że cieszy go ta miłosna udręka. Wypełnia mnie, doskonale rozciągając, a jego męskość w jakiś sposób odnajduje każdy najwrażliwszy punkt we mnie.

Kiwa palcem wskazującym, chce mnie w ten sposób przywołać. Gdy zaczynam się obnizać, przylega do mnie wargami i całuje – namiętnie, wręcz brutalnie. Penetruje moje usta językiem w sposób, w jaki chciałby mnie teraz pieprzyć.

– Jesteś moim małym, wkurzającym ideałem, Savannah – szepcze.

Co za romantyczne wyznanie...

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz